ROZMOWA „DO RZECZY”

Obecny elektorat partii Brauna to do niedawna elektorat PiS – mówi Przemysław Czarnek



TYGODNIK LISICKIEGO

# DO RZECZY

NR 8/668 16–22 LUTEGO 2026

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Kto w ekipie Trumpa nie chce, a kto chce porozumienia z Rosją



RODZINA NICZYM ORKIESTRA – SAGA RODU POSPIESZALSKICH

Żydowscy obrońcy Palestyny kontra strażnicy kultu Holokaustu

# Czy Waszyngton chce wymienić rząd w Polsce?

## Tusk i lewica grają antyamerykańską kartą

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829




# Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026

# A NEW STAGE OF COOPERATION

Nowy etap współpracy | Az együttműködés új szakasza

## BUSINESS • SECURITY • INNOVATION
## 15–17 MARCH 2026

**EVENT VENUE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON**
MIEJSCE WYDARZENIA: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
RENDEZVÉNY HELYSZÍNE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON

**Register now — limited capacityScan the QR**

Zarejestruj się — liczba miejsc ograniczona
Regisztrálj most — korlátozott férőhely

**www.PHALS.pl**

Partner Główny PHALS 2026
Województwo Małopolskie

MAŁOPOLSKA

eprasa.pl d705243ad8



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

# Sprytna gra Tuska

Sondaże wskazują, że gdyby teraz doszło do wyborów, obecna koalicja nie byłaby w stanie utrzymać się przy władzy. Wynika z tego, że Donald Tusk, jeśli chce uniknąć w przyszłości losu Zbigniewa Ziobry i Marcina Romanowskiego, musi na to wyzwanie znaleźć odpowiedź. Ostatnia awantura wokół wypowiedzi ambasadora Toma Rose'a pokazała, na czym będzie ona polegać.

Po pierwsze, wyczuwając zmianę nastrojów społecznych – pierwszy raz w Polsce pojawia się duża grupa wyborców niechętnych Ameryce – Tusk będzie próbował przedstawiać się jako, uwaga, wiem, że to śmieszne, obrońca polskiej suwerenności w relacjach z USA. W tym przypadku swoimi aroganckimi wypowiedziami amerykański dyplomata przyszedł mu w sukurs. Ale Tusk nie tylko umiejętnie rozegrał (a może i sprowokował) awanturę z panem Rose'em. Równie sprytnie wykorzystał słabość i niedoświadczenie Karola Nawrockiego.

Prezydent, który mógł przyjąć ofertę przystąpienia do Rady Pokoju, tworzonej przez Donalda Trumpa, zaczął się wahać. Gdyby od razu powiedział „tak", i to bez żadnego płacenia miliarda dolarów, tylko by na tym wygrał. Pokazałby, że jest politykiem istotnie innym niż Donald Tusk, że stać go na śmiałość i ryzyko, iż poważnie będzie przeciwstawiał się (a nie tylko retorycznie) polityce europejskiego mainstreamu. Tymczasem nic z tego nie wyszło, okazja przeszła koło nosa, a sytuację znowu wykorzystał premier Tusk. To on zadeklarował niedawno – mimo że formalnie zaproszenie było skierowane także do prezydenta – że Polska w pracach Rady Pokoju uczestniczyć nie zamierza.

Po drugie, premier może próbować wyhodować sobie, tak jak to było w roku 2023, odpowiedniego sojusznika. Chodziłoby o partię, która mogłaby dawać złudzenie nowości, być inną wersją Trzeciej Drogi. Oczywiście teraz, po doświadczeniach rządów „uśmiechniętej koalicji", będzie znacznie trudniej ją wykreować. Nie wydaje się, żeby w tej roli mogła wystąpić nowa szefowa Polski 2050, pani Pełczyńska-Nałęcz. Teoretycznie obecny układ KO, Nowa Lewica, PSL, Polska 2050 mógłby zostać zastąpiony najprościej przez rządy PiS, Konfederacji i Korony Brauna. Tego chcą najbardziej elektoraty tych trzech sił. Jednak, sądząc z wypowiedzi Toma Rose'a, taki wariant byłby nie do przyjęcia dla USA, a tym samym dla PiS. Inny wariant, wymarzony zapewne przez dyplomatę, a więc PiS, PSL, Konfederacja, nie będzie miał najprawdopodobniej w przypadku nowego rozdania wystarczająco dużo głosów. No więc co?

Nie można zatem wykluczyć – sądzę – jeszcze jednego scenariusza, czyli powstania czegoś na wzór wielkiej koalicji. Do takiej roli potencjalnego partnera dla KO najlepiej nadawałby się wówczas Mateusz Morawiecki, który mógłby zastąpić w tej układance zgranego Szymona Hołownię i przynieść w wianie przynajmniej część głosów PiS. Nie jest to aż tak absurdalne, jak by się na pierwszy rzut oka wydawało.

Prowadzona przez byłego premiera faktycznie polityka nie różniła się przecież, co się tyczy kwestii społecznych, gospodarczych czy nawet zagranicznych, od tej, którą prowadzi Tusk. Morawieckiemu i jego grupie znacznie bliżej – mówię o sprawach programowych – do Tuska niż do Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka, nie wspominając już nawet o Grzegorzu Braunie. Obaj panowie uważają, że Polska jest w obliczu śmiertelnego i bezpośredniego zagrożenia ze strony Moskwy, obaj prowadzili proukraińską politykę, obaj nie wyobrażają sobie przyszłości Polski poza Unią Europejską. Jeden wiesza się klamki unijnej, drugi amerykańskiej, ale w ostateczności da się to jakoś pogodzić. Obaj (jeden z wyrachowania, a drugi z przekonania) są skrajnymi etatystami.

Jedno jest pewne: im dłużej trwa obecny stan, kiedy to kosztem Prawa i Sprawiedliwości wzrasta poparcie dla partii Grzegorza Brauna, tym dla Tuska lepiej. Po szarżach ambasadora Rose'a to Prawo i Sprawiedliwość jest w najtrudniejszym, co się tyczy perspektyw, położeniu.

PiS miał bowiem dwie możliwości. Partia mogła albo dokonać zwrotu w prawo i pogodzić się z tym, że chcąc nie chcąc, dojdzie do powstania szerokiej koalicji prawicowej, być może również ze wsparciem Grzegorza Brauna, albo ogłosić, jak to teraz robi, że jakakolwiek współpraca z Konfederacją Korony nie wchodzi w grę. Pierwsza strategia po słowach ambasadora USA wydaje się niemożliwa.

Pozostaje pójście na frontalne starcie z dwiema Konfederacjami (być może z wyjątkiem grupy wokół Krzysztofa Bosaka) i ogłoszenie, jak to ostatnio zrobił Joachim Brudziński, że otoczenie Brauna to wariaci lub rosyjscy agenci. Problem polega na tym, że im ostrzej PiS atakuje Brauna, tym szybciej traci wyborców, którzy poważnie traktują hasła niepodległościowe i suwerennościowe. A im bardziej rozbita i wyrównana jest stawka po prawej stronie, tym bardziej zyskuje na tym Donald Tusk, który może czekać i ostatecznie wyłuskać brakującą mu grupę. ©℗



eprasa.pl d705243ad8



## TEMAT TYGODNIA


**16** ŁUKASZ WARZECHA
**POLSKA ZWASALIZOWANA**
Czy Waszyngton chce wymienić rząd w Warszawie?

**19** JAN FIEDORCZUK
**POCZET AMERYKAŃSKICH „GUBERNATORÓW"**


## KRAJ


**22** ROZMOWA Z PROF. PRZEMYSŁAWEM CZARNKIEM
**POTRZEBNY JEST RZĄD ODPOWIEDZIALNEJ PRAWICY**
Obecny elektorat Brauna to do niedawna elektorat PiS

**25** PIOTR SEMKA
**PODZIAŁ PRAWICY WZMACNIA OBÓZ TUSKA**

**28** RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
**Z ŻURKIEM I MALAPARTEM W TLE**

**31** JERZY KARWELIS
**TEST Z HIPOKRATESA. LEKARZE KARANI ZA NIEZALEŻNOŚĆ**

**34** RADOSŁAW WOJTAS
**W KOLEJCE DO POLSKI**

**36** ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
**POWRÓT DO NATURY**


## KULTURA


**38** PIOTR GOCIEK
**CZAS OŁOWIU**
Nowy polski serial Netflixa

**40** ROZMOWA Z MARCELEM WOŹNIAKIEM
**ORKIESTRA POSPIESZALSKICH**

**42** GRZEGORZ KONDRASIUK
**DZIWNY PRZYPADEK BENIAMINA M. BUKOWSKIEGO**


## NIE PRZEGAP


**44** NASZ PRZEWODNIK
**FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI**


## OPINIE


**48** MICHAŁ KRUPA
**KREML WIDZIANY Z BIAŁEGO DOMU**
Kto w ekipie Trumpa nie chce, a kto chce porozumienia z Rosją

**51** JACEK GAWRYSZEWSKI
**AGENTURALNOŚĆ BEZOBJAWOWA**

**54** FILIP MEMCHES
**ŻYDOWSCY OBROŃCY PALESTYNY KONTRA STRAŻNICY KULTU HOLOKAUSTU**


## HISTORIA


**56** PIOTR GONTARCZYK
**SZKOŁA OCZERNIANIA POLAKÓW**
Uchybienia i nadużycia historyka z renomą


## ŚWIAT


**62** ROBERT BOGDAŃSKI
**CZY ZŁOTA KOPUŁA ZMIENI ŚWIAT**
USA będą odporne na nuklearny szantaż?

**66** MACIEJ PIECZYŃSKI
**ROSYJSKA WOLNOŚĆ WIRTUALNA**


## EKONOMIA


**70** JACEK PRZYBYLSKI
**INPOST PRZEBIJA SZKLANY SUFIT**
Polski biznes podbija świat

**73** JAKUB WOZINSKI
**JEFFREYA EPSTEINA LEKCJA EKONOMII**


## FELIETONY:


SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (60), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)




eprasa.pl d705243ad8

TYGODNIK DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 529 12 00
*e-mail:* listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
**Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz**

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
**Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski** *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adam Chełstowski/Forum, Andrzej Iwańczuk/Reporter, Adobe Stock, afirmacja.info, oprac. graf. JAN**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
*tel.:* +48 22 347 50 00

**Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.**

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
**Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc**
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
**Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
**Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,**
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
**Joanna Gosek, Joanna Nowakowska**
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
**Kolporter sp. z o.o.** (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
**Garmond** tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
**GLM sp. z o.o.** tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
**Poczta Polska** https://prenumerata.poczta-polska.pl/

**ISSN nakładu podstawowego 2299-8500**
**Nr indeksu 288 829**

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

## Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

## „Przyczyny upadku Rzeczypospolitej", „DRz" nr 7/2026

*Szanowna Redakcjo,*
*chciałbym wyrazić uznanie za opublikowaną na łamach „Do Rzeczy" rozmowę Krzysztofa Masłonia i Tomasza Zbigniewa Zaperta z prof. Andrzejem Nowakiem.*

*To prawdziwa przyjemność móc przeczytać tak erudycyjną dyskusję, która oferuje głęboką analizę historyczną. Składam wyrazy uznania i gorące podziękowania dla pana profesora za jego pracę i działalność społeczną.*

***Z wyrazami szacunku***
***Bartosz Tomczyk, Łódź***

## Królowie słupków i betonu

*Szanowni Państwo,*
*podczas gdy rozpada się globalny porządek i świat dzieli się na różne hemisfery, w Krakowie nadal panuje staroświecka monarchia, jak zapowiadają tablice na rogatkach miasta: „Witamy w mieście królów polskich". Krakowscy prezydenci, zaprzedani deweloperom i świetnie opłacanym zawodowym ekologom, panoszą się w mieście niczym udzielni książęta. Poprzedni władca, pan Majchrowski, który rządził dłużej niż niejeden król elekcyjny, zabetonował i zastawił słupkami niemal każdą wolną przestrzeń. Obecny „król", czyli prezydent Miszalski, nie dość, że jeszcze zwiększył liczbę słupków i zwężonych ulic, to działa wręcz jak władca absolutny. Podniósł opłaty parkingowe i po prostu zamknął Kraków w tzw. Strefie Czystego Powietrza. Tym samym miasto stało się ogromnym betonowym deptakiem dla bogatszych tubylców i zagranicznych turystów, którzy przemieszczają się na piechotę od knajpy do knajpy, płacąc słone rachunki. Miejmy nadzieję, że pana Miszalskiego uda się skutecznie odwołać w referendum i o Kraków wreszcie zadba gospodarz z prawdziwego zdarzenia.*

***Z poważaniem***
***Ewa Kowynia***

## „Strefy buforowe w Polsce – marzenie aborterów", Kaja Godek, „DRz" nr 6/2026

*Szanowni Państwo,*
*czuję głębokie oburzenie faktem, że w Polsce coraz więcej energii wkłada się w ułatwianie dostępu do aborcji oraz w zapewnianie „komfortu" jej wykonywania, podczas gdy kobiety, które chcą urodzić swoje dzieci, często w praktyce pozostawia się same sobie.*

*Nie potrafię pogodzić się z tym, że mówi się dziś o potrzebie tworzenia specjalnych warunków, by nikt nie zakłócał spokoju przy wykonywaniu aborcji, a jednocześnie pojawiają się rozwiązania, które sprawiają, że kobiety rodzące mają trafiać na szpitalne oddziały ratunkowe. Czy naprawdę jako państwo doszliśmy do momentu, w którym większą troską otacza się wygodę przy przerywaniu ciąży niż bezpieczeństwo i godne warunki dla matek wydających na świat dzieci?*

*Poród to jedno z najważniejszych wydarzeń w życiu kobiety i rodziny. Wymaga spokoju, opieki, szacunku i odpowiednich warunków medycznych. Tymczasem sygnał, który płynie z nowych regulacji, jest dla wielu kobiet jednoznaczny: rodzenie ma się odbyć „gdziekolwiek", byle system funkcjonował sprawnie.*

*Jest w tym głęboka niesprawiedliwość. Kobiety decydujące się urodzić – często mimo trudności, lęku czy presji otoczenia – powinny być wspierane i otaczane szczególną troską. Zamiast tego słyszymy o potrzebie eliminowania z przestrzeni publicznej głosów sprzeciwu. Coraz częściej można odnieść wrażenie, że wrażliwość społeczna działa tylko w jedną stronę.*

***Z wyrazami szacunku***
***Imię i nazwisko do wiadomości redakcji***

## Sprostowanie

*W moim tekście „Superbohaterki, antybohaterowie" z wydania tygodnika „Do Rzeczy" 7/2026 pojawiła się nieprawdziwa informacja, jakoby TVP była producentem filmu „Lalka". Producentem filmu jest studio Gigant Films. Za pomyłkę przepraszam.*

***Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska***



eprasa.pl d705243ad8



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

# Kraków się obudził

Referendum w sprawie odwołania prezydenta Krakowa Aleksandra Miszalskiego najwyraźniej się rozkręca. Po dwóch tygodniach zbiórki (stan na 9 lutego) zgromadzono ponad 40 tys. podpisów. W Krakowianach zirytowanych rządami polityka KO budzi się nadzieja, że uda się ich zebrać 60 tys. Tyle bowiem podpisów niezbędnych jest do przeprowadzenia referendum.

Po czym poznać, że chyba naprawdę pod Wawelem zaczął wiać jakiś wiatr przemian? Najlepszym testem na to, że władza platformerskiego zarządcy jest zagrożona, jest temperatura tekstów w nieocenionej „Gazecie Wyborczej".

Oto Janusz A. Majcherek grzmi na łamach dziennika Adama Michnika: „Kraków, wraz ze swoimi coraz liczniejszymi mieszkańcami, przeżywa najlepszy okres od utraty stołeczności w XVI w. W tej sytuacji zbieranina malkontentów, frustratów, intrygantów i partyjnych macherów wszczęła procedury usunięcia prezydenta miasta". Krakowski publicysta nadziwić się nie może, że ktoś chce odejścia Miszalskiego w sytuacji, gdy wszystko się polepsza i rozbudowuje. I oczywiście dla Majcherka argumenty, np. dotyczące niedogodności dla mieszkańców w związku z wprowadzeniem Strefy Czystego Transportu, są tylko pretekstem. W jego optyce wszystko jest ponurą partyjną intrygą.

Ale oprócz wskazywania na mętne siły stojące za obywatelską inicjatywą trzeba jeszcze stworzyć nastrój – czego? zgadnijcie! – tak, oczywiście: NIENAWIŚCI! Zacytujmy „Wyborczą": „Prezydent Aleksander Miszalski mówi o ataku armii botów na jego profil. Agresja wybucha między politykami, ale też między mieszkańcami miasta". Zadzwoniłem do moich znajomych w Krakowie i zapytałem, o co chodzi z tą przemocą. I dowiedziałem się, że owszem, przemoc się zdarza, ale dotyka, ubranych w charakterystyczne niebieskie kamizelki, aktywistów, którzy zbierają podpisy na rzecz referendum. Opowiedziano mi, jak zadzierżyści zwolennicy Platformy potrafią być bardzo nieprzyjemni wobec zbierających podpisy. To oni w sieci ogłaszają, że do Krakowa zjechały prawicowe grupy z Młodzieży Wszechpolskiej, Ruchu Narodowego, Konfederacji, Korony Brauna oraz PiS, by zbierać podpisy. „Czy damy sobie ukraść miasto ludziom, którzy nie płacą tutaj podatków?" – pyta jeden ze zwolenników Miszalskiego.

Raz jeszcze zacytujmy „Gazetę Wyborczą", która starannie tworzy aurę grozy, przytaczając słowa jednego z polityków KO: „Ludzie są zastraszani. Jak tylko ktoś napisze coś pozytywnego o prezydencie, a złego na referendum, to od razu na jego konto wbijają hejterzy i go wyzywają od »kolesi Miszalskiego«. Nasyłają na niego armię botów. Nie każdy jest bohaterem i jest na to gotów". No cóż, potwierdza się stara prawidłowość. Jak tylko obóz liberalny gdzieś się cofa, to zaczyna ogłaszać, że robi się duszno i nadchodzi brunatna fala.

Ja życzę Krakowianom, żeby swego prezydenta wysadzili z siodła, bo Platformie przydałaby się jakaś czerwona kartka. A uczestnikom akcji referendalnej przypominam: samo zebranie podpisów to dopiero wstęp. Wygranie referendum będzie znacznie trudniejsze. ©℗



FOT. JAKUB WOSIK/REPORTER

## BOŻENA DYKIEL NIE ŻYJE

Bożena Dykiel urodziła się w 1948 r. we wsi Grabowo. Ukończyła Państwową Wyższą Szkołę Teatralną w Warszawie. Karierę zaczynała na deskach Studenckiego Teatru Satyryków. Polacy pamiętają ją głównie z ról w „Weselu" i „Ziemi obiecanej" Andrzeja Wajdy, a także z kreacji Miećki Aniołowej w serialu „Alternatywy 4". Wystąpiła również m.in. w „Znachorze" i „Człowieku z żelaza". Zasłynęła też rolą Goplany w „Balladynie" Adama Hanuszkiewicza. Była również gwiazdą serialu „Na Wspólnej". ***(jap)*** ©℗

## POLSKI GENERAŁ NA CZELE JFC BRUNSSUM

Pierwszy raz w historii oficer Wojska Polskiego, czterogwiazdkowy generał, stanie na czele Dowództwa Połączonych Sił Sojuszniczych w holenderskim Brunssum. 62-letni gen. Sławomir Wojciechowski zastąpi na tym prestiżowym stanowisku Niemca, gen. Inga Gerhartza, który kieruje JFC Brunssum od czerwca 2025 r. Dowództwo w Brunssum odpowiada za planowanie i prowadzenie operacji NATO w Europie Środkowej. ©℗



eprasa.pl d705243ad8

REPUBLIKA

Tomasz Sakiewicz wspólnie z zaproszonymi do studia ekspertami, dziennikarzami i politykami podsumowuje najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia. Zobaczymy także, jakie tematy zdominowały polskie media społecznościowe.




www.radiotvrepublika.pl Telewizja Republika @RepublikaTV RepublikaTV @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl d705243ad8



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

# KPO na sterydach

Komentarze po spotkaniu Rady Bezpieczeństwa Narodowego zdominowane zostały przez kwestię towarzysko-biznesowego uwikłania Włodzimierza Czarzastego i wykręcania się przez niego od poddania się procedurze dopuszczenia do informacji niejawnych. Wydaje się, że wypychanie na medialny front Czarzastego jest na rękę zarówno premierowi Tuskowi, jak i prezydentowi Nawrockiemu. Pierwszemu, ponieważ Czarzasty odwraca uwagę od pułapki, którą jest unijna procedura SAFE i w którą Tusk cynicznie i świadomie zamierza Polskę wciągnąć. Drugiemu, ponieważ istota tego szwindlu trudna jest do wyjaśnienia przeciętnemu Polakowi.

Unia Europejska zachorowała jakiś czas temu na „moment Hamiltonowski". Eurokraci wymyślili sobie, że Stany Zjednoczone stały się Stanami Zjednoczonymi dlatego, że sekretarz skarbu Hamilton wziął wspólny dług na 13 północnoamerykańskich państw. Jest to prymitywna i wątpliwa interpretacja historii USA, ale jeszcze bardziej wątpliwe jest założenie, że jeśli podstępem czy korupcją polityczną analogicznie wepchnie się państwa europejskie we wspólny dług, to zrosną się one w jedno, podobnie jak brytyjskie kolonie w Ameryce.

Problem w tym, że większość Polaków hołdując socjalistycznemu złudzeniu, że pieniądze publiczne są „czyjeś", a nigdy „moje", kupuje demagogię o wielkich milionach, które niby dostać mamy od Europy na zakup broni i budowę własnego przemysłu zbrojeniowego. Nie dociera do nich, że to pożyczka. Tylko że gdybyśmy zaciągnęli ją w banku, moglibyśmy pożyczone pieniądze wydać tak, jak byśmy chcieli. Tymczasem SAFE, obłożone mechanizmem „warunkowości" – czyli możliwością zablokowania w każdej chwili, pod byle pretekstem, decyzją byle unijnego urzędnika – to taki sam szwindel jak KPO, tylko na jeszcze większą skalę.

Co o tym mówiono na Radzie, nie wiemy, choć zaskakująco wielu jej uczestników podkreślało, że tajna część obrad była „bardzo merytoryczna". Chciałoby się móc w to wierzyć i czerpać nadzieję. ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

# Walka trwa

Zaplanowana na 4 lutego rozprawa kasacyjna przed Sądem Najwyższym w sprawie odpowiedzialności Tomasza Arabskiego za organizacje lotu do Smoleńska 10 kwietnia 2010 r. na wniosek pełnomocnika rodzin ofiar katastrofy została odwołana. Wieloletni proces Arabskiego, toczący się z oskarżenia prywatnego rodzin, doprowadził w czerwcu 2019 r. do skazania ówczesnego szefa KPRM na 10 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na dwa lata. Wyrok zaskarżyły obie strony i w wyższej instancji Arabski został uniewinniony. Potem, w kasacji przed Sądem Najwyższym, zaczęła się uciążliwa walka obu stron o dobór składu sędziowskiego. Z postępowania wykluczano sędziów powołanych po 17 stycznia 2018 r., a Ordo Iuris, reprezentując rodziny, wnioskował, by sprawy nie rozpoznawały osoby jawnie zaangażowane politycznie. Na marginesie trzeba dodać, że rodzinom odmówiono statusu pokrzywdzonych, co samo w sobie pokazuje polityczne zaangażowanie sporej części polskich sędziów.

Sprawa jest istotna nie tylko dla ustalenia odpowiedzialności szefa KPRM za niedopełnienie obowiązków służbowych przy organizacji lotu prezydenckiej delegacji. Wyrok Sądu Najwyższego będzie miał znaczenie dla toczącej się debaty dotyczącej statusu sędziów powołanych po zmianach w Krajowej Radzie Sądownictwa. Po 16 latach Smoleńsk niemal znika z debaty publicznej. Na stronach gov.pl wisi raport przygotowany pod dyktando służb Putina. Każda wzmianka w mediach społecznościowych o zamachu zwykle spotyka się z huraganem hejtu.

Na tym tle wyjątkowym miejscem jest portal Solidarni2010.pl, gdzie dostępne jest m.in. znakomite kompendium wiedzy autorstwa prof. Witakowskiego pt. „Tragedia posmoleńska". Dla tych, którzy nie przyjmują kłamstw Anodiny i Millera, działalność Solidarnych 2010 i sądowa walka rodzin o elementarną sprawiedliwość to świadectwa, że walka o prawdę trwa. ©℗



eprasa.pl d705243ad8

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA




ĆWIERKOT

# Na berlińskich ulicach...



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Tusk powiedział, że Polska nie przystąpi do Rady Pokoju Trumpa. Stop. Dodał, że „Polska nie będzie niczyim wasalem". Stop. Na berlińskich ulicach zaobserwowano zjawisko masowego tarzania się ludzi ze śmiechu. Stop.

Stara miłość nie rdzewieje, może to nie ma tu zastosowania, a może właśnie ma, niech państwo sami zdecydują – ja naświetlę. Stop. Otóż jest taki komunista czy postkomunista, w każdym razie buraczkowaty (o kolorze ideolo wyłącznie mówię) Włodzimierz Czarzasty. Stop. I ten właśnie Włodek nigdy nie wypełnił ankiety bezpieczeństwa, jakby się czegoś obawiał. Stop. Różni tacy żurnaliści zaczęli węszyć i okazało się, że pewna jego bliska znajoma Rosjanka, a wspólniczka jego żony biznesowo handluje ponoć w Petersburgu mieniem FSB, czyli kiedyś KGB. Stop. Się okazało zarówno, że ten Włodek, który teraz jest drugą osobą w państwie, bo jest marszałkiem Sejmu, jest w pewnej fundacji ze swoim starym druhem z postkomunistycznego stowarzyszenia Ordynacka, a ten znajomy jawnie wychwala Putina, bo mu się Putin i bolszewicy niezwykle podobają. Stop. W sumie znajomość raczej taka sobie, biorąc pod uwagę interesy Polski, ale może to wyjaśnia, czemu Czarzasty chce nas skłócić z USA. Stop. Ale teraz wreszcie do tej starej miłości przejdźmy. Stop. Otóż Jacek Dobrzyński, rzecznik prasowy ministra koordynatora służb specjalnych, powiedział, że ej, spoko luz, „Włodzimierz Czarzasty posiada dostęp do informacji o najwyższej klauzuli tajności. Służby specjalne nie mają w tym zakresie żadnych zastrzeżeń i bezwzględnie realizują obowiązujące przepisy". Stop. Fajnie, fajnie, tylko że nie dopowiedział, iż Czarzasty nigdy ankiety bezpieczeństwa nie wypełnił, a dostęp ma z powodu zajmowanego stanowiska. Teraz będzie najciekawsze. Stop. Dobrzyński to ORMO-wiec, a Czarzasty PZPR-owiec, czyli ORMO-wiec wystawia laurkę komuniście. Stop. Z młodości pamiętam, jak ludzie naśmiewali się z inteligencji ORMO-wców i jeszcze zdanko: „ORMO, bijące serce partii".

Radosław Sikorski, minister spraw zagranicznych, poleciał do Indii z żoną Anną. Stop. Może się jej wstydzi, bo na oficjalnych zdjęciach z MSZ pokazuje siebie, ale nie pokazuje Anny. Stop. Annę Applebaum można za to zobaczyć na zdjęciach ministerstwa indyjskiego. Stop. Może się jej jednak nie wstydzi, ale może za jej wycieczkę zapłacił z państwowych pieniędzy i boi się, żeby nie wyszło? Stop. Eee, niemożliwe! ©℗



eprasa.pl d705243ad8



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR




FOT. HORNET/REPORTER

## PO CICHUTKU

Jaki ten Kościół zły, jaki niedobry... „Jojczenie" celebrytów w temacie wiary następuje niemal tak regularnie jak fazy Księżyca. Niedawno państwo Majdanowie wystąpili w podcaście „Rachunek sumienia" Magdaleny Rigamonti. „Polscy Beckhamowie" przyznali, że są mocno zaniepokojeni – nadmiernymi ich zdaniem – próbami wpływania księży na to, co myślą wierni. – W naszym przypadku, kiedy mamy dzieci z in vitro, to jest bardzo osobista sprawa. Możesz czuć zawód, jeżeli instytucja Kościoła nie rozumie czy neguje, nie traktuje ich poważnie. Nam, jako rodzicom, nawet ciężko jest to powiedzieć. Jesteśmy o to często pytani. To nie jest nasz manifest przeciwko Kościołowi, to jest nasze zdanie – podkreślają Gosia i Radek. Małgorzata zaznacza, że pochodzi z domu, w którym chodzenie na Msze było tradycją, jednak sama wobec swoich synów tej tradycji nie kultywuje. Gwiazda TVN wyjaśnia, że „ma problem z przeżywaniem wspólnotowo duchowości" i zaleca praktykowanie wiary w samotności. – Wierzę i nie mam co do tego wątpliwości. Nigdy nie miałam, niezależnie od tego, jak układało się moje życie. Uważam, że to bardzo wzmacnia i nie mam wątpliwości co do tego, że Bóg istnieje – mówi Rozenek. W innym wywiadzie Radosław Majdan zdradził, dlaczego nie zdecydowali się ochrzcić najmłodszego syna, Henryka. – Dlaczego my mamy posyłać syna do społeczności, która go nie akceptuje, nie akceptuje jego narodzin? – pytał były piłkarz. – To dla mnie jest oczywiste, że skoro rzeczywiście Kościół nie uważa narodzin poprzez metodę in vitro za coś, co należy wspierać, krytykuje to czy pojawiają się jeszcze – poprzez były rząd – jakieś podręczniki do szkoły, które już w ogóle są upokarzające, ale też są stymulacją, mam wrażenie, Kościoła, no to ja bym się czuł nie w porządku w stosunku do mojego syna – przyznał w podcaście w RMF ON. Czyli wiara ma być „uprawiana" po cichutku, ale np. „nieheteronormatywna orientacja seksualna" manifestowana najlepiej w półnagiej, wulgarnej paradzie. Nie szukajmy logiki, bo jej tu nie ma.

## JAKA DUMNA!

Czytelników o słabych nerwach uprzedzam: to nie koniec. Aktorka Małgorzata Potocka, która pojawi się w nowej edycji show „Taniec z gwiazdami", uznała chyba, że fakt ten upoważnia ją do autorytatywnych wypowiedzi na temat wiary i życia zgodnie z moralnością. W rozmowie z „Repliką" opowiedziała się za prawem do zawierania „małżeństw" przez osoby tej samej płci. „Jeśli dwoje ludzi chce ze sobą żyć, to powinni mieć możliwość po prostu wzięcia ślubu. Na drodze temu staje u nas oczywiście katolicyzm, który mówi, że tylko kobieta i mężczyzna tworzą rodzinę, co jest bzdurą, bo przecież jest całe mnóstwo bezdzietnych małżeństw, a widziałam za granicą wiele rodzin homoseksualnych, w których dzieci były wychowywane wspaniale" – podkreślała. Dalej aktorka podzieliła się historią związaną z edukacją swojej córki. „Na lekcji religii usłyszała od zakonnicy katechetki, że homoseksualizm to choroba, którą trzeba leczyć. Wstała i powiedziała: »Takich głupot to ja nigdy nie słyszałam, a siostrze nie wolno takich bzdur opowiadać«, po czym wyszła, trzaskając drzwiami. Oczywiście zrobiła się chryja, zostałam wezwana do szkoły, ale powiedziałam, że córka miała rację, a katechetka jest niedouczona i skoro jest kołtunką, to powinna stracić pracę" – podsumowała wyraźnie dumna z latorośli Potocka.

## DZIK JEST DZIKI

Na rozluźnienie – historyjka o dziku. Influencer i youtuber Karol „Friz" Wiśniewski podzielił się z obserwatorami swoją walką z... dzikami. Zwierzęta pojawiły się pod willą „Friza" i za nic nie chciały sobie pójść. Karol walczył dzielnie – na nagraniach udostępnionych na TikToku pokazał, jak biega po podwórku i wymachuje szuflą do zgarniania śniegu. – Chodź tu k..rwa, to cię j.bnę tak, że to k..rwa szok. Rozumiesz to?! Nie macie ze mną szans! Jestem w tym momencie apex predatorem [drapieżnikiem szczytowym – przyp. red.] – wykrzykuje na jednym z nagrań, które szybko stały się hitem sieci. „Friz" postanowił wykorzystać ich potencjał i wystosował apel do obserwujących. Influencer wystawił na WOŚP wspólną walkę z dzikami. – Kochani, to jest oficjalny apel. Potrzebuję waszej pomocy w walce z tymi pier.olonymi dzikami [...]. Stworzyłem specjalną aukcję, gdzie przyjadę do kogoś do domu i będę pomagał mu w przeganianiu dzików, tą oto legendarną, podpisaną łopatą, która trafi oczywiście w jego ręce. Jest to aukcja na WOŚP i cała kwota, która zostanie zlicytowana, zostanie przekazana na cele charytatywne. Kochani, to jest apel. Zbierzmy siły. Nie dajmy sobą pomiatać – przekazał za pośrednictwem TikToka. Wygrany będzie mógł przez godzinę razem z influencerem przeganiać dziki. Oby nikomu nic się nie stało! I nie mam tu na myśli tych zadziornych ssaków z kłami. ©℗



eprasa.pl d705243ad8



# MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak wiecie nie jesteśmy fanami sportu od strony tzw. kompetencyjnej, czyli nie jarają nas wszystkie wyniki, tabele, medale. Jesteśmy za to, z racji pasji i wykształcenia, wielkimi fanami strony socjologicznej sportu, a dzięki trwającym igrzyskom olimpijskim i postawie Nowego z Tarnowa mamy niebywałą bekę i okazję do analizy postaw przeciętnego polskiego janusza.

Otóż jednego dnia Nowy przyszedł do korpo cały w skowronkach (dla młodszych czytelników – nie że obwiesił się ptaszkami, tak się kiedyś mówiło, gdy ktoś był z czegoś bardzo szczęśliwy, nie martwcie się o los osoboskowronków), iż młody reprezentant Polski w skokach narciarskich Kacper Tomasiak zdobył srebrny medal, a więc zajął drugie miejsce. Postanowiliśmy się podroczyć z Nowym i zauważyliśmy, iż drugie miejsce oznacza, iż wcale nie wygrał, a jeśli odnotujemy, iż złoty medal wywalczył reprezentant Niemiec, to przegrał nawet podwójnie.

Nowy się zaperzył, iż nie doceniamy kolejnego wielkiego sukcesu tego kraju w skokach narciarskich (no przecież, że nie xD) i że taki wielki sukces, a my deprecjonujemy, pewnie dlatego, iż Tomasiak jest ministrantem. Po czym skończył temat, zasiadł przed monitorem, udając, iż wypełnia Excela, ale my dobrze wiedzieliśmy, że obstawiał coś w zakładach bukmacherskich xD.

No i kolejnego dnia przyszedł w nastroju pod psem (uspokajamy – tak się mówi, kiedy komuś jest bardzo źle, nie ucierpiało tam żadne psiecko), iż polska drużyna mieszana zajęła dopiero przedostatnie miejsce i że on w ogóle nie popiera idei takich drużyn mieszanych, że jak to chłopy z babami razem skaczą i w ogóle kto to widział, żeby kobita w powietrzu latała.

Szczerze mówiąc, my sami do końca nie byliśmy świadomi istnienia drużyn mieszanych w skokach narciarskich, ale of kors kupujemy ten pomysł i jesteśmy jak najbardziej za powielaniem go w innych sportach, np. w piłce nożnej 5 osób zawodniczych damskich, 5 osób zawodniczych męskich oraz jedna




osoba niebinarna – i takie rozgrywki Ligi Mistrzów czy inne puchary to byśmy oglądali pewnie nie tylko my, ale każdy w kolektywie. Pewnie odpadłoby z widowni trochę podobnych Nowemu tradycjonalistycznych mizoginów i frustratów, ale to przecież nie liczy się ilość kibiców, ale ich jakość, no nie?

Czekamy teraz na kolejne występy tenkrajowych sportowczyń i sportowców i osób sportujących, iżby analizować kolejne stany emocjonalne Nowego i kto wie, może jakiś artykuł naukowy nam by z tego wyszedł?

Wogóle, kochani, to z Nowym mamy jeszcze poważniejszy problem. Otósh, jak kiedyś Wam wspominaliśmy, został on wielkim fanem LinkedIna, postuje jakieś teksty napisane chatem GPT (nie spodziewaliśmy się po nim korzystania z tak zaawansowanych technologii), zrobił sobie zdjęcie, na którym ma ciemne oprawy okularów, niebieski garnitur, wspiera brodę na dłoni i patrzy w dal. Słowem: Nowy staje się Polakiem – LinkedIniakiem, na tyle of kors, na ile pozwala mu jego podkarpacki mental.

Natomiast co z tego wynika dla nas – Nowy naczytał się tych wszystkich coachów, CEO, dyrektorów do spraw rozwoju i menedżerów HR i uznał, iż nadszedł u nas koniec pracy hybrydowej, iż on czuje, że pracujemy nieefektywnie i nie ma nad tym kontroli.

Zaczął więc za nami łazić, że zainstaluje nam programy do śledzenia aktywności, że prosi o dane z liczników prądu w dni pracy zdalnej, iżby wiedzieć, czy nie robimy prania, zamiast siedzieć przy komputerze itd.

Na szczęście w pewnym momencie się zorientował, iż przecież on też bierze zdalną, jak jedzie do osób płodzących po słoiki, i z pewnością nie byłby beneficjentem zmiany. Uznał więc, iż jego model zarządzania jest agile, a co za tym idzie – wcześniejsze ustalenia nie są dla niego wiążące.

Dobrze dla nas, ale już my mu to przypomnimy, jak zacznie wymyślać kolejne zmiany xD. ©℗

***FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO***

## PODSŁUCHANE

# Prohibicja

**Włodek, ty weź coś zrób z tą ruską, bo jak cię mamy bronić, to teraz nam trochę trudno jest.**

Nie mogę, Donald, nie mogę.

**Jak: nie możesz? Weź się z tej spółki wymiksuj i tyle.**
Nie mogę. Ty kojarzysz Belugę?

**Że co?**
Wódka Beluga. Rosyjska. Pycha, wspaniała, cudowna. Ta Rosjanka jest moim jedynym źródłem teraz, inaczej będę odcięty.

**Ale ta twoja prohibicja w Sejmie...**
Właśnie! I jak wracam do domu, to się po prostu muszę napić! ©℗

***Łukasz Warzecha***

## OD RZECZY

**„W każdym miasteczku Polski powinien stanąć pomnik nieznanego ukraińskiego żołnierza".**

***SŁAWOMIR DĘBSKI,*** *politolog, były szef PISM, w „Tygodniku Powszechnym"*



eprasa.pl d705243ad8

# dwaj panowie g

Z życia Nowogrodzkiej: aktualnie życia brak. Już tydzień temu miał bowiem powrócić do biura szeregowy poseł Jarosław Kaczyński, ale nie powrócił. Zamiast ze szpitala do biura trafił ze szpitala do domu, gdzie oddaje się rekonwalescencji. Oczywiście nasz żarcik, że w związku z tym życia na Nowogrodzkiej brak, nie odpowiada prawdzie. Życia jest tam niestety aż za dużo.

Odnotujmy więc nasiadówkę rozmaitych pełnomocników PiS z całej Polski, którzy spotkali się i dyskutowali o tzw. sytuacji bieżącej. Działo się to niedawno, jakoś w czwartek. Co się liczy w sytuacji bieżącej? My oczywiście podpowiadamy najważniejszą kwestię, tzn. fakt, że prezesa naczelnika nie ma w biurze. Ale pełnomocników najbardziej rozpalało co innego: mianowicie to, jak bardzo nie lubią Brauna, jego Konfederacji, jego Korony i jego przepaski.

Sprawa jest ciekawa i warta objaśnienia, więc objaśniamy. Otóż z badań, o których istnieniu wiemy, wynika, że elektorat PiS w sumie to by chciał koalicji i z jedną Konfederacją, i z drugą. Co więcej, z tych samych badań wynika, że elektorat jednej i drugiej Konfederacji też w sumie chciałby koalicji z PiS. Żeby było ciekawiej, to wyborcy Brauna chcą tego dużo bardziej niż wyborcy Mentzena. W związku z tym kierownictwo PiS jest przeciw koalicji. Rozumiecie coś z tego? No właśnie, my też nie bardzo.

Słyszeliśmy nawet taką ploteczkę z wnętrza PiS, że amerykański ambasador Tom Rose spadł z nieba prezesowi naczelnikowi, bo może się teraz zasłaniać tym, że on to by w sumie nawet jakąś koalicję zrobił, ale Amerykanie nie chcą. Jeśli tak wyglądają aktualne kalkulacje, to są błędne. Bo napędzają zwolenników Braunowi, a nie PiS.

Ciekawa rzecz: aktyw i teren PiS, który jest mocno suwerennościowy, zaczął pytać nieśmiało, jak to w sumie jest, że kiedy Bruksela chce meblować polskie koalicje i rządy, to jest źle. A jak Waszyngton chce robić to samo – to już jest dobrze. Czy zasada nieingerencji nie powinna obowiązywać wszystkich jednako?

My tu gadu-gadu o jakichś nieistotnych sprawach, jak przyszłość Polski, a tymczasem w PiS dalej wszystkich rozgrzewa to, co naprawdę ważne. Czyli kto kogo zaora. Żeby było śmieszniej, wewnątrz maślarzy tłuką się sasinowcy z czarnkowcami, którzy przecież powinni zgodnie stawiać czoła morawianom. Zwłaszcza że Morawiecki emancypuje się coraz bardziej, co udowodnił wywiadem dla Wp.pl, w którym ogłosił, w kontekście sporów w PiS, „koniec skakania Morawieckiemu po pagonach". Głupia sprawa, widzieliśmy Morawieckiego nie raz. Pagonów – ani razu.

Z Europy. Pracownicy Komisji Europejskiej zatrudnieni w dyrekcji do spraw umów handlowych (w tym od umów handlowych USA – Unia) dostali zakaz wypowiadania się do prasy. Brukselskie wiewiórki komentują złośliwie, że biedacy prawdy powiedzieć nie mogą, a kłamać, widać, nie umieją. Podpisujemy się pod tym komentarzem.

Sport. Na zimowych igrzyskach olimpijskich zadano ciężki cios polskiej ateistycznej lewicy. Za skoczka ministranta Kacpra Tomasiaka kciuki trzymali członkowie Duszpasterstwa Liturgicznej Służby Ołtarza Diecezji Bielsko-Żywieckiej, którzy jeszcze przed konkursem pisali: „Drogi Kacprze, tak jak Ty niosłeś kadzidło przed Panem, tak teraz On niech Cię niesie daleko i bezpiecznie!". Tomasiak zdobył srebrny medal, co ministranci skwitowali krótko: „Pan poniósł Cię daleko!". Lewicy pozostaje zastanawianie się, czy Karol Marks poniósł kiedyś kogoś aż po medal.

Tymczasem w Krakowie. Jak wytropiły nieodpowiedzialne, złośliwe pismaki, prezydent Miszalski, włodarz Krakowa z woli





eprasa.pl d705243ad8



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Platformy, Koalicji, Obywatelskiej czy jak się tam teraz nazywa ta ojkofobiczna jaczejka, wypłacił swym zastępcom nagrody kwartalne o łącznej wysokości 74 tys. zł. Nie rozumiemy oburzenia. Pracowali, to zarobili.

Aby przeciąć niegodne dziennikarzy domysły, postanowiliśmy rozbić na części składowe przyznane przez Miszalskiego nagrody. Pomogło nam biuro prasowe urzędu miasta, które objaśniło, że nagradza się „indywidualne wyniki pracy, zaangażowanie w pracy, rzetelność, dyspozycyjność, inicjatywę w podejmowaniu działań usprawniających czy też doskonalących". Zatem już wyliczamy (kalkulacje własne, nie biura), jak to dokładnie mogło być. Za indywidualne wyniki pracy – tysiąc złotych. Za zaangażowanie – tysiąc złotych. Za inicjatywę – tysiąc złotych. Za rzetelność i dyspozycyjność – tysiąc złotych. Za to, że wiedzieli, wobec kogo być dyspozycyjnym – 70 tys. zł. Razem 74 tys. Nie chce wyjść mniej.

Pozostajemy w naszym ukochanym grodzie Kraka. Wielkimi krokami zbliża się referendum. Liczba podpisów za odwołaniem Miszalskiego przekroczyła 50 tys. Jednak ambicje organizatorów sięgają dalej. Chcą cyknąć dwa, a nawet trzy razy tyle. Gdyby się ten plan udał, to właściwie referendum byłoby formalnością, bo do pogonienia Miszalskiego wystarczy jakieś 140 tys. głosów.

Miszalski walczy. W miarę przyrostu liczby zbieranych podpisów czyni kolejne ustępstwa na rzecz mieszkańców Krakowa. Na razie puknął człowieka odpowiedzialnego za wprowadzenie powszechnie znienawidzonej przez Krakusów Strefy Czystego Transportu. W mieście mówią, że jak liczba podpisów będzie rosła w tym tempie, to wkrótce prezydent wprowadzi bezpłatne parkingi – a kto wie – może nawet zacznie do nich dopłacać.

W grodzie Kraka był także ostatnio widziany Paweł Graś, który od dawna nie odwiedzał miasta, ale mu się zmieniło. I znalazł czas dla Miszalskiego między swoimi licznymi rejsami do Brukseli. Złe języki mówią, że Graś przywiózł od samego złego Donalda wieści, żeby Miszalski nawet nie ważył się kandydować na szefa lokalnych struktur PO, KO czy jak tam się teraz nazywa ta ojkofobiczna jaczejka. Nas to nawet nie dziwi. W jakże krótkim czasie Miszalski spieprzył wszystko, co było do spieprzenia. Zatem jego dalsza ciężka praca jako lokalnego szefa KO, PO czy jak się tam teraz nazywa ta ojkofobiczna jaczejka, musiałaby się skończyć katastrofą dla partii złego Donalda z Sopotu. My temu szczerze kibicujemy.

Narasta szorstka przyjaźń między dwoma generałami, którym się marzy nieformalne zwierzchnictwo nad służbami – Radosławem Kujawą i Krzysztofem Bondarykiem. Czyli kolejna odsłona walki Legii (Kujawa z woja) z Gwardią (Bondaryk z milicji). Nasze wiewiórki twierdzą, że chwilową przewagę ma Legia. Zważywszy jednak, że klubowi piłkarskiemu o tej nazwie grozi spadek z ekstraklasy, nic nas już nie zdziwi. My osobiście w tym sporze kibicujemy Czarnym Koszulom, czyli Polonii. Prosimy o niemylenie z brunatnymi koszulami.

Z kroniki towarzyskiej. W ubiegłym tygodniu sąd w Warszawie orzekł rozwód sędziego Łączewskiego. Materiał był bardzo ciekawy. Tak się złożyło, że Panowie G. mieli okazję przeczytać SMS-y, które do byłej już obecnie żony wysyłał pan sędzia. Niestety, nie odważymy się ich zacytować i nie chodzi o tajemnice korespondencji. Są one tak wulgarne, że język filmów Smarzowskiego przy tym to subtelna poezja. My nie mamy nic przeciwko poezji, ale przeciw wulgarności wobec kobiet – akurat mamy.

Sprawa rozwodu sędziego Łączewskiego jest o tyle ciekawa, że nie wiemy, czy wyrok się utrzyma. Gdyż krążą słuchy, że orzekał w niej neosędzia. Pożyjemy, zobaczymy. My jednak trzymamy kciuki za inny skład orzekający. Ten, który od sześciu już lat nie może się zebrać, by osądzić składanie fałszywych zeznań przez Łączewskiego. Na pewno pamiętacie tę sprawę, bo było o niej głośno. Łączewski dał się nabrać na profil fałszywego Tomasza Lisa, a potem twierdził, że ktoś włamał mu się na konto. ©℗



eprasa.pl d705243ad8

uvex
uvex
AF




FOT. KAI PFAFFENBACH / REUTERS / FORUM

# KACPER TOMASIAK WICEMISTRZEM OLIMPIJSKIM

Po dwóch rewelacyjnych skokach na 103 m i 107 m zaledwie 19-letni Kacper Tomasiak niespodziewanie wywalczył na skoczni normalnej w Predazzo srebrny medal olimpijski. – On jest jak Piotrek Żyła 25 lat temu. Ma kopa naprawdę niesamowitego, jest poukładany i ma bardzo silną psychikę [...]. Kacper jest w tym debeściak – mówił Adam Małysz w rozmowie z reporterami telewizji Eurosport.

Za srebrny krążek Polski Komitet Olimpijski wypłaci sportowcowi 400 tys. zł w gotówce oraz 200 tys. w tokenach. Młody sportowiec otrzyma też obraz, voucher na wakacje i biżuterię wartą 2 tys. zł. Do tego Kacper Tomasiak otrzyma przelew z Ministerstwa Sportu i Turystyki. 19-latek zapewnił sobie już prawo do olimpijskiej emerytury (będzie się mógł o nią ubiegać dopiero po ukończeniu 40 lat).

Zimowe Igrzyska Olimpijskie Mediolan-Cortina d'Ampezzo 2026 oficjalnie rozpoczęły się 6 lutego. Sportowcy rywalizować będą do 22 lutego. ***(jap)*** ©℗



Łukasz Warzecha

# Polska zwasalizowana

**W Polsce ogon macha psem: realna polityka staje się nierzadko zakładnikiem PR-owskiego przekazu, a nie odwrotnie. To sprawia, że amerykańscy dyplomaci traktują Polskę nie jak kraj, w którym trzeba się choć trochę starać, ale jak państwo południowoamerykańskie, gdzie po prostu komunikuje się potrzeby Waszyngtonu i te zostają spełnione**



Amerykanie mieszają się w wewnętrzne sprawy Polski, bo przyzwyczailiśmy ich do tego, że mogą to robić. Na zdjęciu: Donald Trump i Donald Tusk

FOT. CHRISTIAN BRUNA/PAP/EPA

Ambasador Tom Rose jest na prostej drodze do zapisania się w historii podobnie jak jego niebezpośrednia poprzedniczka Georgette Mosbacher: jako dyplomata wyjątkowo bezceremonialnie i otwarcie mieszający się w wewnętrzne sprawy Polski. Na pytanie o przyczyny takiego stanu rzeczy jako odpowiedź wyjątkowo dobrze pasuje w tym wypadku fraza: bo może. Lub też: bo mogą – Amerykanie. Wyjaśnienie nie byłoby jednak pełne bez dalszego ciągu: bo do tego ich przyzwyczailiśmy od lat.

Ślady amerykańskiego wpływu są obecne w polskiej polityce w zasadzie od początku lat 90., ważne były w fazie negocjacji wejścia do NATO, a bardzo wyraźne są od początku lat 2000., a więc od chwili, gdy podjęliśmy brzemienne w skutki decyzje, dotyczące uczestniczenia w operacji najpierw afgańskiej (2001), a potem irackiej (2003). Ta druga – wypada przypomnieć – była z punktu widzenia prawa międzynarodowego nielegalna – prowadzono ją nie tylko bez międzynarodowego mandatu, lecz także na podstawie faktycznie zmyślonych informacji CIA o rzekomo ogromnych zasobach broni chemicznej, którymi miał dysponować Bagdad. Decyzję o wzięciu udziału w rozpoczętej drugiej wojnie w Zatoce Perskiej podejmował rząd Leszka Millera.

Ten, odpowiadając w wywiadzie na kanale Super Ring na moje pytanie o motywacje włączenia się w tamtą operację, mówił: „Wtedy zarysował się wyraźny



eprasa.pl d705243ad8

podział w NATO i w Unii Europejskiej. Jeden blok to byli Amerykanie, Brytyjczycy, Włosi, Duńczycy i tak dalej, a drugi – Niemcy i Francuzi razem z Rosjanami, chociaż Rosjanie nie bezpośrednio. Myśmy musieli zdecydować – czy tu, czy tu. Ja miałem bardzo mocne naciski ze strony Francuzów i Niemców, ale byłem pewny, że nasze miejsce jest po stronie Amerykanów i Brytyjczyków. To było dla mnie oczywiste".

## ALBO WSZYSTKO, ALBO NIC

Te wyjaśnienia byłego postkomunistycznego premiera, który teoretycznie wbrew swojemu życiorysowi zdecydował się wybrać amerykańską stronę (ot, paradoks historii), są bardzo charakterystyczne, bo ilustrują sposób myślenia pokutujący w szczególności w Prawie i Sprawiedliwości: bezalternatywności i zero-jedynkowego wyboru. Albo po tej, albo po tamtej stronie. Jeżeli po stronie USA, to całkowicie, bez reszty i bezwarunkowo. Gwoli usprawiedliwienia Leszka Millera trzeba przypomnieć, że mówimy o dość już odległym czasie, gdy układ międzynarodowy wyglądał inaczej, Polska była względnie świeżym członkiem NATO (przyjęto nas w 1999 r.), a już wcześniej wzięliśmy udział, jeszcze na mocy decyzji rządu Jerzego Buzka, w wojnie w Afganistanie, rozpoczętej wkrótce po zamachach z 11 września 2001 r., kiedy to jedyny jak dotąd raz przywołano art. 5 traktatu północnoatlantyckiego.

U podstaw myślenia polskich polityków o relacjach z USA leży skądinąd trafne przeświadczenie, że tylko Ameryka dysponuje realną siłą militarną, która może stanowić dla nas szybką i skuteczną pomoc w razie bezpośredniego zagrożenia. Wystarczy przypomnieć, że jeszcze w 2024 r. USA wydawały na obronność ponad 750 mld dol., a cała reszta NATO łącznie 430 mld dol. Kwestionowanie sojuszu z USA jako podstawy naszego bezpieczeństwa byłoby zwyczajnie nieracjonalne – choć trzeba przy tym pamiętać, że żaden mechanizm, z traktatem północnoatlantyckim włącznie, nie jest automatyczny.

Nieracjonalne jest jednak także widzenie relacji z potężnym sojusznikiem w kategoriach zero-jedynkowych, a nie płynnych. A więc: albo wszystko, albo nic. Tak wydaje się rozumować zwłaszcza część umownej prawicy. Z kolei inna jej część, głównie ta skupiona wokół Grzegorza Brauna, epatuje ostentacyjnym i tępym antyamerykanizmem, który w dużej mierze ma źródło w trwałym przymierzu amerykańsko-izraelskim. Wątki żydowskie w optyce Brauna i jego sympatyków mają naczelne i wręcz absurdalnie wyolbrzymiane znaczenie. Jak w każdej fobii, tak i tu próżno szukać racjonalności. Paradoksalnie najbardziej zniuansowana z konieczności jest postawa politycznej formacji obecnego premiera, bo ta z jednej strony przywiązana jest do najsilniejszych europejskich graczy, ale z drugiej nie może się odciąć od Ameryki, nawet jeśli jej prezydentem jest Donald Trump. Donald Tusk w istocie nie jest antyamerykański, lecz antytrumpowski, ale z przymusu, i to w umiarkowanym stopniu. Jest to jednak dalekie od celowo prowadzonej gry na wielu fortepianach, w której mistrzami okazują się tacy przywódcy jak Viktor Orbán czy Recep Tayyip Erdoğan, prezydent Turcji.

Gra z USA wydaje się niestety przerastać intelektualne umiejętności większości polskich polityków. Gdyby bowiem miała to być rozgrywka wciąż zapewniająca nam trwałość sojuszu, zwłaszcza w kwestii twardego bezpieczeństwa, a jednocześnie nierobiąca z nas czegoś na kształt amerykańskiej kolonii, musiałaby uwzględniać bardzo dużą liczbę czynników: strategiczne położenie Polski i fakt, że w związku z tym jesteśmy dla Waszyngtonu względnie cennym sprzymierzeńcem, amerykańskie interesy gospodarcze w naszym kraju, ewentualne rozbieżności tychże interesów, tendencję Amerykanów do bezwzględnego wykorzystywania nadarzających się okazji biznesowych (zwłaszcza w przemyśle obronnym), realny, a nie wyimaginowany poziom zagrożenia naszego kraju, możliwości osiągania korzyści z gry z innymi potęgami, takimi jak przede wszystkim Chiny, a może i Rosja. Do takich szachów 3D mało kto wśród polskich polityków jest przygotowany, zwłaszcza że stosunek do USA – w zależności od tego, kto jest w danym momencie lokatorem Białego Domu – jest częścią predefiniowanych pakietów poglądów, którymi partie pobudzają swoich zwolenników. W tej zaś sprawie w Polsce ogon macha psem: realna polityka staje się nierzadko zakładnikiem PR-owskiego przekazu, a nie odwrotnie.

To sprawia, że amerykańscy dyplomaci traktują Polskę nie jak kraj, w którym trzeba się choć trochę starać, ale jak państwo południowoamerykańskie, gdzie po prostu komunikuje się potrzeby Waszyngtonu i te zostają spełnione. Taka europejska Wenezuela, jeśli wziąć pod uwagę obecną relację USA z Caracas. Podobnej relacji z USA nie ma żaden porównywalny z Polską kraj regionu (nie liczę Litwy, która jest małym państwem), nawet Rumunia.

## KŁOPOT Z TRUMPEM

Od momentu, gdy urząd prezydenta USA objął Donald Trump, PiS znalazł się w kłopotliwej pozycji. Z jednej strony w ramach gotowego pakietu poglądów Trump jest traktowany w zasadzie bezkrytycznie. Mało tego, dzięki kontaktom niektórych polityków PiS z amerykańską administracją i dobremu układowi z prezydentem Nawrockim jest uważany za atut w polskiej wewnętrznej grze politycznej, choć podczas kampanii prezydenckiej poza spotkaniem Trumpa z kandydatem PiS w Waszyngtonie amerykańska administracja zachowywała się zadziwiająco wstrzemięźliwie. Z drugiej jednak strony Donald Trump uprawia politykę dokładnie taką, jaką PiS zapalczywie krytykował szczególnie od momentu wybuchu wojny na Ukrainie. Jest zatem brutalnie wręcz transakcyjny. Gdzie narzekania Pawła Jabłońskiego, który taką politykę zawzięcie potępiał i twierdził, że absolutnie nie możemy po nią sięgać? Kompletnie lekceważy prawo międzynarodowe, co najlepiej widać było podczas amerykańskiego ataku na Wenezuelę, który nie tylko nie miał mandatu międzynarodowego, lecz także dokonano w jego trakcie porwania wenezuelskiego prezydenta. Próbuje się porozumieć z Władimirem Putinem oraz nawiązał dobre kontakty z Alaksandrem Łukaszenką. We wszystkich tych sprawach politycy PiS są zmuszeni do nieprawdopodobnych wręcz wygibasów i fikołków albo po prostu je ignorują. Wygląda to zarazem komicznie i żałośnie. Jedną z potężnych motywacji jest nadzieja, że amerykański wpływ pozwoli obalić rząd Donalda Tuska i da PiS ponowne zwycięstwo wyborcze. Ta rachuba nie tylko może być błędna, lecz także jest zwyczajnie niebezpieczna, bo zakłada ręczne starowanie polskimi sprawami przez Waszyngton.



eprasa.pl d705243ad8

Radykalnie proamerykański PiS nie bierze pod uwagę, że krajobraz sympatii politycznych w Polsce mocno się zmienił. Paradoksalnie wydaje się to lekceważyć także sam prezydent Nawrocki, zapominając, że ok. 40 proc. głosów oddanych na niego w drugiej turze wyborów w ubiegłym roku pochodziło od wyborców formacji, które mają do USA stosunek albo mniej entuzjastyczny niż PiS, albo otwarcie wrogi.

Owszem, Polska nadal pozostaje proamerykańska na tle innych państw Europy. Pokazał to grudniowy sondaż magazynu „Le Grand Continent", w którym respondentów z siedmiu krajów (Polska, Dania, Niemcy, Włochy, Francja, Belgia i Hiszpania) pytano m.in. o ocenę polityki Donalda Trumpa. Sondaż pokazał dwie ciekawe rzeczy. Po pierwsze – że większość Polaków jest wobec działań amerykańskiego prezydenta sceptyczna. Po drugie – że ten sceptycyzm jest wyraźnie niższy niż w przypadku innych badanych państw. Dla przykładu: najwięcej osób właśnie w Polsce, 26 proc., stwierdziło, że najlepiej politykę Donalda Trumpa opisują słowa: „obrona wolności oraz własnych uzasadnionych interesów". Średnia dla wszystkich badanych to 19 proc. Jednocześnie aż 44 proc. wskazało na stwierdzenie: „rekolonizacja i zawłaszczanie światowych zasobów" (średnia: 64 proc.). Mając za zadanie dokończenie zdania: „Donald Trump jest w trakcie…" znów najwięcej Polaków – 18 proc. – odpowiedziało „… wzmacniania Zachodu" (średnia: 14 proc.). Najwięcej było też w Polsce niezdecydowanych – 28 proc. Lecz znów, zgodnie z europejską tendencją, dominowała odpowiedź „osłabiania Zachodu" – 42 proc. (średnia: 59 proc.). Mamy tu zatem sytuację trochę taką, jak z sondażami dotyczącymi członkostwa w UE: nadal większość je popiera, ale spadek tego poparcia jest bardzo wyraźny.

Tom Rose zaatakował marszałka Czarzastego w odpowiedzi na atak tego ostatniego na prezydenta Trumpa, który to atak był z kolei jednym z wielu posunięć wewnętrznej politycznej gry pomiędzy Nową Lewicą a Pałacem Prezydenckim, w której głównym celem Włodzimierza Czarzastego jest zbudowanie pozycji własnej partii przed najbliższymi wyborami. Marszałek chce stać się szpicą w ofensywie przeciwko Karolowi Nawrockiemu. W tym kontekście skutek jego szarży okazał się bardzo ciekawy, bo w obronie marszałka Sejmu głosy odezwały się także z prawicy – tyle że nie PiS-owskiej. Nie bez znaczenia jest tutaj kontekst żydowski. Wszak ambasador jest amerykańskim Żydem, a połączenie tego faktu z polityką administracji Trumpa wobec Palestyny i Izraela działa na część polskiej prawicy jak płachta na byka. Czy z tym efektem w jakikolwiek sposób liczą się prezydent i PiS?

**Radykalnie proamerykański PiS nie bierze pod uwagę, że krajobraz sympatii politycznych w Polsce mocno się zmienił. Paradoksalnie wydaje się to lekceważyć także sam prezydent Nawrocki. Zapomniał, że głosowali na niego też wyborcy formacji, które mają do USA inny stosunek niż PiS**

## ZAKULISOWE RUCHY

Zapewne w tej chwili nie, bo wydaje się, że próbują oni toczyć inną rozgrywkę. Właśnie antyżydowski i antyamerykański wątek polityki Grzegorza Brauna uzasadnia stanowisko Toma Rose'a w sprawie udziału Konfederacji Korony Polskiej w przyszłym polskim rządzie, powtórzone w wyjątkowo nieumiejętny sposób przez Jarosława Kaczyńskiego. Jego deklaracja sprzed kilkunastu dni, że z Braunem PiS nie pójdzie nigdy, bo narażałoby to relacje z USA, brzmiała jak karne powtórzenie dopiero otrzymanej od namiestnika instrukcji. Robiło to fatalne wrażenie. Można to jednak odczytywać również jako desperacką próbę ucieczki przed coraz skuteczniejszą taktyką Donalda Tuska, który – stawiając Brauna w centrum swojego przekazu jako najważniejsze zagrożenie (atak na obecność posła Skalika na RBN jest tego przykładem) – stara się właśnie spowodować, aby bez Konfederacji Korony Polskiej przyszła ewentualna prawicowa koalicja nie była możliwa, tym samym wpychając PiS w objęcia Brauna. Co z kolei pozwala się Koalicji Obywatelskiej prezentować jako ostatnia deska ratunku przed odpłynięciem polskiej polityki w stronę szurostwa i radykalizmu spod znaku „Jaszczura", „Ludwiczka" i Pitonia.

PiS zdaje sobie sprawę z zagrożenia i stąd powtarzające się informacje o prowadzonych za oceanem zabiegach na rzecz wpłynięcia Amerykanów na PSL, tak aby ten odwrócił sojusze i doprowadził do uchwalenia wotum nieufności wobec obecnego rządu, a w „tymczasowym" Władysław Kosiniak-Kamysz mógłby nawet liczyć na stanowisko premiera. Te działania ma prowadzić stara para zakulisowych graczy – Adam Bielan i Michał Kamiński.

Trzeba do tych informacji podchodzić sceptycznie. Bielan z Kamińskim od zawsze byli przede wszystkim mistrzami autopromocji i nie byłoby zaskoczeniem, gdyby to oni sami takie plotki rozpowszechniali, wyolbrzymiając w ten sposób własne kontakty i znaczenie. Poza tym lider ludowców miał już tego typu propozycję w 2023 r. i z niej nie skorzystał. Wtedy mógł grać znacznie wyżej niż dzisiaj, a było to, jeszcze zanim jego ludzie na nowo uzyskali dostęp do profitów władzy. Dzisiaj, przy katastrofalnie niskich notowaniach PSL i rozmoszczeniu się ludowców w strukturach władzy, przyjęcie tego typu oferty wydaje się jeszcze mniej prawdopodobne. Władysław Kosiniak-Kamysz słusznie zresztą nie ufa Jarosławowi Kaczyńskiemu, podobnie jak liderzy Konfederacji Wolność i Niepodległość.

Mimo to sam fakt, że o tego typu scenariuszu mówi się otwarcie, jest znaczący. Pytani o tę sprawę politycy PiS – np. były premier Mateusz Morawiecki – zaprzeczają, co może świadczyć, że zaczynają odnotowywać, iż nadmierny wpływ Amerykanów na polską politykę zaczyna być w sporym segmencie wyborców prawej strony źle widziany, nawet jeśli prezydentem jest Donald Trump. Tyle że sprawa marszałka Czarzastego to epizod i nadmierne skupienie się na niej nie powinny zaburzać obrazu całości. To, czy w tym momencie ten lub inny polityk PiS skrytykuje zbyt radykalne ataki amerykańskiego ambasadora na marszałka Sejmu, nijak nie koryguje kwestii strategicznej relacji Polski z USA, w której zdecydowanie potrzebujemy emancypacji, tyle że przeprowadzanej z wyczuciem, a nie jak wyrąbywanej siekierą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8

# Poczet amerykańskich „gubernatorów”



*Jan Fiedorczuk*

**Kolejni ambasadorowie Stanów Zjednoczonych zachowują się w Polsce niczym zarządcy zamorskiej kolonii. Georgette Mosbacher publicznie pouczała polskiego premiera, myląc jego nazwisko w oficjalnym liście, a Mark Brzezinski miał robić awantury prezydenckim ministrom za to, że polskie władze nie konsultują z nim swoich decyzji. Tom Rose podąża tą samą ścieżką**



Uroczystość zapalenia świec chanukowych w Sejmie RP. Od lewej: Szalom Ber Stambler, rabin Chabad Lubawicz, ambasador USA Tom Rose, marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty, 15 grudnia 2025 r. FOT. WITOLD JAROSŁAW SZULECKI/EAST NEWS

Już po tym, jak USA zdecydowały się zerwać stosunki z marszałkiem Sejmu Włodzimierzem Czarzastym, Tom Rose zamieścił zastanawiający wpis na swoim prywatnym koncie na portalu X. Jeden z użytkowników, jeden z tysięcy anonimowych internautów, stwierdził bowiem, że „naród polski szanuje swoją suwerenność”, a ambasador powinien wracać do domu. Amerykański dyplomata zamiast zignorować ten głos, skomentował: „Czy powinniśmy zabrać ze sobą wszystkich naszych żołnierzy i sprzęt?”. Po jakimś czasie Rose skasował wpis, jednak sytuacja zdaje się dobrze oddawać mentalność zarówno Rose’a, jak i jego poprzedników. Zarówno Mark Brzezinski, który urzędował przy Al. Ujazdowskich za prezydentury Joe Bidena, jak i Georgette Mosbacher, która była ambasadorem za pierwszej kadencji Donalda Trumpa, nie grzeszyli subtelnością i wielokrotnie nie tyle ingerowali w politykę nad Wisłą, ile wprost sztorcowali polskich polityków. Właściwie ten arogancki ton to jedyna rzecz, która łączy wymienionych troje dyplomatów. Każdy z nich bowiem przeszedł zupełnie inną drogę, zanim trafił do placówki w Warszawie.

## POWTARZAJĄCE SIĘ INTERWENCJE

Georgette Mosbacher to pierwsza z pocztu amerykańskich „nadambasadorów”. Związana z republikanami całe dekady – gdyż już od lat 60. – nie była nigdy typowym politykiem. Przez lata organizowała zbiórki charytatywne i spotkania na styku biznesu i polityki, tym samym poszerzając sieć kontaktów. Początkowo bardziej zainteresowana była jednak biznesem niż partyjną karierą.

Jej były mąż (jeden z trzech), Robert Mosbacher, był członkiem Partii Republikańskiej i m.in. szefem resortu handlu w ekipie George H.W. Busha. Sama Georgette Mosbacher od dekad utrzymuje doskonałe relacje z Donaldem Trumpem – była na jego ślubie z Melanią, wielokrotnie zapraszano ją na urodziny amerykańskiego prezydenta. Przed objęciem placówki w Polsce była współprzewodniczącą Komisji Finansów Krajowego Komitetu Partii Republikańskiej i – jako pierwsza kobieta w historii



eprasa.pl d705243ad8







– przewodniczącą Republikańskiego Stowarzyszenia Gubernatorów. W 2016 r. Barack Obama powołał ją do Rady Doradczej Dyplomacji Publicznej USA.

Mosbacher była niewątpliwie jednym z najbardziej wyrazistych ambasadorów w Polsce. Nawet jeżeli jej wpływ był pośredni, to właśnie za jej kadencji doszło do zniesienia wiz do Stanów Zjednoczonych, co od lat obiecywali kolejni prezydenci USA. Była to zmiana raczej symboliczna, a dla interesów państwa polskiego znaczenie miała marginalne, jednak odbiła się szerokim echem w przestrzeni publicznej, a tygodnik „Wprost" zdecydował się nawet uhonorować ambasador tytułem Człowieka Roku. To właśnie za czasów Mosbacher zaczęły zacieśniać się relacje handlowe między państwami, a kwoty, które Polska przeznaczała na zakup sprzętu wojskowego, znacząco rosły. To wówczas podpisano kontrakty (lub rozpoczęto ich negocjacje) na zakup systemu Patriot, 32 samolotów F-35 czy systemu artylerii rakietowej HIMARS.

Polityk zasłynęła jednak przede wszystkim z powtarzających się interwencji w wewnętrzną politykę polską, co wyraźnie odróżniało ją od jej poprzednika – Paula W. Jonesa. Jedną kwestią były powtarzające się ingerencje, drugą jednak impertynencki styl, w którym to robiła. Dwa tematy, na które Mosbacher była szczególnie wyczulona, to media oraz wymiar sprawiedliwości. Gdy w 2020 r. Beata Mazurek stwierdziła, że Rafał Trzaskowski boi się debatować z Andrzejem Dudą, gdyż woli „ustawioną debatę w WSI24 i niemieckim Onecie", ambasador natychmiast stanęła w obronie obu redakcji oraz Trzaskowskiego. „Dobrze Pani wie, że szerzy Pani coś, co jest absolutnym kłamstwem, sugerując, że TVN to WSI. Powinna się Pani wstydzić. To jest poniżej godności osoby, która reprezentuje Polaków" – napisała ambasador. Temat mediów wielokrotnie pojawiał się w jej wystąpieniach. Dwa lata przed spięciem z Mazurek amerykańska polityk pouczała premiera Mateusza Morawieckiego, twierdząc, że Stany Zjednoczone nie będą tolerować krytycznych słów polityków PiS pod adresem dziennikarzy stacji TVN. Ambasador wysłała wówczas list do polskiego premiera, w którym go upominała, powołując się na wolność słowa (i przy okazji robiąc błąd w nazwisku Morawieckiego). W jednym z wpisów w mediach społecznościowych przyznała jednak, że pewną rolę grają tutaj nie tylko wartości, lecz także wymierne interesy amerykańskiego koncernu. „TVN jest częścią rodziny Discovery, amerykańskiej firmy notowanej na giełdzie papierów wartościowych w Nowym Jorku, której priorytetami są przejrzystość, wolność słowa oraz niezależne i odpowiedzialne dziennikarstwo. Sugestie, że jest inaczej, są fałszywe" – przyznała.

Mosbacher nie omieszkała pouczać polskich władz czy to przy próbie wprowadzenia zakazu funkcjonowania Ubera, czy też wprowadzenia podatku cyfrowego od największych firm działających w Polsce. Za każdym razem ambasador nie bawiła się w zakulisowe dyskusje i negocjacje, tylko wprost komunikowała za pomocą mediów, że „Stany Zjednoczone nie zostawią" danej sprawy. Brawura Mosbacher była na tyle uderzająca, że Maciej Pieczyński ochrzcił ją mianem „nadambasador" („Do Rzeczy" nr 31/2020). Po latach nawet część polityków PiS przyznaje, że prezydent Duda zdecydował się zawetować tzw. lex TVN tylko ze względu na telefon Mosbacher. „Moją pracą jest także zapewnienie, by amerykańskie firmy, inwestujące w Polsce 43 mld dol., były uczciwie traktowane. Na tym samym poziomie co inne. I będę tę pracę kontynuowała" – stwierdziła pytana w Polsat News o jej powtarzające się interwencje w polską politykę.

„Będę zawsze tęskniła za Polską. Na zawsze pozostanie w moim sercu" – pisała w 2021 r. na zakończenie swojej misji w naszym kraju. W Polsce żegnano ją raczej bez żalu. Koalicja Obywatelska wyglądała już bowiem nominata Joe Bidena i demokratów, a z kolei posłowie PiS po cichu nie kryli irytacji jej ponawiającymi się ingerencjami w polskie sprawy. W kuluarach politycy prawicy mówili o niej z przekąsem „pani gubernator". Być może jedynie prezydent Andrzej Duda autentycznie rozstawał się z nią z żalem, gdyż na pożegnanie odznaczył ambasador Wielkim Orderem Zasługi RP.

## „JEDNA WIELKA RODZINA"

W 2021 r., po zwycięstwie wyborczym Joe Bidena, na nowego ambasadora w Warszawie został wytypowany Mark Brzezinski. Liberalne media piały wówczas z zachwytu, skupiając się głównie na fakcie, że ojcem dyplomaty był słynny politolog oraz doradca amerykańskich prezydentów (Lyndona Johnsona, Johna F. Kennedy'ego i Jimmy'ego Cartera) – Zbigniew Brzeziński.

Mark Brzezinski urodził się już w USA i wychowywał w Waszyngtonie. Z wykształcenia prawnik, od lat zainteresowany był krajem ojca (na Uniwersytecie Oksfordzkim obronił pracę doktorską poświęconą przeobrażeniom konstytucyjnym w Polsce). Dość wcześnie związał się z Partią Demokratyczną. W administracji Billa Clintona był doradcą do spraw Europy Wschodniej w Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Po kilkuletniej przerwie powrócił do polityki w 2008 r., gdy Barack Obama uczynił go doradcą do spraw polityki zagranicznej. Następnie w 2011 r. został mianowany ambasadorem USA w Szwecji, gdzie pozostał na kolejne cztery lata.

Brzezinski już przed przyjazdem do Polski nie krył, jakie będą jego priorytety. W trakcie wysłuchania przed Senatem stwierdził, że w kontaktach z polskimi władzami będzie „podkreślał wagę bezstronnego sądownictwa, niezależnych mediów i poszanowania praw człowieka dla wszystkich, w tym osób LGBTQI+ i członków innych mniejszości". Brzezinski nie krył się ze swoimi partyjnymi sympatiami i już jako ambasador wziął m.in. udział w partyjnej imprezie Rafała Trzaskowskiego Campus Polska. Zresztą siostra dyplomaty „wydała" go, gdy w rozmowie z Dorotą Wysocką-Schnepf przyznała, że Mark codziennie czyta „Gazetę Wyborczą". Dopytywana przyznała, że „Wyborcza", Adam Michnik i ród Brzezinskich „to jedna wielka rodzina".

Oprócz „obrony praworządności" działalność ambasadora została zdominowana przez kwestie bezpieczeństwa związane z wybuchem wojny rosyjsko-ukraińskiej. To za jego kadencji Stany Zjednoczone ogłosiły plan stałej amerykańskiej bazy wojskowej w Polsce. Brzezinski był również zaangażowany


eprasa.pl d705243ad8

w selekcję amerykańskich firm Westinghouse i Bechtel do budowy pierwszej cywilnej elektrowni jądrowej w Polsce.

Podobnie jednak jak jego poprzedniczka również Brzezinski nie ograniczał się do funkcji li tylko ambasadora. Marcin Kędryna, były współpracownik prezydenta Dudy, opisywał na łamach „Wszystko Co Najważniejsze", jak amerykański ambasador wpadł z awanturą, gdy Polska zdecydowała się przekazać MiG-i Ukrainie. Brzezinski miał sztorcować ministra Jakuba Kumocha, że Polsce nie wolno podejmować podobnych decyzji bez konsultacji z ambasadą USA. Kumoch w odpowiedzi miał stwierdzić: „Marku, coś ci się pomyliło. Ty jesteś ambasadorem, a nie gubernatorem".

Najmocniej „gubernatorskie" zapędy Brzezinskiego objawiły się jednak dopiero po zmianie władzy. To właśnie wtedy obserwowaliśmy kuriozalne wizytacje, podczas których ambasador przyjmował niemalże na audiencji konstytucyjnych ministrów. Tak było np., gdy na spotkanie został zaproszony (wezwany?) ówczesny minister sprawiedliwości Adam Bodnar, by przedyskutować reformę sądownictwa. Audiencja odbyła się rzecz jasna w budynku amerykańskiej ambasady.

Brzezinski przyjmował w swej rezydencji nie tylko Bodnara, lecz także szefa polskiej dyplomacji, szefa MON, minister edukacji, prezydenta Warszawy, marszałka Sejmu, ministra rolnictwa, a także cały zastęp parlamentarzystów rządzącej koalicji. Wyglądało to, jakby kolejni politycy obozu władzy ustawiali się w kolejce, aby grzecznie stawić się przed obliczem nowego „gubernatora" i otrzymać glejt dla swych planów. Jakby nominacja premiera i zaprzysiężenie przed prezydentem były niewystarczające.

Brzezinski kontynuował też poczynania swej poprzedniczki na polu rewolucji kulturowej. Bo tak, jak Mosbacher przekonywała, że w kwestii LGBT Polska stoi „po złej stronie historii", tak samo zdawał się uważać jej następca. W 2022 r. z okazji tzw. Miesiąca Dumy Brzezinski zaprezentował Otwarty List Poparcia dla społeczności LGBTQI+, pod którym podpisało się 46 ambasad i przedstawicielstw. Powodem publikacji była potrzeba wyrażenia poparcia dla „starań o uświadamianie opinii publicznej w kwestii problemów", które mają dotykać społeczność LGBT w Polsce.

**Kwestia amerykańskiej samowolki w Polsce sięga co najmniej czasów rządów SLD i tajnych więzień CIA w Starych Kiejkutach**

Wydaje się, że wraz ze zmianą ambasadora w 2025 r. przynajmniej ta jedna sprawa przestanie odgrywać pierwszorzędną rolę w amerykańskiej agendzie nad Wisłą. Tom Rose bowiem zdecydowanie nie należy do apologetów liberalizmu obyczajowego.

## CZŁOWIEK MAGA W WARSZAWIE

Z omawianych trojga ambasadorów Rose jest niewątpliwie najbardziej konserwatywny. Jego poglądy zaczęły się kształtować w trakcie studiów na liberalnym kampusie Columbia, gdzie pierwszy raz spotkał się z cenzorskimi zapędami środowisk progresywnych. Od tamtej pory jego konserwatyzm tylko się umacniał, co w końcu zaowocowało krytyką liberalizacji aborcji oraz tzw. homomałżeństw. W kampanii wyborczej do Kongresu w 2007 r. obiecywał „zakończyć świeckie ataki na Boga i życie publiczne". Na tle amerykańskiej „prawicy" Rose wyglądał na radykała. Ambasador Mosbacher zapewne stwierdziłaby, że również stał „po złej stronie historii".

Do polityki zbliżył się na początku lat 90., gdy został zatrudniony przez burmistrza Indianapolis Stephena Goldsmitha. Praca pozwoliła rozwinąć mu sieć kontaktów, dzięki czemu kilka lat później znalazł zatrudnienie w „The Jerusalem Post". A w latach 1997–2005 był wydawcą i redaktorem naczelnym słynnego dziennika. Jako ortodoksyjny żyd Rose do dzisiaj pozostaje mocno związany z Izraelem. Warto przy tym podkreślić, że już po objęciu placówki w Warszawie Rose wystąpił na konferencji IJL International Conference, gdzie jednoznacznie zaprotestował przeciwko próbom fałszowania historii, podkreślając, że oskarżanie Polski o współudział w Holokauście jest „historycznie fałszywe, ale i moralnie skandaliczne". Żaden z dotychczasowych dyplomatów nie zdobył się nigdy na tak jednoznaczne słowa.

Rose sam o sobie pisał, że jest „nie do końca tajnym agentem spisku judeo-chrześcijańskiego MAGA". I faktycznie, trudno znaleźć kogoś równie bezwarunkowo oddanego prezydentowi Trumpowi. Kuriozalna z pozoru afera wywołana odmową Włodzimierza Czarzastego w sprawie udzielenia poparcia staraniom o przyznanie Pokojowej Nagrody Nobla Trumpowi i „atomowa" reakcja Rose'a pokazują, jak bardzo wyczulony jest ambasador USA na punkcie dobrego imienia amerykańskiego przywódcy. Nie był to zresztą pierwszy raz, gdy Rose zachował się jak gubernator w kolonii, a nie dyplomata i sojusznik. W listopadzie dość obcesowo interweniował w sprawie unijnego projektu Omnibus, który zamierzał poprzeć rząd Donalda Tuska. Rose zapewniał, że USA przyglądają się działaniom Polski, a unijny projekt może zagrozić amerykańskim firmom.

Jeszcze przed swym zaprzysiężeniem Rose wprost krytykował ministra Radosława Sikorskiego za to, że ten delikatnie zwrócił uwagę na łamanie prawa międzynarodowego przez Izrael. Jeszcze ostrzejsze słowa padły, gdy w przestrzeni publicznej zaczęto dyskutować o tym, że w związku z nakazem Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze Beniamin Netanjahu mógłby zostać aresztowany, gdyby przybył na obchody 81. rocznicy wyzwolenia KL Auschwitz. „Uważaj!!! Groźba aresztowania premiera Państwa Żydowskiego w Auschwitz… ze wszystkich miejsc na świecie… nie pozostaje niezauważona przez USA. Polska zasługuje na coś lepszego!" – ostrzegał Rose polskiego premiera. Z kolei dosłownie kilka dni temu ambasador wyraźnie ostrzegł polską prawicę przed próbą formowania rządu z Grzegorzem Braunem w składzie. Amerykański dyplomata w rozmowie z „Rzeczpospolitą" stwierdził, że Waszyngtonowi „byłoby trudno coś podobnego zaakceptować".

Tom Rose wpisuje się zatem w poczet dotychczasowych „nadambasadorów" i kontynuuje nieprzesadnie subtelną linię „gubernatorów" Mosbacher i Brzezinskiego. Zresztą kwestia amerykańskiej samowolki na polskich ziemiach, która sięga co najmniej czasów rządów SLD i tajnych więzień CIA w Starych Kiejkutach, to stały element partnerstwa polsko-amerykańskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8





Z Przemysławem Czarnkiem, wiceprezesem Prawa i Sprawiedliwości, ministrem edukacji i nauki w latach 2020–2023

*rozmawia Ryszard Gromadzki*

# Potrzebny jest rząd odpowiedzialnej prawicy

**RYSZARD GROMADZKI: Zachowanie Włodzimierza Czarzastego w związku z inicjatywą przyznania prezydentowi USA Donaldowi Trump Pokojowej Nagrody Nobla dyskwalifikuje go jako marszałka Sejmu?**

**PRZEMYSŁAW CZARNEK:** Najgorsze w tym wszystkim jest to, że postawa marszałka Czarzastego w tej sprawie jest de facto postawą rządu. On ją wykonał bezrefleksyjnie albo niestety z refleksją antypolską. Jedną rzeczą jest podpisywanie się pod dziwacznym wnioskiem o pokojowego Nobla dla prezydenta Trumpa, co jest dość kuriozalnym przedsięwzięciem, patrząc na to z boku. I w tej sprawie Czarzasty ma prawo do własnego zdania, to jest w pełni zrozumiałe. Natomiast nie do zaakceptowania jest wygłaszanie przy okazji tez szkodliwych dla Polski, w sytuacji bardzo trudnego położenia geopolitycznego, w którym znajduje się nasz kraj, a jednocześnie wzbudzanie nastrojów antyamerykańskich. To skrajna nieodpowiedzialność.

**A ambasador Rose zachował się w tej sprawie jak dyplomata szanujący suwerenność kraju, w którym wykonuje swoją misję, czy raczej jak nadzorca kolonii?**

Trzeba postawić pytanie, gdzie leży interes Polski. Przez ostatnie dekady zabiegaliśmy o amerykańską obecność wojskową w Polsce, bo tylko obecność największego sojusznika z NATO zapewnia nam poczucie bezpieczeństwa w bardzo trudnym położeniu, w którym się znajdujemy, obok prowadzącej agresywną, imperialną politykę Rosji. Nie możemy tworzyć wrażenia, że robimy Amerykanom łaskę, że oni tu są. To wbrew naszym interesom. Oczywiście nie podobał mi się ton wpisów amerykańskiego ambasadora, zwłaszcza drugi wpis, o zabraniu z Polski wojsk USA, był absurdalny. Ale to nie moja rzecz. Moją rzeczą jest ocena zachowania polskich polityków i zabieganie o bezpieczeństwo Polski. Konfliktowanie się z Ameryką na pewno temu nie służy.

**Czy niewypełnienie w przeszłości przez marszałka Czarzastego ankiety bezpieczeństwa i kontakty towarzysko-biznesowe małżeństwa Czarzastych z legitymującą się polskim paszportem Rosjanką Swietłaną Czestnych mogą być podstawą do jego dymisji?**

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER



eprasa.pl d705243ad8

Uwikłania z przeszłości pana Czarzastego, choćby jego przynależność do skompromitowanej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, nigdy nie kwalifikowały go do zajmowania najwyższych funkcji w państwie, w tym szczególnie urzędu marszałka Sejmu. A sprawy, o które pan pyta, tylko wzmacniają tę argumentację.

**Czy prawdą jest, że Prawo i Sprawiedliwość ponowiło ofertę dla Władysława Kosiniaka-Kamysza, oferując mu fotel premiera w nowym gabinecie?**

Taką ofertę polityczną kierujemy od dawna do wszystkich ugrupowań politycznych, oczywiście z wyjątkiem partii Tuska, bo widzimy, w jakim kierunku zmierza Polska. Nie chodzi tylko o najwyższe ceny energii w Europie, likwidację górnictwa, zapaść NFZ, skandaliczny pomysł urządzania porodówek na SOR-ach czy zablokowanie inwestycji w samorządach. Idzie przede wszystkim o zagrożenie geopolityczne, stwarzane przez kurs, którym podąża rząd Tuska, wpychający Polskę w kondominium niemiecko-rosyjskie, odtwarzane zakulisowo przez Berlin i Moskwę. To jest oferta stała. Ocknijcie się! Nie musicie służyć Tuskowi. Możecie jeszcze stworzyć inną koalicję w tym Sejmie.

**Czy ta oferta adresowana jest także do obydwu Konfederacji?**

Bez obydwu Konfederacji w tym Sejmie nie da się stworzyć kolacji większościowej, która mogłaby zatrzymać Polskę na kursie kolizyjnym ze ścianą, czyli oddaniem się w ręce Niemiec i Rosji.

**Czy w takim razie PiS jest gotowy przyłączyć się do tzw. paktu senackiego w wersji, którą promuje Konfederacja Korony Polskiej?**

Zawsze byłem i jestem gotowy do rozmowy we wszystkimi, którzy chcieliby odebrać Senat z rąk obozu liberalno-lewicowego.

**Od wielu miesięcy media piszą o wewnętrznym konflikcie w Prawie i Sprawiedliwości, dotyczącym kierunku, w który powinna pójść partia. Czy gdyby nie prezes Kaczyński, PiS już dawno by się rozpadł?**

Zapewniam pana i naszych czytelników, że spór polityczny dotyczący detali programowych, bo fundament mamy wspólny, nie jest większy niż w innych ugrupowaniach, takich jak Platforma, PSL czy Polska 2050. A odnosząc się do niedawnych wyborów przewodniczącego tej ostatniej formacji, można powiedzieć, że w PiS panuje wręcz świąteczny, bożonarodzeniowy pokój. Różnice zdań są czymś naturalnym. U nas wachlarz poglądów jest bardzo szeroki. Niestety, niekiedy do spierania się na temat detali dotyczących różnych rozwiązań dla Polski koleżanki i koledzy używają mediów społecznościowych, zamiast po prostu porozmawiać bezpośrednio przez telefon. Było zdecydowanie lepiej komunikować się wprost, zamiast boksować na X czy Facebooku.

**Atmosfera w PiS jest tak dobra, że bez wahania poparłby pan kandydaturę Mateusza Morawieckiego, gdyby Prawo i Sprawiedliwość miało wystawić premiera?**

Nie wciągnie mnie pan w dyskusję na temat przyszłego premiera rządu Prawa i Sprawiedliwości. Żeby mieć premiera rządu Prawa i Sprawiedliwości, wcześniej PiS musi wygrać wybory. Najlepiej samodzielnie albo przytłaczającą większością, pozwalającą na swobodę zawierania koalicji. Do tego czasu dyskusja na temat premiera jest jałowa i kontrskuteczna.

**Nie wciągnie mnie pan w dyskusję na temat przyszłego szefa rządu Prawa i Sprawiedliwości. Żeby mieć premiera, który stoi na czele rządu PiS, wcześniej PiS musi wygrać wybory. Najlepiej samodzielnie albo przytłaczającą większością**

**Dlaczego PiS od momentu wyborów prezydenckich systematycznie traci poparcie? Skąd pana zdaniem bierze się ten regres?**

Ale nie ma żadnego regresu, panie redaktorze. W I turze wyborów prezydenckich, 18 maja ub.r., Karol Nawrocki, kandydat Prawa i Sprawiedliwości, miał 29,1 proc. głosów. Poparcie dla PiS nadal utrzymuje się mniej więcej na tym pułapie. A to, że w tym momencie nie zyskujemy? No cóż, żaden olimpijczyk, który chce wygrać igrzyska, nie może być w olimpijskiej formie przez cały długi czas poprzedzający start. Robimy swoje. Jeździmy po Polsce i przekonujemy ludzi. W czasie, w którym rozmawiamy, jestem w trasie na Mazurach. Mam za sobą dobre spotkanie w Piszu, a jadę na kolejne w Ełku. Zbieramy poglądy naszych zwolenników, wsłuchujemy się także w ich pretensje po to, żeby stworzyć optymalny program, z którym będziemy gotowi na wiosnę, żeby mieć przygotowaną odpowiedź prawicy na rzeczywistość, i to dopiero będzie podstawą do politycznej ofensywy, z którą ruszymy przed wyborami.

**Novum tej kampanii mają być spotkania ze studentami na uniwersytetach. Z reakcji w mediach społecznościowych wynika, że niektóre uczelnie blokują te spotkania.**

Nie kierujemy swojego zaproszenia do władz uczelni. One są od tego, żeby zarządzać i tworzyć przestrzeń do debaty, a nie ją utrudniać. Dlatego pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, kiedy byłem ministrem edukacji i nauki, było uchwalenie Pakietu Wolności Akademickiej. Rektor nie ma prawa sprzeciwiać się studentom, jeśli chcą otworzyć debatę na uczelni. Niestety, na wielu uczelniach w Polsce pokutuje lewackie podejście rektorów do tego zagadnienia, którzy utrudniają przeprowadzenie debat. Mimo to od 24 lutego, czyli zakończenia sesji egzaminacyjnej, mamy zaplanowanych 14 takich wydarzeń w całej Polsce. Cały cykl zatytułowany jest „Zmień nasze zdanie". Mikrofon czeka.

**Trudno nie zauważyć, że ten pomysł nawiązuje do idei otwartych debat, które zainicjował w USA Charlie Kirk, lider ruchu Turning Point, który zginął w zamachu we wrześniu ub.r.**

Chcemy docierać do wszystkich wyborców, nie uprawiamy żadnego ejdżyzmu, zarówno tych, którzy mają 80, jak i tych, którzy mają 18 lat. Ich głosy przecież ważą tyle samo. Niewątpliwie to, co zrobił śp. Charlie Kirk w Stanach



eprasa.pl d705243ad8

Zjednoczonych, było dla nas pewnym drogowskazem.

**Mówi pan, że chcecie występować z przekazem do wszystkich wyborców. Czy także do wyborców Grzegorza Brauna? Jak to pogodzić z deklaracjami prezesa Kaczyńskiego, który zdecydowanie odżegnuje się od jakiejkolwiek współpracy z liderem Korony.**

Wręcz przeciwnie. Dzisiaj ten zadekretowany elektorat Konfederacji Korony Polskiej to w większości elektorat Prawa i Sprawiedliwości sprzed krótkiego czasu. Więc naturalną koleją rzeczy chcemy zwrócić się do nich z otwartą dyskusją na temat problemów i propozycji, które oni podnoszą. To są kluczowe kwestie. Ludzie nie chcą już żyć przeszłością. Pytają o ofertę, jaką mamy na przyszłość. To jest klucz do zwycięstwa w kolejnych wyborach, dlatego tak solidnie przygotowujemy nasz nowy program.

**PiS nie potrzebuje Konfederacji, a Konfederacja nie potrzebuje PiS. To Polska potrzebuje odpowiedzialnego rządu prawicy.**
**W tym sensie otwartość na współpracę powinna być obowiązkiem ze strony wszystkich ugrupowań prawicowych. Mam na myśli także współpracę w budowaniu większości konstytucyjnej**

**Wydaje się, że jedną z kluczowych kwestii, które zdecydują o wyniku wyborów w 2027 r., będzie sprawa polityki wobec Ukrainy. Badania opinii publicznej pokazują jasno, że coraz więcej Polaków ma serdecznie dość pompowania kolejnych miliardów złotych i zasobów na rzecz Ukrainy czy bezkrytycznego wsparcia jej władz ze strony kolejnych ekip rządzących Polską. Można odnieść wrażenie, że stawiają one wyżej interes Ukrainy od interesu Polski. Czy PiS jest gotowy do rewizji tej polityki? Premier Węgier Viktor Orbán określił ostatnio Ukrainę wprost jako „wroga Węgier".**

Żadnej rewizji polityki pomocy dla Ukrainy być nie może, bo jedna rzecz pozostaje niezmienna: Ukraina nie może przegrać wojny z Rosją. Putin nie może stanąć ze swoimi czołgami w Dorohusku i Hrebennem, to jest dla nas wszystkich zupełnie oczywiste. Natomiast sam stosunek ze strony Polski do Ukrainy po – co tu dużo mówić, wręcz dramatycznym – zachowaniu się władz Ukrainy w ostatnich dwóch–trzech latach, musi ulec całkowitej zmianie. To znaczy, każda pomoc musi być realizowana w oparciu o zasadę wzajemności, poparta konkretnymi umowami i dokumentami. Od początku byłem zwolennikiem takiej polityki i do takiej polityki będę namawiał swoich kolegów z partii. Pomagamy Ukrainie nie dla Ukrainy jako takiej, tylko w interesie Polski. Zakończenie wojny na Ukrainie jest dla nas ważne z wielu powodów, jednym z nich jest stabilizacja sytuacji w Polsce Wschodniej – gdy na Ukrainie trwa wojna, ten region nie może się normalnie rozwijać. Drugorzędne znaczenie ma dla nas w tym momencie, czy Donbas albo Krym zostaną przy Ukrainie czy nie. Pierwszorzędne jest to, czy pokój nastąpi tam zaraz, jeszcze w tym roku. Na to stawiamy. W tym sensie pomoc dla Ukrainy jest ważna, żeby wreszcie mógł tam nastąpić pokój, żeby Rosja nie podbiła Ukrainy. Ale powtarzam: ta pomoc nie może być realizowana tylko w jedną stronę. Musimy w końcu uświadomić władzom Ukrainy, że to nie może działać dalej w ten sposób jak po 24 lutego 2022 r. W tym zakresie rewizja polskiej polityki musi rzeczywiście być zasadnicza.

**Czy PiS jest gotowy na przygotowanie, przynajmniej ewentualnościowego, planu wyjścia Polski z Unii Europejskiej? Jak długo będziemy jeszcze godzić się na deptanie naszej suwerenności przez instytucje unijne?**

Musimy mieć rząd, który powie Brukseli wprost, że nie będziemy stosować waszych absurdów związanych z Zielonym Ładem, pakietem ETS1 i ETS2, nie będziemy realizować waszej polityki miksu energetycznego, nie będziemy płacić żadnych kar, wracamy do polskiego węgla, bo to jest najtańsze źródło naszej energii. Możemy być w Unii Europejskiej, ale pod warunkiem że dacie nam żyć. Jeżeli będziecie nas niszczyć swoją polityką, to zawsze możemy zdecydować się na inne rozwiązanie. Te alternatywne rozwiązanie musi być budowane na bazie Grupy Wyszehradzkiej czy Międzymorza. Nadzoruję grant poświęcony alternatywnym formom współpracy państw naszego regionu wobec Unii Europejskiej. Wszystkie państwa tej inicjatywy położone wzdłuż osi północ-południe powinny budować swoją podmiotowość w oparciu o partnerstwo transatlantyckie. To jedyny sposób na realne wzmocnienie naszej pozycji w Unii Europejskiej. Jeszcze raz powtarzam: potrzebne jest twarde „nie" dla wszystkich absurdów niszczących polską gospodarkę.

**Czy tylko niszczących gospodarkę? Rząd Tuska przystał ostatnio na rejestrację tzw. małżeństw jednopłciowych przez urzędy stanu cywilnego, zawartych za granicą, pomimo że jest to całkowicie sprzeczne z polską konstytucją.**

To nie podlega żadnej dyskusji. Nie ma czegoś takiego jak „małżeństwo jednopłciowe". Od czasów prawa rzymskiego małżeństwo to wyłącznie związek kobiety i mężczyzny.

**Z opublikowanego kilka dni temu sondażu pracowni Pollster dla „Super Expressu" wynika, że większość wyborców PiS, a w jeszcze większym stopniu Konfederacji i Konfederacji Korony Polskiej, opowiada się za „wielką koalicją prawicy". Wierzy pan, że to się może udać? Patrząc na to, co dzieje się dziś na prawej stronie sceny politycznej, raczej trudno być optymistą w tej sprawie.**

Ubolewam nad tym. Powtórzę swój wpis, w reakcji na stanowisko Sławomira Mentzena na „Deklarację polską". PiS nie potrzebuje Konfederacji, a Konfederacja nie potrzebuje PiS. To Polska potrzebuje odpowiedzialnego rządu prawicy. W tym sensie otwartość na współpracę powinna być obowiązkiem ze strony wszystkich ugrupowań prawicowych. Mam na myśli także współpracę w budowaniu większości konstytucyjnej, bo Polsce potrzebna jest zmiana konstytucji. To jest zupełnie oczywiste. Dlatego ze smutkiem patrzę, kiedy nasi koledzy z prawicy wychodząc na sejmową mównicę, nie zauważają upadku NFZ, porodów po godz. 18 bez ginekologa na dyżurze, nie dostrzegają, że mamy w Polsce najwyższe ceny energii czy poziom bezrobocia wśród młodych, za to ciągle powtarzają mantrę, że to PiS odpowiada za to czy tamto i w ogóle całemu złu winne są PiS i pisiory. Nie tu należy lokować wroga.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8



Jarosław Kaczyński przemawia na konwencji programowej PiS w Katowicach, 25 października 2025 r.
FOT. KAMIL KASPRZYCKI/REPORTER

# Trójkąt niezgody



*Piotr Semka*

**Jeżeli wymiana ciosów między partiami w trójkącie PiS, Konfederacja, Korona będzie w ciągu najbliższego roku równie brutalna, to może to albo zapobiec nowemu większościowemu układowi do rządzenia, albo spowodować, że ewentualny rząd będzie podminowany wzajemnymi niechęciami**

Temat kryzysu wewnętrznego Prawa i Sprawiedliwości już parę razy pojawił się w tym roku na łamach „Do Rzeczy". Partia ta przeżywa typowy kryzys formacji uformowanej wokół silnej osobowości, którą jest Jarosław Kaczyński. Nic więc dziwnego, że wraz z posuwaniem się lidera z wiekiem przywództwo to zderza się z jego ograniczeniami czysto fizycznymi, których symbolem był niedawno pobyt Kaczyńskiego w szpitalu. Jeśli połączyć to z coraz wyraźniejszymi ambicjami Mateusza Morawieckiego do bycia następcą tronu i brakiem zdecydowanego kontrlidera po stronie drugiej frakcji polityków PiS, to mamy gotowy przepis na wewnętrzny kryzys.

Tyle że spoglądanie wyłącznie na problem PiS odsuwa nas od poważniejszego pytania: W jakim stopniu trzy główne siły po prawej stronie będą w stanie po wyborach 2027 r. odebrać władzę z rąk Donalda Tuska? A to wymaga uzupełnienia obrazu o analizę kondycji Konfederacji Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka oraz Korony Grzegorza Brauna.

## SONDAŻE, SONDAŻE

Fetyszem polskiej polityki są badania opinii publicznej, a w szczególności ratingi popularności poszczególnych partii. I tu oczywiście najbardziej w oczy rzuca się kryzys sondażowy Prawa i Sprawiedliwości.

W wyborach 15 października 2023 r. PiS zdobył 35,38 proc. głosów, a zjednoczona jeszcze wtedy Konfederacja prawie pięć razy mniej (7,16 proc.). Dopiero na tym tle można oceniać dwa ostatnie sondaże z początku lutego. W sondażu grupy Opinia24 PiS zdobywa 24,5 proc., Konfederacja 12,6 proc., a Korona Grzegorza Brauna 7,7 proc. Podobnie kształtują się wyniki United Surveys by IBRiS dla Wirtualnej Polski. Tu PiS ma 23,5 proc. przy



eprasa.pl d705243ad8

11,2 proc. dla Konfederacji i 7,7 proc. dla Korony. Oznacza to, że PiS w stosunku do ostatnich wyborów stracił ponad 10 punktów procentowych. Na dodatek, jeżeli podsumować obie Konfederacje, według Opinii24 zdobywają one razem 20,3 proc., a według United Surveys – 18,9 proc.

W naturalny sposób ileś mediów podało te wyniki, wskazując, że suma wyników obu Konfederacji tylko stosunkowo nieznacznie, bo na poziomie od 4 do 6 punktów procentowych, ustępuje wynikowi PiS. Co zresztą charakterystyczne, informację tę podawały z wyraźną satysfakcją zarówno media liberalne, zazwyczaj niechętne prawicy, jak i przedstawiciele tzw. frontu gaśnicowego.

Skąd tak zaskakujący sojusz dwóch, wydawałoby się, przeciwstawnych stron publicystycznego sporu połączonych jedną satysfakcją? W wypadku Konfederacji doskonale pasowało to do lansowanego już od dawna postulatu prawicowej „wielkiej podmiany". W tej logice PiS to partia okrągłostołowa, niczym nieróżniąca się od Platformy, partia rekonstruktorów sanacji, która na trzy dekady ukradła prawicę prawdziwym spadkobiercom obozu narodowego i teraz ponosi zasłużoną historyczną karę. To doskonały punkt wyjścia do haseł typu: „Grzegorz Braun liderem polskiej prawicy", „Tej siły już nic nie powstrzyma" czy „Korona konsekwentnie idzie w górę".

W wypadku „Gazety Wyborczej", Onetu czy „Newsweeka" dominuje nienowe zresztą założenie, w myśl którego trzeba zawsze walić w największą siłę po prawej stronie, a gdy ewentualnie już prawica się podzieli i zredukuje do trzech stosunkowo równych sobie sił, to będzie większa szansa na to, że trzy takie ugrupowania będą albo skłócone, albo niezdolne do prowadzenia jednej skoordynowanej i konsekwentnej polityki.

## KORONA NA STERYDACH

Grzegorz Braun zaskoczył zarówno PiS, jak i Konfederację Mentzena oraz Bosaka niezwykłym talentem do rozwinięcia ofensywy propagandowej. To ogromna praca wykonana w sieci, którą wprost zalewają filmiki czy to samej Korony, czy to „Najwyższego Czasu!", który stał się już czymś w rodzaju nieformalnego organu ugrupowania Grzegorza Brauna, czy wreszcie publicystów sympatyzujących z tym ugrupowaniem. Sami zresztą ludzie związani z Koroną, tacy jak Bartosz Kopczyński, wręcz chwalą się, że taktyka happeningu czy bulwersowania opinii publicznej np. szokującym podejściem do niektórych faktów historycznych spełniła swoją funkcję i przyciągnęła uwagę opinii publicznej do postaci Grzegorza Brauna.

Lider Korony najwyraźniej uznał, że ta faza jego działania już wypełniła swe zadanie i czas zacząć budować wizerunek ugrupowania, które dysponuje fachowcami gotowymi do myślenia o przejmowaniu władzy. Temu wizerunkowemu zadaniu miał służyć kongres KINGS w Łochowie. Jednak jeśli na kongresie pojawiały się bardziej znane nazwiska, to raczej należały one do publicystów czy medialnych celebrytów z prawej strony niż do polityków, których dotąd nie widziano w otoczeniu Grzegorza Brauna. Przypomina to o tym, że ta retoryka w stylu „każdy dzień przynosi nowe sukcesy" w wykonaniu propagandowego frontu Korony przykrywa jednak pewien zastój w rozwoju tej formacji.

Owszem, Grzegorz Braun jest niezwykle sprawny w objeżdżaniu Polski i przyciąganiu na swe wiece bardzo wielu zwykłych wyborców, którzy wcześniej chodzili raczej na wiece PiS, ale w kwestii przyciągania do siebie nowych polityków raczej stoi w miejscu. Na wiecach zazwyczaj towarzyszy mu trzech nienajmłodszych już posłów z jego koła, czyli 66-letni Włodzimierz Skalik, 62-letni Sławomir Zawiślak i wreszcie 60-letni Roman Fritz. W ciągu ostatniego pół roku do Korony nie przeszli żadni posłowie z Konfederacji czy PiS, choć niektórzy robili na to nadzieje. Gdy Włodzimierz Skalik 10 miesięcy temu razem z Romanem Fritzem ogłaszał odejście z Konfederacji i zapowiadał prace nad stworzeniem koła Korony w Sejmie, w wywiadzie w Polskim Radiu 24 wyrażał nadzieję: „W przyszłości będzie nas więcej". Oprócz dołączenia Sławomira Zawiślaka z PiS żaden nowy transfer nie nastąpił. Można domyślać się, że właśnie z powodu dość zaawansowanego wieku posłów z koła Korony Grzegorz Braun lubi pokazywać się w towarzystwie nieco młodszych publicystów takich jak Marcin Rola czy Tomasz Sommer.

Nie potwierdziły się też plotki o przejściu europosłanki Ewy Zajączkowskiej-Hernik z Konfederacji do obozu Brauna.

Osobny temat to kwestia przekroczenia magicznego progu 10 proc. W sondażu CBOS z 29 października 2025 r. Konfederacja uzyskała 10,9 proc., a Korona – 9,4 proc. Ogromny entuzjazm wzbudziło kolejne badanie Opinii24 z 10 grudnia 2025 r. Konfederacja uzyskała w nim 13,2 proc., a Korona aż 9,6 proc. Skłoniło to Łukasza Pawłowskiego z Ogólnopolskiej Grupy Badawczej do wygłoszenia 13 grudnia opinii, że „prędzej czy później" dojdzie do mijanki i Konfederacja Brauna przeskoczy Konfederację Mentzena i Bosaka. Pawłowski zadeklarował też: „Najważniejszym tematem politycznym przyszłego roku będzie Grzegorz Braun [...]. Z wielu powodów. Dla wielu to prawdziwa alt-prawica. Alternatywa nie tylko wobec PiS, ale i Konfederacji".

**Pogłoski o wewnątrzpartyjnej „zimnej wojnie" Sławomira Mentzena z Krzysztofem Bosakiem zaczęły pojawiać się coraz częściej**

Wszystko to stworzyło w obozie Korony przekonanie, że prześcignięcie partii Mentzena i Bosaka jest już faktycznie w zasięgu ręki. Tymczasem lutowe wyniki zarówno Opinii24, jak i United Surveys pokazują ten sam rezultat: 7,7 proc. Oczywiście ten zastój pomijany jest w propagandzie Korony poprzez podkreślanie raczej złej kondycji rywali. Na przykład „Najwyższy Czas!" niedawno donosił: „Złe wieści dla PiS i Konfederacji, Korona Brauna rośnie w siłę". Oczywiście każdy sondaż można zinterpretować tak, by przesłanie brzmiało krzepiąco i optymistycznie, ale na razie do mijanki Konfederacji z Koroną mimo wszystko nie dochodzi.

## KŁOPOTY KONFEDERACJI

W porównaniu z wynikiem wyborów prezydenckich, gdy Sławomir Mentzen zdobył 14,81 proc. głosów, Konfederacja także w ostatnich sondażach zalicza wynik gdzieś ponad 10 proc. Ale nie to jest


eprasa.pl d705243ad8

dla tego ugrupowania największym problemem. W wypadku Mentzena można powiedzieć, że występuje u niego coś, co dałoby się nazwać syndromem Adriana Zandberga. Lider partii Razem od 2015 r. bardzo dobrze wykorzystuje kampanię prezydencką do gwałtownego wzrostu swojej popularności. Już parę razy skłaniało to publicystów z lewej strony do wieszczenia, że partia Razem teraz już na pewno zastąpi Nową Lewicę Włodzimierza Czarzastego w roli awangardy sił postępu. Wybory prezydenckie mijały, nie było już okazji do błyskotliwych występów w debatach telewizyjnych i okazywało się, że czar Zandberga blednął. Coś podobnego dzieje się z Mentzenem.

Przez całą jesień lider Konfederacji nie wypromował żadnego interesującego tematu politycznego. Co więcej, pogłoski o jego wewnątrzpartyjnej „zimnej wojnie" z Krzysztofem Bosakiem zaczęły pojawiać się coraz częściej. Niedawno Mentzen podczas rozmowy w Radiu Zet został zapytany o to przez prowadzącego: „Czy pan często rozmawia z Krzysztofem Bosakiem?". Lider Konfederacji odpowiedział: „Nie, bo nie mamy o czym rozmawiać, rozumiemy się bez słów". To odbicie piłeczki było dość zgrabne, ale nie rozwiało w żadnym stopniu plotek o wzajemnej niechęci obu współliderów. Próbą ponownego wejścia Konfederacji na czołówki gazet i portali internetowych jest akcja masowych konsultacji z wyborcami i wezwanie Mentzena do tego, by przysyłać propozycje do programu wyborczego Konfy.

Krzysztof Bosak wykazał się niedawno sporą niekonsekwencją i brakiem jasnego pomysłu na polemikę z Grzegorzem Braunem. Na antenie Radia Zet Bosak dostał pytanie, czy Konfederacja i Konfederacja Korony Polskiej się połączą. – Nie – odparł Bosak krótko. Po chwili jednak dodał, że warunkiem koniecznym do „zbudowania formacji, która ma reprezentować zdrową część polskiego narodu i dobrze rządzić Polską" jest „rezygnacja z flirtowania ze środowiskami wariackimi, agenturalnymi czy polityczną ekstremą". Dodał też, jak można przypuszczać, wypowiadając się o Mateuszu Piskorskim, że w otoczeniu Grzegorza Brauna w ostatnim czasie pojawiał się jeden z polityków, który „przesiedział wiele miesięcy lub nawet lat w areszcie pod zarzutami szpiegostwa". Dodał też: „Mamy tam też innych ludzi, którzy również siedzieli w areszcie za wyjątkowo plugawy styl uczestniczenia w debacie politycznej". Bosak nie zdecydował się na wskazanie konkretnych nazwisk, choć – jak można się domyślić – miał zapewne na myśli braci kamratów, czyli „Jaszczura" i „Ludwiczka", oraz choćby takie postacie jak zwolennik „ruskiego miru" Sebastian Pitoń, rzucający się w otoczeniu Brauna w oczy za sprawą góralskiego kapelusza.

**Podział prawej strony na trzy ugrupowania, z których każde ma długi katalog zastrzeżeń wobec dwóch pozostałych partnerów, może być problemem, który trudno będzie rozwiązać**

Za swój brak precyzji Bosak bardzo szybko zapłacił medialną cenę. Na wielu forach tacy zwolennicy Konfederacji jak np. Tomasz Sommer zaczęli przekręcać sens wypowiedzi Bosaka, sugerując, że nazwał on wariatami wszystkich zwolenników Korony. Podaną piłkę z chęcią też kopnął Grzegorz Braun. W jednym z wywiadów stwierdził: „Byłbym ostrożnym, zwłaszcza w nominowaniu wariatów. Zwłaszcza gdy tych wariatów widywałem sześć, pięć lat temu w kordonach policyjnych, na ulicach i placach miasta stołecznego Warszawy i innych, i byli oni po stronie wolności i normalności przeciwko terrorowi ideowemu [...], podczas kiedy inni brali udział w tej operacji zniewolenia, legitymizując tę antypolską, antyludzką, antywolnościową operację przez siedzenie w ściśle zamaskowanych, szczelnie zamkniętych pomieszczeniach, w których siedziało się i korzystało się z okazji do niemówienia nic [...]. Więc kto wyszedł na większego wariata?".

Aluzja do postawy Krzysztofa Bosaka była ewidentna.

Co znaczące, współlider Konfederacji uchylił się od dalszej wymiany ciosów i pytany o swoją wypowiedź wyjaśniał, że chodziło jedynie o zdementowanie sugestii, że obie Konfederacje mogą pójść do wyborów razem. Tymczasem chodziło o kwestię dosyć istotną: W jakim stopniu niektóre postacie z otoczenia Brauna mogą w przyszłości być obciążeniem dla jego ugrupowania i tym samym kłopotem dla tych, którzy nie wykluczają koalicji z Koroną? Bosak jednak uchylił się od sporu i w niedawnym wywiadzie dla „Do Rzeczy" (nr 7/2026) cieszył się z „odbudowywania się pluralizmu na szeroko pojętej prawicy po przerwie trwającej trzy kadencje".

## WIZJA CIĄGŁEGO SPORU

Problem w tym, że ten wymarzony przez Bosaka po latach dominacji po prawej stronie PiS pluralizm może też oznaczać długi okres prawicowej „wielkiej smuty". Podział prawej strony na trzy ugrupowania, z których każde ma długi katalog zastrzeżeń wobec dwóch pozostałych partnerów, może być problemem, który trudno będzie rozwiązać. A sytuacja taka w naturalny sposób premiować będzie obóz Donalda Tuska, który w żelaznym uścisku kontroluje zarówno Władysława Kosiniaka-Kamysza, jak i Włodzimierza Czarzastego z jedynym problemem w postaci bezhołowia w dawnej partii Szymona Hołowni. Wyborcy prawicy, którzy spychają na dalszy plan tego typu animozje, bagatelizują ten problem, mówiąc, że dopiero po ogłoszeniu wyników wyborów zaczną się realne rozmowy na temat tworzenia układu większościowego i wtedy politycy, jak to politycy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zapomną o wcześniejszych atakach na siebie. Tak może być, ale tak być nie musi. W 2005 r. PiS i Platforma też wzajemnie wymieniały się ciosami i okazało się, że stworzyło to tak głębokie rany po obu stronach, że do koalicji ostatecznie nie doszło.

Dlatego z jednej strony już teraz należy ważyć po prawej stronie słowa, z drugiej – nie milczeć o realnych problemach przy ewentualnej współpracy w przyszłości. Każdy ma swoje urazy, nie może być ugrupowań z wyłącznym patentem na patriotyzm.

Jeżeli wymiana ciosów między partiami w trójkącie PiS, Konfederacja, Korona będzie równie brutalna, to może to albo zapobiec nowemu większościowemu układowi do rządzenia, albo spowodować, że ewentualny rząd będzie podminowany wzajemnymi niechęciami. W sumie nie wiadomo, co byłoby gorsze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8



# Z Żurkiem i Malapartem w tle

Przesłana na biurko prezydenta „ustawa praworządnościowa" ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka (na zdjęciu przemawia w Sejmie) brnie w nonsensy jeszcze głębiej niż wszystkie poprzednie działania jego i jego poprzednika

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM



*Rafał A. Ziemkiewicz*

**Malapartowska „technika zamachu stanu" jest przez Donalda Tuska twórczo rozwijana w „technikę utrzymania władzy" wbrew woli większości**

Krajowa Rada Sądownictwa, podobnie jak Trybunał Konstytucyjny, są na krawędzi przejęcia przez Tuska, kończą się kadencje ich dotychczasowych członków. Prawo, które przez tyle lat obecna ekipa rządząca ogłaszała „niekonstytucyjnym", twierdząc, że z racji ustanowienia go przez poprzednią większość sejmową mamy „nieistniejący TK" i „neo-KRS", który wyprodukował 3,5 tys. „neosędziów", raczej nie ulegnie zmianie, wątpliwe, by prezydent podpisał ustawę nazwaną po orwellowsku „praworządnościową", krytykowaną miażdżąco nie tylko przez opozycję, lecz także przez Komisję Wenecką, Fundację Helsińską czy Fundację Court Watch. Ale Tusk nie zamierza się tym przejmować. Po prostu, gdy według tego samego prawa wyznaczy nowych sędziów on, a nie Kaczyński, przedrostek „neo" zniknie z żółtych pasków w TVN24 i z retoryki polityków koalicji. Opozycja i jej media odtrąbią oczywiście kolejną kompromitację władzy i kolejny dowód jej krańcowej hipokryzji, ale premier uważa, że nie musi się tym przejmować.

„Donald Tusk pozostanie u władzy tak długo, jak długo będzie chciał, ponieważ jako pierwszy polityk w III RP trafnie rozeznał układ sił w państwie i umiejętnie się weń wpisał" – ogłosił kilkanaście lat temu Bartłomiej Sienkiewicz, wówczas występujący w roli niezależnego analityka, publikującego okazjonalnie w „Tygodniku Powszechnym" i „Rzeczpospolitej". Warto te słowa stale mieć w pamięci, bo jeśli nawet nie okazały się prawdą (można się spierać, czy Tusk stracił władzę, czy ją porzucił, więc podwójna wyborcza klęska PO w roku 2015 go nie obciąża), to oddają sposób myślenia dominujący w obozie władzy. Przede wszystkim



eprasa.pl d705243ad8

sposób myślenia „kierownika", który Sienkiewicz jako pełniący przy nim obowiązki „przybocznego intelektualisty" w znacznym stopniu ukształtował. Z kolei sposób myślenia samego Sienkiewicza w znacznym stopniu ukształtował włoski pisarz Curzio Malaparte, a konkretnie jedno jego, klasyczne dziś, dzieło – niewielka książka, właściwie broszura pt. „Techniki zamachu stanu", do której jeszcze jako analityk często się odwoływał.

## KONIEC MRZONEK

Kurt Erich Suckert (bo takie było nazwisko dziennikarza i prozaika, który wybrał sobie ten parodiujący Bonapartego pseudonim) analizując różne przykłady udanych i nieudanych zamachów stanu – tzw. rewolucję październikową Trockiego, pucz Kappa w Niemczech, przewroty Bonapartego, Piłsudskiego i Mussoliniego – sformułował kilka wskazań, które można rozpoznać w stosowaniu przez obecną ekipę „prawa, jak my je rozumiemy". Przede wszystkim wystąpił Malaparte przeciwko stereotypowi, jakoby zmiany społeczne były skutkiem buntu mas, powstań ludowych i wielkich zrywów. Ci, którzy tak uważali i próbowali zorganizować masowy ruch oraz wpłynąć na swoją korzyść na nastroje mas, z reguły przegrywali. Zamachy skuteczne były dziełem grup stosunkowo nielicznych, ale sfanatyzowanych, poddanych dyscyplinie i, przede wszystkim, uderzających w sposób przemyślany w decydujące punkty państwa, które chcieli obalić. Poparcie „ludu" przychodziło później jako premia za skuteczne zaprowadzenie porządku. Dla samego przejęcia władzy istotna była nie mobilizacja mas, ale wręcz przeciwnie – ich obojętność, nieorganizowanie ich, ale wtrącanie w chaos.

Bez wgłębiania się w teorie mało w Polsce znanego autora (tylko jedno wydanie niszowej oficyny w słabym tłumaczeniu, dokonanym w dodatku nie z oryginału, a z przekładu niemieckiego) znajomość jego podstawowych założeń pozwala lepiej zrozumieć to, co robi Tusk z polskim wymiarem sprawiedliwości i jakie zadania postawił Waldemarowi Żurkowi.

Owo „trafne rozeznanie układu sił w państwie", którym zachwycił swego czasu pułkownika Sienkiewicza Tusk, to było porzucenie inteligenckich mrzonek, z którymi lider PO szedł do wyborów jeszcze w roku 2007 i uświadomienie sobie, że Polska zbudowana na fundamencie umowy Okrągłego Stołu – gdzie świadomie zaprojektowano państwo ułomne, by nie było ono zdolne zapobiec wielkiemu szabrowi masy upadłościowej po PRL i procesowi przekształcenia się komunistycznej nomenklatury w liberalną elitę „państwa demokratycznego i wolnorynkowego" – jest luźną federacją korporacji zawodowych, grup interesów i wręcz mafii, kontrolowanych przez zamknięte, uprzywilejowane w ich obrębie sitwy, które swe przywileje, mechanizmy utrzymywania dominacji i kooptacji od wewnątrz przeniosły jeszcze z PRL. Zamiast owe „układy" rozbijać, jak próbowali bez wielkiego skutku zrobić Kaczyńscy i jak w wyborach 2007 r. obiecywał lepiej od nich zrobić Tusk, należy zobaczyć w nich właśnie owe malapartowskie grupy „techników przejmowania władzy" i stać się dla „układów" patronem, takim, z którym bardziej będzie się im opłacało „zblatować", niż przeciwko niemu spiskować.

**„Donald Tusk pozostanie u władzy tak długo, jak długo będzie chciał, ponieważ jako pierwszy polityk w III RP trafnie rozeznał układ sił w państwie i umiejętnie się weń wpisał" – ogłosił kilkanaście lat temu Bartłomiej Sienkiewicz, wówczas występujący w roli niezależnego analityka**

## GRUPY SPRAWOWANIA WŁADZY

Pomińmy tu wdzięczną dla felietonisty przypadłość Tuska, którą jest jego słabość do ludzi umiejących rzeczy, do których polityk, przez wiele lat przecież lekceważony i trzymany na ławce rezerwowych, doszedł własnym gangsterskim instynktem i sprytem, uszlachetnić na jego użytek intelektualnie, podpowiadając jakiegoś Karla Loewensteina, Carla Schmitta czy właśnie Malapartego. Ważne, że metoda okazała się skuteczna i pozwala Tuskowi utrzymać władzę, gdy wskutek wyborczej klęski Trzaskowskiego runęły szanse na „domknięcie systemu". Sam fakt, że owo oczekiwane „domknięcie" udało się udaremnić, wydawał się opozycji przesądzać o jej rychłym zwycięstwie – tymczasem Tusk podniósł się i odzyskał siły, pokazując, że i bez „domkniętego" systemu panuje nad sytuacją.

Fakt ten zawdzięcza właśnie swoim grupom „technicznego" sprawowania władzy, w największym stopniu sitwie kontrolującej środowisko sędziowskie. Nie całe, ale sądy dla władzy kluczowe. Grupa ta jest zorganizowana w stowarzyszeniu Iustitia i w mniejszym stopniu także w bliźniaczym Themis – oba to właściwie sędziowskie partie (skądinąd jednoznacznie zakazane przez Konstytucję RP) będące dziś, zwłaszcza Iustitia, uczestnikami koalicji rządzącej równie, jeśli nie bardziej w niej istotnymi niż polityczne „przystawki" dostarczające Tuskowi głosów w parlamencie. Stąd kariera ściśle związanego z partią „nadzwyczajnej kasty" Waldemara Żurka.

Taki układ jest dwustronny. Tusk, wbrew logice polityki nakierowanej na wyborców, całkowicie podporządkował swe działania w aparacie sprawiedliwości oczekiwaniom Markiewiczów i Przymusińskich z Iustitii, choć nie mógł nie wiedzieć, że ich oczekiwania – usunięcie z zawodu jednej trzeciej sędziów i uznanie za niebyłe wszystkich ustaw przyjętych po roku 2015 jako podstawowy warunek „przywrócenia praworządności" – są całkowicie nierealistyczne. Tusk nie mógł nie wiedzieć, że pakt z Iustitią musi doprowadzić do narastającego chaosu, ale Malaparte napisał przecież, że chaos jest dobry.

Przesłana na biurko prezydenta „ustawa praworządnościowa" Żurka, pomijając już jej sprzeczność z konstytucją, całym orzecznictwem Trybunału Konstytucyjnego sprzed 2015 r. i nawet orzeczeniami TSUE, który wyraźnie zabronił „hurtowego" kwestionowania statusu sędziów bez względu na to, kto ich rekomendował, brnie w nonsensy



eprasa.pl d705243ad8

jeszcze głębiej niż wszystkie poprzednie działania jego i jego poprzednika. Z mocy ustawy „neosędziowie" nie są i nigdy nie byli sędziami, ale wydane przez nich wyroki pozostają ważne, chyba że „starzy" sędziowie zadecydują w konkretnych wypadkach inaczej. Najlepszym przykładem generowanych przez tę ustawę absurdów jest dyspozycyjna wobec władzy sędzia Beata Najjar, prezes kluczowego dla procesów politycznych warszawskiego sądu okręgowego, ta właśnie, która represjonuje sędziego Dariusza Łubowskiego za uchylenie Europejskiego Nakazu Aresztowania na Marcina Romanowskiego; nawiasem mówiąc, wsławiona przed laty m.in. uniewinnieniem bossów „Pruszkowa" i skazaniem pomniejszych członków gangu na kary symboliczne – nawet tygodnik „Polityka" oburzał się wtedy, że „sąd prowadził rozprawę pod dyktando gangasterów" (jest regułą, że sędziowie i prokuratorzy Tuska niemal w każdym wypadku mają „za uszami" jakieś grube sprawy, to właśnie cementuje ich jako grupę).

Otóż w świetle prawa Beata Najjar od dawna już nie jest sędzią, gdyż weszła w wiek emerytalny. Mogłaby orzekać dalej, gdyby złożyła o to wniosek do KRS, (wobec przeciążenia sądów praktycznie nie zdarzają się w takich sprawach odmowy). Ale tego nie zrobiła, demonstracyjnie, by pokazać, że nie uznaje ona KRS i orzekała dalej prawem kaduka, a nawet, z łaski rządu Tuska, powołana została na prezes wspomnianego sądu. Jeśli prezydent nie podpisze ustawy „praworządnościowej" i koalicja wybierze swoją KRS według „PiS-owskiego" prawa, to de facto uzna KRS poprzedni, a więc i swoją prezes sądu uzna za „niesędziego".

Ale kto się będzie tym przejmował, jak długo kluczowy warszawski sąd będzie wydawał wyroki oczekiwane przez Tuska? A to dla niego bardzo ważne. Takie wydarzenia, jak umorzenie sprawy Tomasza Grodzkiego i skazanie dziennikarza, który opisał jego udział w procederze korupcyjnym (dla podkreślenia miary nonsensu: inny sąd wcześniej uznał przecież Grodzkiego za de facto winnego łapownictwa w jego procesie przeciw Tomaszowi Sakiewiczowi), jak oczyszczenie z zarzutów Sławomira Nowaka czy Romana Giertycha, to dla Tuska warunek sine qua non przetrwania – gdyby jego podwładni nabrali wątpliwości, czy „kierownik" jest w stanie zapewnić im bezkarność, zorganizowana grupa rządząca zaczęłaby ulegać dezorganizacji.

## AMUNICJA OD PIS

To, że prezydent ustawę Żurka zawetuje, wydaje się pewne – i nie ma wątpliwości, że właśnie po to mu ją Tusk przedłożył w skrajnie nieakceptowalnej, skrytykowanej przez wszystkie możliwe autorytety formie. Tusk chce wybrać swój KRS właśnie według obecnej ustawy, stworzonej przecież kiedyś przez PiS po to, by wybrać swój. Był to jeden z wielu przypadków, gdy PiS wykazał się beztroską, nieprzyjmowaniem do wiadomości, że kiedyś straci władzę i stworzone dla doraźnych potrzeb narzędzia użyte zostaną przeciwko niemu.

To, że dostarczy swym przeciwnikom propagandowej amunicji, popisując się obłudą, „kierownika" nie przeraża. Krzyki oburzenia mediów opozycyjnych do jego „bańki" nie docierają, a dla niej ma już przygotowaną narrację, że tym razem wyboru dokonają „sędziowie", a większość sejmowa jedynie wybór ten „zatwierdzi". Co znaczy, że wyboru dokona de facto Iustitia, której aktyw już wystawił swoich kandydatów, gładko przechodząc do porządku dziennego nad tym, że wcześniej składał zawiadomienia o przestępstwie i wzywał do ostracyzmu wobec sędziów, którzy do KRS kandydowali bądź podpisali się pod taką kandydaturą.

**Gdyby podwładni Donalda Tuska nabrali wątpliwości, czy „kierownik" jest w stanie zapewnić im bezkarność, zorganizowana grupa rządząca zaczęłaby ulegać dezorganizacji**

Obsadzenie KRS nominatami Iustitii oznaczać będzie dalszy paraliż aparatu sądowniczego, z punktu widzenia Tuska będzie zatem zwycięstwem pyrrusowym. Utrzyma, za pośrednictwem Żurka i jego „zaufanych sędziów", jak ujął to sam minister, możliwość ręcznego sterowania wyrokami i orzeczenia, będzie zatem mógł skuteczniej, a w każdym razie jeszcze bardziej spektakularnie polować na wybranych przedstawicieli opozycji i zastraszać nieprzychylne mu media. Ale stanie się to za cenę obrócenia przeciwko sobie rosnącej części najpierw środowiska sędziowskiego, a z czasem, gdy bałagan w sądach zacznie doskwierać coraz większej liczbie obywateli, zapewne także i wyborców. Ostatecznie w ten czy inny sposób będzie to musiało doprowadzić do jakiegoś „resetu" sądownictwa i coraz bardziej prawdopodobne się staje, że reset ten będzie miał charakter „erdoganowski", to znaczy będzie się wiązał nie tylko z usunięciem sędziów Tuska z zawodu, lecz także z ich aresztowaniami i procesami.

Tusk wydaje się wolny od takich obaw, a jego otoczenie mniej lub bardziej szczerze wierzy w jego szczęśliwą gwiazdę. Przetrwało już wystarczająco wiele narracyjnych fikołków i zwrotów, by wiedzieć, że sfanatyzowana, 30-procentowa „bańka" scementowana klasistowską pogardą i nienawiścią do „pisowców", „wiochy" i wszelkiej „hołoty", kupi i poprze wszystko, Bruksela i establishment unijny twardo staną po stronie „europejskiego" rządu w Warszawie i udzielą mu wszelkiej niezbędnej pomocy, a opozycja, która jest skłócona i poddana moralnemu szantażowi Braunem, nie zdoła stworzyć skutecznej koalicji do przejęcia władzy. A nawet gdyby stworzyła, ugrzęźnie w wytworzonym chaosie i, jak przed rokiem 2023, pod groźbą „warunkowości funduszy europejskich", będzie musiała pogodzić się z kontrolowaniem kluczowych punktów państwa przez wierne Tuskowi „grupy techniczne". Malapartowska „technika zamachu stanu" jest w ten sposób twórczo rozwijana w „technikę utrzymania władzy" wbrew woli większości.

Nie wiem tylko, czy Bartłomiej Sienkiewicz czy ktokolwiek Tuska tej techniki uczył, powiedział mu, że w swym wydanym w 1931 r. dziele Malaparte prorokował, że Hitler, niestosujący się do jego zasad, nigdy nie zdobędzie władzy w Niemczech. Teoria jest tylko teorią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8



Posiedzenie Okręgowego Sądu Lekarskiego w Poznaniu. Proces 19 lekarzy, którzy kwestionowali politykę państwa w sprawie walki z pandemią COVID-19, 17 marca 2023 r. FOT. JAKUB KACZMARCZYK/PAP

# Test z Hipokratesa



*Jerzy Karwelis*

**Procesy lekarzy, którzy sprzeciwiali się polityce lockdownowej w czasie pandemii, zostały wytoczone po to, by ich zdyscyplinować nie tylko na polu walki z COVID-19. Chodziło o to, żeby w przyszłości ludzie ci leczyli nie według „własnej najlepszej wiedzy", ale procedur, które są stosowane przez system opieki zdrowotnej w oparciu o uzgodnienia z Big Pharmą**

Czasy pandemii COVID-19 były okresem, w którym ujawniły się nie tylko zastraszające intencje polskich władz, lecz także odsłonił swoje oblicze cały patologiczny system samorządu lekarskiego, sprzęgniętego z interesami przemysłu farmaceutycznego. Lekarze mają przymus zrzeszania się w jednej ogólnopolskiej Naczelnej Izbie Lekarskiej. Bez tego nie mogą wykonywać zawodu. Ale tenże samorząd dysponuje możliwością nakładania sankcji na lekarzy, łącznie z dożywotnim zakazem wykonywania zawodu. Ten system – w okresie pandemii – został wykorzystany do ścigania lekarzy, którzy prezentowali inną niż ustalona oficjalnie linię podejścia do COVID. Nie traktowali go jako choroby o pandemicznych rozmiarach oraz do wymuszania bezwzględnej akceptacji szczepionek.

## KTO OSKARŻAŁ?

Aby przejść do przykładów konkretnych przypadków gnębienia lekarzy, należy najpierw omówić działania sądów lekarskich przy wojewódzkich okręgowych izbach lekarskich. Samorząd lekarski stworzył własne sądy, które mają za zadanie dbać o zaufanie społeczeństwa do lekarzy, poprzez własny system rozstrzygania sporów dotyczących błędów medycznych oraz utrzymywania na wysokim poziomie etyki lekarskiej, będącej wyrazem szczególnych wymagań wobec zawodu społecznego zaufania. Samorządy mają ogólną tendencję do załatwiania swoich spraw „u siebie", co daje im przedłużone gwarancje, że jak to zrobią, to „brudy wypierze się w domu", czyli bez ingerencji państwa, a zamknięty charakter korporacji zawodowej zostanie utrzymany. Jednak taki własny wewnętrzny „wymiar sprawiedliwości" jest łatwym narzędziem do wykorzystania go przy próbach złapania środowiska – w tym przypadku lekarskiego – za gardło, z pobudek całkowicie innych niż dbanie o wysoki poziom społecznego szacunku do zawodu o wysokich wymaganiach etycznych. Tak stało się w czasie pandemii.

Właściwie trudno dziś wymienić wszystkich gnębionych wówczas lekarzy, gdyż można byłoby pominąć niesprawiedliwie czyjąś niezłomną postawę. Tu skupimy się na kilku nazwiskach, dzięki czemu otrzymamy obraz zarówno postaw lekarzy, jak i różnych reakcji systemu.

Wypada zacząć od dr Anny Martynowskiej, która wraz z Cecylią Zdunek już latem 2020 r. objeżdżała całą Polskę, by podczas dziesiątek spotkań wskazywać na potrzebę innych niż oficjalnie przyjęte, czyli panikarskie, rozwiązań w walce z COVID-19 (to było jeszcze przed podjęciem



eprasa.pl d705243ad8

tematu wątpliwych szczepień). A odwoływała się do swoich doświadczeń. Prowadziła dwie przychodnie i nie zauważyła w nich żadnej pandemii. Doktor Martynowska poszła na pierwszy ogień sądów lekarskich. Pierwszą z pięciu spraw zaczął Okręgowy Sąd Lekarski we Wrocławiu ze skutkiem tymczasowego zakazu wykonywania zawodu w sumie na rok.

Zaraz potem była sprawa dr Doroty Sienkiewicz, która m.in. opublikowała filmik, skierowany głównie do młodzieży (i pośrednio rodziców), w którym przestrzegała przed konsekwencjami szczepień. Doktor Sienkiewicz otrzymała roczny zakaz wykonywania zawodu, który traci moc w lutym 2026 r.

Mieliśmy też do czynienia z lekarzami, którzy kwestionowali w mediach społecznościowych najpierw procedury pandemiczne, tzw. niefarmaceutyczne interwencje typu DDM, czyli triadę dystans-dezynfekcja-maseczki, potem zaś procedury dopuszczenia szczepionek mRNA (tu głównie wyróżniali się dr Zbigniew Martyka, dr Paweł Basiukiewicz, prof. Ryszard Rutkowski czy dr Piotr Witczak).

## ZA CO?

O co byli oskarżani lekarze? Otóż zarzucano im wyrażanie poglądów sprzecznych z aktualnym stanem wiedzy medycznej, co miało wystawiać na szwank społeczne zaufanie do zawodu lekarza i mącić w głowach pacjentów w krytycznej sytuacji pandemii. Wedle oskarżycieli lekarze ci kwestionując aksjomaty walki z pandemią, o dogmacie szczepionkowym nie wspominając, popadali w konflikt poznawczy, czyli nie dochowywali wymuszanych standardów zachowań, co w rezultacie prowadziło do masowych zakażeń skutkujących nadmiarowymi zgonami. I tu zaczęły się problemy.

Po pierwsze, sędziowie sądów lekarskich to lekarze. Tymczasem okazało się, że na wokandzie stawały sprawy dotyczące nie procedur medycznych, lecz cywilno-prawnych rozważań nad zakresem wolności słowa, a więc wykraczające poza kompetencje lekarzy.

Po drugie – wedle linii obrony mecenasa Stanisława Zapotocznego – wykładnia sądów lekarskich nie miała szans się utrzymać. Otóż art. 53 ustawy o izbach lekarskich przewiduje możliwość ukarania lekarza, ale tylko, gdy swym działaniem sprzeciwi się etyce lekarskiej i jednocześnie naruszy przepisy związane z wykonywaniem swojego zawodu. Sądy lekarskie powoływały się tu na art. 4 ustawy o wykonywaniu zawodu lekarza i lekarza dentysty, ale mówi on wyłącznie o wykonywaniu usługi medycznej. Nie ma tu zaś nic na temat tego, że do jej wykonywania należy (odpowiednie) zabieranie głosu, również w sprawach medycznych.

Po trzecie – jak wskazał mecenas Arkadiusz Tetela – doszło do naruszeń podstawowych praw obywatelskich. Sądy lekarskie nie są od ich uchylania w przypadku lekarzy, a sami medycy nie są obywatelami drugiej kategorii, niższej nie wiadomo dlaczego niż kategoria obywateli obdarzonych ochroną prawa do wypowiedzi i wolności słowa. Takie podejście, czyli karanie za poglądy, naruszało art. 54 konstytucji, a także prawo do składania petycji, o Europejskiej Konwencji Praw Człowieka nie wspominając.

Kiedy okazało się, że materia merytoryczna i proceduralna mocno przerasta kompetencje medyków, Naczelna Izba Lekarska zamówiła suto opłaconą ekspertyzę prawną na temat tego, jak lekarze w sądach mają sobie poradzić, by coś w ogóle móc orzec. Opinię przygotowali prawnicy ze środowiska Uniwersytetu SWPS: prof. Lech Gardocki, prof. Stanisław Hoc, prof. Hubert Izdebski, dr hab. Teresa Gardocka, dr hab. Dariusz Jagiełło. Ta, rozesłana do sądów okręgowych, opinia miała utrzymać w rozproszonych izbach lekarskich jednolitą linię orzeczniczą. Sądy lekarskie trzymały się do końca tej ekwilibrystyki za pieniądze, co zaprzecza nie tylko ich kompetencjom, lecz także wymogowi niezależności.

## PROCEDURALNE AMATORSTWO

Dlaczego tak postępowano? Jest to szerszy aspekt całego – dodajmy: międzynarodowego – podejścia, które przecierało szlak szybkiej decyzji o przyjmowaniu szczepionek mRNA na COVID-19. Chodziło o to, że aby dopuścić je do stosowania w trybie nadzwyczajnym, czyli przyspieszonym poprzez pominięcie koniecznych faz badań. Należało wykazać zaistnienie trzech okoliczności, z których jedną stanowił brak leku na nagłe pojawienie się pandemicznego patogenu. To dlatego wszelkie rekomendacje dotyczące procedur leczniczych COVID-19 właściwie oznaczały namawianie do… nieleczenia. Po prostu nie można było dopuścić do tego, żeby pojawił się skuteczny środek z palety leków już dostępnych i przebadanych, gdyż cała przyspieszona akcja szczepionkowa nie miałaby proceduralnego uzasadnienia.

Warto przypomnieć, że rozprawy przed sądami lekarskimi odbywały się w oparciu o zasady wzorowane na Kodeksie postępowania karnego, o którym lekarze mają takie pojęcie, jak prawnicy o operacji wyrostka. Namnożyło się w związku z tym wiele proceduralnych wpadek, które były podstawą do częstych prób obalenia całej procedury za pomocą wniosków obrony. Próby te nie przyniosły większych skutków w samych sądach lekarskich i należy liczyć na to, że dadzą one efekty dopiero wtedy, kiedy sprawy wyjdą z sądów lekarskich i zajmą się nimi profesjonalni prawnicy w trybie kasacji w Sądzie Najwyższym.

Podstawowe faule, których się dopuszczono, to: zmiana kwalifikacji czynu z ewidentnym działaniem prawa wstecz, nieuwzględnianie wniosków dowodowych obrony, niepowoływanie biegłych postulowanych przez obronę, odrzucanie wniosków o przesłuchanie biegłych przygotowujących opinie, nieokreślanie konkretnych wysokości opłat sądowych. Taki tok postępowania oznaczał, że oskarżeni byli poddawani finansowym represjom. Na przykład dr Sienkiewicz musiała wydać dziesiątki tysięcy złotych na tłumaczenie prac naukowych dowodzących jej racji (bo przecież lekarze sądu lekarskiego angielskiego nie znają). Po czym sąd przetłumaczonych dowodów w ogóle nie uwzględnił.

## STRONNICZOŚĆ

Największym grzechem w sądach lekarskich było (i pozostaje) tolerowanie konfliktu interesów. Ten zarzut obrony był przez sądy notorycznie pomijany, chociaż w co najmniej jednym przypadku (w Poznaniu) sąd wiedząc, że padnie zarzut stronniczości wobec składu, przygotował swój rezerwowy skład zastępczy. Kłopot w tym, że w środowisku lekarskim trudno znaleźć kogoś, kto nie współpracowałby z którąś z firm Big Pharmy, czyli orzekał np. w sprawie lekarza kwestionującego użyteczność czy bezpieczeństwo preparatu firmy, która jest sponsorem członka składu orzekającego w tej sprawie. Jeden


eprasa.pl d705243ad8

z sędziów Sądu Lekarskiego w Poznaniu na zarzut, że cała Wielkopolska Izba Lekarska ma konflikt interesów, wynikający z jej sponsorowania przez producenta szczepionek Astra Zeneca, z kompromitującą szczerością odpowiedział, że nie można w Polsce znaleźć ani jednej izby wolnej od tego rodzaju wpływów i nie byłoby komu sądzić w ogóle.

Najbardziej kuriozalnym przypadkiem stronniczości była jednak ekspertyza wydana przez prof. Iwonę Paradowską-Stankiewicz. To członek Polskiego Towarzystwa Epidemiologicznego (jak każda taka instytucja zasilanego przez farmaceutycznych sponsorów, z producentami szczepionek na czele). Zasiadała ona w Radzie Medycznej przy premierze i miała oceniać lekarzy kwestionujących ustalenia tego ciała, a więc i swoje. W końcu okazało się, że jej ekspertyza mogła być dziełem… sztucznej inteligencji, co jest obecnie badane w prokuraturze, gdyż lekarze uważają, że od 70 do 90 proc. tej opinii powstało jako dzieło AI.

Natomiast jeśli chodzi o najbardziej spektakularny sądowy przypadek represji wobec lekarzy, to był nim tzw. proces 114 lekarzy. Chodziło o trzy apele, w których tysiące lekarzy zabiegało u władz o szczególną ostrożność przy wprowadzaniu obowiązku szczepień na COVID-19 oraz o zrewidowanie polityki lockdownowej. Z tych tysięcy podpisów zrobiło się 114 oskarżonych w trybie, który pokazuje, do jakich podłości dopuściło się państwo polskie w czasie pandemii. Otóż naczelnik rzecznik odpowiedzialności zawodowej NIL, taki prokurator w sądach lekarskich, Grzegorz Wrona, najpierw ogłosił, że będzie pozywał wszystkich sygnatariuszy apeli, potem tych, którzy się na tym etapie nie wycofali, wzywano do rzeczników i straszono konsekwencjami takich działań. Jeden z obrońców pozwanych lekarzy, mecenas Marek Czarnecki, zajrzał do tysięcy stron akt tego procesu i znalazł tam – jak twierdzi – „materiały, których nie powstydziłby się IPN" badający historię z lat 50. Były tam akty samokrytyki i podobne deklaracje, podpisane przez przerażonych lekarzy, którym zajrzało w oczy widmo utraty prawa do wykonywania zawodu.

Po tych harcach z tysięcy lekarzy zostało już tylko 114. Oskarżono ich w trzech Okręgowych Izbach Lekarskich w Gdańsku, Poznaniu i we Wrocławiu. Już sama lokalizacja rozpraw miała znamiona represji: np. kilkoro lekarzy musiało dojeżdżać z Wrocławia do Poznania, choć we Wrocławiu też odbywały się dotyczące ich rozprawy.

## PUŁAPKA „EFEKTU MROŻĄCEGO"

Jaki jest obecny stan spraw, o których tu mowa? Kary zawieszenia wykonywania zawodu właściwie dobiegły już końca. Została tylko dr Sienkiewicz, ewidentnie karana za to, że stoi na czele Polskiego Stowarzyszenia Niezależnych Lekarzy i Naukowców. Proces 114 lekarzy skończył się naganami dla kilku lekarzy, a więc sprawa wydaje się domykać. Jednak obrona lekarzy zaskarżyła te wyroki do Sądu Najwyższego i widać, że przejście z sądów korporacji lekarskiej do SN może cały bieg sprawy odwrócić poprzez wykazanie stronniczości, błędów proceduralnych, a przede wszystkim niedorzeczności orzeczeń. Nie tylko by to oczyściło dobre imię lekarzy, lecz także doprowadziło do dochodzenia wysokich odszkodowań, i to indywidualnie od osób zasiadających w składach sądów lekarskich, nie mówiąc już o tym, że te działania ostatecznie pogrzebałyby system i zasadność działania izb. Wygrana dr. Norberta Szalusia w Sądzie Najwyższym ujawniła kompetencyjne i merytoryczne dno orzeczeń sądu lekarskiego, który zawiesił jego prawo do wykonywania zawodu. Przykład dr. Marka Wawrzeńczyka, który pozwał Okręgową Izbę Lekarską w Bydgoszczy i bydgoskiego okręgowego rzecznika odpowiedzialności zawodowej osobiście za zniesławienie go we wnioskach i orzeczeniach, dowodzi, że lekarze urzędujący w izbach też zderzą się z „efektem mrożącym" – na wypadek, gdyby chcieli powtarzać swój proceder przeciw kolegom po fachu.

**Jeden z obrońców pozwanych osób w procesie 114 lekarzy zajrzał do tysięcy stron akt tej sprawy i znalazł tam – jak twierdzi – „materiały, których nie powstydziłby się IPN" badający historię z lat 50.**

W sumie urzędnicy z izb lekarskich i sądów lekarskich wpadli w pułapkę. Na trzy lokalizacje procesu 114 lekarzy opieszałość sądów w Gdańsku i we Wrocławiu doprowadziła do tego, że prowadzone w nich sprawy się przedawniły. Został tylko sąd w Poznaniu, któremu – jak się wydaje – powierzono zadanie przeprowadzenia wobec niezależnych lekarzy „efektu mrożącego". Padło na czwórkę z Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. Profesor Ryszard Rutkowski, dr Dorota Sienkiewicz, prof. Maria Sobaniec-Łotowska, jej córka, dr hab. Joanna Łotowska otrzymali nagany. Choć liczba ukaranych okazała się mała, to o uzyskaniu „efektu mrożącego" zdecydowało to, kogo ukarano. Są to lekarze, którzy cieszą się w swoim środowisku zawodowym autorytetem.

Opisane tu działania miały mieć ewidentnie efekt wywarcia presji na środowisko lekarskie. Ma to dwa aspekty – jeden taktyczny: na wypadek następnej pandemii wszyscy już będą wiedzieli, jak się zachować i jakie są sankcje za zejście ze ścieżki głównego przekazu. Drugi aspekt to argument o przestrzeganiu dorobku aktualnego stanu nauki. Ma on tu wydźwięk ironiczny. Trudno bowiem dorobek nauki uznać za coś statycznego i niezmiennego. Przecież jej rozwój polega na ciągłym kwestionowaniu dotychczas zgromadzonej wiedzy.

Swoją drogą, w lipcu 2025 r., w trakcie uzasadnienia jednego z orzeczeń, Wojciech Łącki z Okręgowej Izby Lekarskiej w Poznaniu stwierdził, że rzeczywiście wątpliwości lekarzy występujących przeciw polityce covidowej w czasie pandemii zostały obecnie naukowo potwierdzone, ale oni zakwestionowali taki stan wiedzy naukowej, jaki był wówczas. Przy tego rodzaju argumentacji można byłoby spalić Galileusza za jego herezje, a potem ten sam kat musiałby stwierdzić, że Ziemia się jednak kręci, ale kiedy paliliśmy wyrywnego geniusza, nie było nam to jeszcze wiadome.

Procesy, o których mowa w niniejszym tekście, to była pokazówka dla lekarzy, by się słuchali w ogóle, a nie tylko w sprawie walki z COVID-19. I żeby leczyli nie według „własnej najlepszej wiedzy", ale procedur, które są stosowane przez system opieki zdrowotnej w oparciu o uzgodnienia z Big Pharmą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8

# W kolejce do Polski




FOT. DANIEL DMITRIEW/FORUM



*Radosław Wojtas*

**Rośnie liczba cudzoziemców ubiegających się o polski paszport. Jeszcze szybciej rośnie odsetek decyzji odmownych. Cudzoziemcy, którzy chcą zostać obywatelami Rzeczypospolitej, muszą uzbroić się w cierpliwość, bo rozpatrywanie ich spraw trwa wiele miesięcy**

Aliens in Poland to kanał na YouTube, który prowadzi polsko-indyjskie małżeństwo. – Pomysł na kanał wziął się z tego, że obracając się w środowisku obcokrajowców w Warszawie, słyszeliśmy bardzo dużo ciekawych historii. Osoby z różnych krajów mają zupełnie inną perspektywę na Polskę. Chcieliśmy podzielić się tymi historiami z naszymi widzami. Nasz kanał to jest spojrzenie na Polskę z perspektywy obcych – mówiła na antenie radiowej Czwórki współtwórczyni kanału Aliens in Poland, Kamila Dudzic.

Jaka to perspektywa? W radiowym wywiadzie para streściła to, co najczęściej słyszy od obcokrajowców przebywających w Polsce: że jest u nas czysto, bezpiecznie (co podkreślają zwłaszcza kobiety), w miastach nie brakuje zieleni, a Polacy to ludzie tolerancyjni, którzy jeśli już jakoś reagują na inny niż biały kolor skóry, to raczej zainteresowaniem niż niechęcią czy agresją, jak często próbuje się nas zaszufladkować. – Wiele osób z Polski, które zaczynają podróżować po różnych krajach na świecie, zwraca uwagę na to, w jak bezpiecznym i uporządkowanym kraju żyjemy – mówiła Kamila Dudzic. – Jesteśmy w stanie to zauważyć, dopiero gdy zaczniemy podróżować po świecie. Jesteśmy w stanie zauważyć rzeczy, które dla nas na co dzień są oczywiste – dodawała.

Zauważają to najwyraźniej cudzoziemcy, którzy przebywają legalnie w Polsce, bo coraz więcej z nich wnioskuje o polskie obywatelstwo.

## KANDYDACI NA POLAKÓW

Obcokrajowcy, którzy marzą o polskim paszporcie, mają dwie drogi – administracyjną, w której prośbę o uznanie za polskiego obywatela rozpatruje wojewoda, i prezydencką, w której to Prezydent RP nadaje polskie obywatelstwo. Zajmiemy się tu tym pierwszym trybem, gdyż ta procedura oparta na decyzji administracyjnej jest znacznie częściej wybierana. Prezydencka prerogatywa do nadawania obywatelstwa jest wykorzystywana rzadziej, jest to ścieżka idealna dla osób, które nie spełniają kryteriów rozpatrywanych przez wojewodów, ale mogą wykazać się szczególnymi zasługami (sportowcy, artyści, działacze polonijni etc.).

Z danych przygotowanych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji dla „Dziennika Gazety Prawnej" wynika, że w ubiegłym roku do urzędów wojewódzkich trafiło 19 609 podań o nadanie polskiego obywatelstwa. Liczba osób objęta wnioskiem (w tym małoletnie dzieci cudzoziemców) wyniosła 26 286. W porównaniu z rokiem 2024, kiedy złożono 16 116 wniosków, to więcej o 21 proc. Dużo, ale we wcześniejszych latach – mimo że liczby bezwzględne były niższe – dynamika wzrostu bywała jeszcze większa: 40–60 proc. I tak w 2023 r. wpłynęły



eprasa.pl d705243ad8

10 033 wnioski, w 2022 – 7038, w 2021 – 4807, a w 2020 – 4148.

O obywatelstwo mogą się starać osoby, które w Polsce przebywają legalnie od lat. Czas ten jest zależny od sytuacji wnioskującego i tak np. dla cudzoziemca, który przebywa nad Wisłą na podstawie zezwolenia na pobyt stały, zezwolenia na pobyt rezydenta długoterminowego Unii Europejskiej lub prawa stałego pobytu, są to trzy lata (pod dodatkowymi warunkami posiadania stabilnego i regularnego źródła dochodu w Polsce oraz tytułu prawnego do zajmowania lokalu mieszkalnego), a dla osób, które mają status uchodźcy, wystarczą dwa lata nieprzerwanego pobytu. W tym drugim wypadku państwo polskie nie stawia dodatkowych wymogów odnośnie do źródła dochodu czy uregulowanej sytuacji mieszkaniowej. Wszyscy ubiegający się o polski paszport muszą znać język polski na poziomie co najmniej B1, a umiejętność ta musi być potwierdzona urzędowo.

Ważna jest również przeszłość osoby starającej się o obywatelstwo pod kątem wchodzenia w konflikt z prawem. Wojewoda może odmówić uznania za polskiego obywatela, jeśli uzna, że stanowiłoby to zagrożenie dla obronności lub bezpieczeństwa państwa albo ochrony bezpieczeństwa i porządku publicznego.

## MUR Z PAPIERU

Trendowi przyrostu liczby składanych wniosków o obywatelstwo towarzyszy stały wzrost odsetka decyzji odmownych. W obliczu wzrostu poczucia zagrożenia i panujących nastrojów politycznych urzędnicy zagęścili sito. Jak podaje „DGP", w 2025 r. wojewodowie wydali 635 decyzji odmownych, czyli o 64 proc. więcej niż rok wcześniej i dwukrotnie więcej niż w roku 2023.

Joanna Torbe-Jacko, adwokat, ekspert do spraw prawa pracy i ubezpieczeń społecznych, mówi w rozmowie z dziennikiem, że więcej decyzji odmownych wynika ze „znacznie dokładniejszej, wręcz drobiazgowej weryfikacji przesłanek ustawowych". Często dotyczącej obawy o stwarzanie przez wnioskującego zagrożenie dla bezpieczeństwa lub porządku publicznego. – W poprzednich latach cudzoziemiec nie miał większego problemu z uzyskaniem polskiego obywatelstwa, nawet jeśli w jego kartotece

**Trendowi przyrostu liczby składanych wniosków o obywatelstwo towarzyszy stały wzrost odsetka decyzji odmownych**

widniały poważniejsze wykroczenia czy wręcz przestępstwa, takie jak jazda pod wpływem alkoholu i spowodowanie wypadku. Dziś polityka uległa radykalnej zmianie. Wystarczy niezapłacenie drobnego mandatu, by wniosek został negatywnie rozpatrzony przez urzędnika – mówi Joanna Torbe-Jacko.

Prawniczka przywołuje przykład ze swojej praktyki. Opowiada o klientce, która jest prezesem spółki w Polsce, przebywa legalnie w Polsce od lat, ma męża Polaka, a jej dzieci – polskie obywatelstwo. Joanna Torbe-Jacko przekonuje, że osoba ta nie może uzyskać polskiego paszportu, bo została ukarana mandatem za „niedopełnienie obowiązku informacyjnego w związku z zatrudnieniem cudzoziemca na podstawie ustawy o promocji zatrudnienia". Mandat ten miał wynosić 20 zł.

Karolina Schiffter, partnerka w kancelarii Fragomen, w rozmowie z „DGP" zwraca uwagę, że urzędnicy w podejmowaniu decyzji odnośnie do nadania bądź odmowy nadania obywatelstwa kierują się automatyzmem. Stąd właśnie wynikają sytuacje, gdy z pozoru błahe sprawy mogą zamknąć cudzoziemcowi drogę do polskiego paszportu. – Urzędnicy wychodzą z założenia, że skoro ABW wydała negatywną opinię po przeprowadzonym wywiadzie, to oni muszą zrobić to samo. Dotyczy to nie tylko wniosków o uznanie obywatelstwa, lecz także zezwoleń na pobyt. Tymczasem zdarzają się przypadki, w których te negatywne opinie służb zapadają z trywialnych powodów, np. dlatego, że ktoś otrzymał mandat za szybką jazdę czy po prostu nie był dobrze oceniony przez sąsiadów w wywiadzie środowiskowym – mówi „DGP" Karolina Schiffter.

Trudno się jednak urzędnikom dziwić, biorąc pod uwagę panującą w Polsce atmosferę. Nigdy nie wiadomo, kiedy szeregowi pracownicy administracji mogą stać się pionkami na szachownicy politycznych rozliczeń. A kwestie migracji – tej legalnej i nielegalnej – często stają się przedmiotem politycznych przepychanek. Wzmożonej ostrożności urzędników nie sprzyja też poczucie zagrożenia ze strony Rosji, białoruskiej presji migracyjnej i kłopotów krajów unijnych wynikających z otwarcia granic przed przybyszami spoza Europy.

## ZADYSZKA SYSTEMU

Osobnym tematem jest (nie)wydolność systemu. Średni czas postępowania w Warszawie wynosi obecnie ok. 18 miesięcy, jednak dane Konfederacji Lewiatan wskazują, że w skrajnych przypadkach proces uzyskiwania obywatelstwa rozciąga się do 31 miesięcy. Najtrudniejsza jest sytuacja w województwie mazowieckim, bo to tu rozpatruje się najwięcej takich spraw. W 2024 r. było to prawie 40 proc. wszystkich wniosków o uznanie za obywatela polskiego.

W odpowiedzi na zapytanie Rzecznika Praw Obywatelskich w związku ze skargami na przeciągające się procedury MSWiA poinformowało w listopadzie 2025 r., że „w 2024 r. do Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji wpłynęło 4939 ponagleń na wojewodów w sprawach o uznanie za obywatela polskiego oraz o potwierdzenie posiadania obywatelstwa polskiego, w tym 4787 dotyczących postępowań prowadzonych przez Wojewodę Mazowieckiego. Z kolei od początku 2025 r. do 30 września 2025 r. wniesiono 4331 ponagleń, w tym 4099 na Wojewodę Mazowieckiego". Minister spraw wewnętrznych stwierdził, że w 2024 r. ponaglenia były zasadne w 3614 sprawach, a bezzasadne w 1175 przypadkach. Natomiast w 2025 r. (do 30 września) 3341 ponagleń uznano za zasadne, a w 640 sprawach stwierdzono bezzasadność ponaglenia.

Ministerstwo tłumaczy się, że oprócz wzrostu liczby spraw do rozpatrzenia problemem urzędów wojewódzkich jest niedobór odpowiedniej kadry. „Wydziały spraw obywatelskich i cudzoziemców urzędów wojewódzkich borykają się z problemami kadrowymi, w szczególności z odpływem wykwalifikowanych pracowników z długoletnim doświadczeniem" – pisze MSWiA w odpowiedzi do RPO.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8



FOT. ADOBE STOCK

# Powrót do natury



*Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska*

**Choć – jak pokazują dane – co 10. osoba w Polsce ma tatuaż, to coraz więcej młodych kobiet żałuje tej decyzji. Brak tatuaży staje się wręcz trendy**

Nie rób sobie tatuaży, bo później będziesz chciała wyjść w sukience w lecie i będziesz wyglądać tak" – jedna z użytkowniczek opublikowała TikToka z takim napisem, a na nagraniu widzimy młodą blondynkę, która zdejmując lekki sweterek, pokazuje wytatuowany dekolt i ręce. Duże, agresywne wręcz malunki gryzą się z delikatną, jasną sukienką i dziewczęcymi rysami twarzy. „Zawsze słyszę od osób z tatuażem, że to świadoma decyzja" – skomentował obserwator, na co „estelle_97" odpisała: „Pewnie w wielu przypadkach tak, u mnie to był nacisk otoczenia". Ta sama tiktokerka w innym nagraniu, również prezentując tatuaże, ostrzega: „To twój znak, żebyś nie ulegała chwilowej modzie/wpływowi otoczenia".

Ania Potok, którą na TikToku obserwuje prawie 35 tys. osób, zaleca: – Myślcie dwa razy, zanim zrobicie jakiś tatuaż. Ja mam tatuaż z Jezusem, który pali papierosa i pije drinka i jest mi za niego wstyd. Jeżeli jesteś młodą osobą, która zastanawia się nad zrobieniem sobie tatuaży, to posłuchaj mnie jako osoby, która ma osiem tatuaży i kilku z nich bardzo żałuje. Wiem, że teraz zabrzmię jak stara baba, ale tak, tatuaż to jest coś, co z tobą zostaje, a niestety jako młodej osobie styl prawdopodobnie ci się zmieni. I jest to ostrzeżenie, bo wiem, jak ja sama wtedy myślałam i byłam pewna, że to na pewno to, że to jest takie super, trochę śmieszne. Teraz naprawdę tego żałuję. Teraz jestem bardziej spokojna, próbuję się ubierać elegancko i ten tatuaż nie wpisuje się ani trochę w mój styl. Tak jak drugi tatuaż, tatuaż przyjaźni, który zrobiłam z przyjaciółką i ten oto dinozaur, który również jest bardzo widoczny. Ale jako 20-letnia osoba byłam przekonana, że to będzie genialny pomysł, najlepszy, na jaki można wpaść. Usuwanie tatuażu kosztuje i bardzo boli.

## MAMA MIAŁA RACJĘ

Weronika Dąbrowska, która może pochwalić się gronem ponad 43 tys. fanów na TikToku, wprost przyznaje, że „mama miała rację". – Moja mama może powiedzieć: „A nie mówiłam?", a właściwie już to zrobiła. Usuwam tatuaże, nie cały „rękaw", ale trzy, których szczerze i totalnie żałuję. Jak byłam młodsza, byłam bardziej „yolo" („you only live once" – „żyje się tylko raz" – osoba szalona, spontaniczna – przyp. Z.D.P.) i nad kolanem zrobiłam sobie dziarę, że jestem „crazy kid", a nie jestem. Miałam też fazę na tatuaż na szyi i całe szczęście, że go nie zrobiłam – opowiada.

– Nie zrozumcie mnie źle, doskonale zdawałam sobie sprawę z konsekwencji zrobienia tatuaży – że albo na całe życie, albo bolesne usuwanie. Pomimo tego, że dziary albo mi się robiły brzydkie, tak jak te na palcach, albo po prostu jak ta na nodze mi się nie podobały, zwlekałam z usuwaniem. Aż zaklepaliśmy datę ślubu,



eprasa.pl d705243ad8

no i wiadomo – obrączki, sukienka z wycięciem i wielki napis nad kolanem „crazy kid". Sens historii jest taki, że czasami warto zastanowić się dwa razy i finalnie posłuchać mamy. Mama przeważnie ma rację – zakończyła influencerka.

Historią o usuwaniu tatuażu podzieliła się z fanami także obserwowana przez 2 mln osób na TikToku wokalistka Sylwia Lipka. – Dzisiaj zaczynam usuwanie tatuażu […]. Żałuję tatuażu Mulan [postać z bajki Disneya – przyp. red.]. Jest pięknie wykonany, przez bardzo zdolną artystkę, ale moim zdaniem nie pasuje do mnie wizualnie. Jest za duży, za ciemny, za ciężki. Usuwanie będzie długotrwałym procesem, ponad rok – wskazała Lipka. Portale plotkarskie rozpisywały się jakiś czas temu o Weronice Wiśniewskiej, która zajmuje szóste miejsce w rankingu najbardziej popularnych polskich influencerów na Instagramie (3,7 mln obserwatorów). „Wersow" postanowiła wrócić do bardziej naturalnego wyglądu, co obok zmiany koloru włosów obejmowało także usunięcie tatuaży. 29-latka opublikowała obszerną relację z wizyty w salonie. – Idę usunąć moje tatuaże. Część osób nawet nie wie, że mam ich tak dużo, bo ja zazwyczaj je zakrywam. Za bardzo estetycznie mi się nie podobają. Dla mnie one były takie trochę, powiedzmy, znaczeniowe. Niektóre z nich zrobiłam pod wpływem chwili – opowiadała na filmie. – Stwierdziłam, że znaczeniowo to nie musi być na moim ciele. Ja mam to wszystko w głowie. Nie muszę tego dokumentować, bo ja to pamiętam – podkreślała „Wersow".

Po skończonym zabiegu influencerka pokazała efekty, nie kryjąc szczęścia. – Jestem bardzo szczęśliwa. Serio jestem przeszczęśliwa, że nie będę mieć już tych tatuaży, i mam nadzieję, że się to jak najlepiej zagoi i nie będzie po nich śladu – zaznaczyła gwiazda Internetu.

Celebrytka Marcela Leszczak, która zaistniała poprzez udział w programie „Top Model", również pokazała filmiki z zabiegu usuwania tatuażu za pomocą lasera. – Usuwam tatuaż. Nie chcę i już nie podobają mi się u mnie. Czy zrobiłabym drugi raz? Nie! Jedynie w przyszłości zrobię imiona dzieci – zapowiedziała.

Content w mediach społecznościowych z usuwania tatuaży to całe nowe zjawisko, w którego ramach nawiązywane są współprace barterowe z salonami zajmującymi się takimi zabiegami. „Dziar" pozbywają się gwiazdy i zwykłe dziewczyny, które dojrzewając, czują, że to błąd młodości. Wychodzą za mąż, podejmują poważną pracę, rodzą dzieci albo chcą ubierać się kobieco i z klasą. Tatuaże nie pasują do stylu życia dorosłej kobiety, a jednocześnie przestają być trendy. Internet opanowała moda na bycie „clean girl". W skrócie – delikatne fryzury, naturalny makijaż, ubrania w neutralnych kolorach. Zainteresowania? Pilates, spacery, zdrowe żywienie; zamiast całonocnych imprez – wieczór przy książce i osiem godzin snu, a zamiast tatuaży – wieloetapowa pielęgnacja cery. Natura jest w cenie.

Nie oznacza to, że tatuaże zupełnie znikają z mediów społecznościowych. Angelika Trochonowicz „Andziaks" i jej mąż Luka wytatuowali sobie na przedramionach imię córeczki. Z kolei tiktokerka Maria Starzyńska, miłośniczka tatuaży, kpi z osób, które dziś masowo poddają się zabiegowi ich usuwania. – „Żałuję, że zaczęłam sobie robić tatuaże, pojedźcie ze mną usunąć je wszystkie". To nie moje słowa. Dlaczego wszystkie influencerki usuwają tatuaże? Skąd to się bierze? Już wam mówię. Wiecie, dla kogo są tatuaże? Dla osób, które nie podążają za trendami. Jeśli twoje wszystkie tatuaże to jest tablica z Pinteresta [serwis z inspiracjami graficznymi – przyp. Z.D.P.], nie mają żadnego innego znaczenia, to wiadomo, że nie będziesz ich chciał lub będziesz ich żałował – ocenia. – Jeśli są w stylu, który jest dość charakterystyczny, jest twój, najprawdopodobniej będziesz je lubił do końca życia. Tatuaż to nie jest trend. A, no i nie chciałeś przepłacać, więc poszedłeś do najtańszego tatuatora w mieście w wieku 18 lat? To się zdarza, życie jest przewrotne […]. Czy 18 lat to dobry wiek na zrobienie pierwszych tatuaży? Nie – zaleca.

## KTO SIĘ DZIARA?

Z opublikowanych w 2022 r. przez CBOS badań wynika, że 10 proc. Polaków ma tatuaż (to wzrost w porównaniu z rokiem 2017, gdy posiadanie malunku na ciele deklarowało 8 proc. respondentów). Tatuaże posiadają częściej mężczyźni niż kobiety. Nieco ponad jedna trzecia naszego społeczeństwa nie poprzestaje na jednym wzorze i ma tatuaże w widocznych miejscach. „Dziary" są najpopularniejsze w grupie wiekowej 25–34 lata (16 proc.) oraz 35–44 lata (12 proc.). Okazuje się, że tatuaże nieco częściej niż inni mają badani z wykształceniem podstawowym i zasadniczym zawodowym [po 10 proc., osoby mieszkające w małych i średnich miastach (do 19 999 ludności – 9 proc., od 20 tys. do 100 tys. mieszkańców – 10 proc.)], a w grupach społeczno-zawodowych pracownicy usług (19 proc.), robotnicy wykwalifikowani (18 proc.) oraz bezrobotni (14 proc.). Rzadziej posiadaczami ozdób są osoby legitymujące się dyplomem wyższej uczelni (4 proc.), mieszkańcy największych aglomeracji (5 proc.), a spośród grup społeczno-zawodowych: rolnicy (wśród których nie znaleźliśmy ani jednego posiadacza tatuażu), kadra kierownicza i samodzielni specjaliści (1 proc.) oraz emeryci (3 proc.). CBOS opisuje, że posiadanie tatuaży różnicują także poglądy polityczne – nieco częściej tatuaże mają osoby o orientacji prawicowej (10 proc.) i centrowej (8 proc.) niż deklarujący się jako sympatycy lewicy (4 proc.).

**Content w mediach społecznościowych z usuwania tatuaży to całe nowe zjawisko**

Tematem społecznego postrzegania osób posiadających tatuaże zajmowała się wraz ze swoimi studentami dr Beata Rajba z Uniwersytetu Wrocławskiego. – Starszemu pokoleniu, tym tzw. boomersom, tatuaże kojarzą się przede wszystkim z subkulturą więzienną. Budzą nieufność. X, czyli pokolenie, które jest późniejsze, niekoniecznie lubi tatuaże. To bardzo widać w naszych badaniach, dlatego że okazuje się, iż mniej więcej do 40.– 45. roku życia ludzie uważają tatuaże za formę ekspresji. Powyżej uważają je za coś, co jest niemile widziane np. w środowisku pracy. Tatuaż symbolizuje w tej chwili przede wszystkim odwagę: odwagę bycia sobą, odwagę manifestowania siebie – podsumowała swoją pracę w wywiadzie dla TVN.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8

# Czas ołowiu





Piotr Gociek

**„Ołowiane dzieci" to nie jest serial zły. Ale nie jest także dobry. Do poprzeczki, którą Netflix postawił sobie „Heweliuszem", jest bardzo daleko**

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Receptura jest niby ta sama: bierzemy głośne wydarzenia z niedalekiej przeszłości, dodajemy trochę dramaturgii, w kadrze stawiamy na nostalgię, bo nic się dziś nie sprzedaje tak dobrze jak przeszłość – i ta z PRL, i ta z początków III RP. Jednak Jakub Korolczuk, który napisał „Ołowiane dzieci", to nie jest scenarzysta tak dobry jak Kacper Bajon, który napisał „Heweliusza". A wiem to nie tylko z najnowszej produkcji Netflixa, lecz także z niedawnej premiery HBO Max, czyli serialu „Niebo. Rok w piekle". Nie recenzowałem go na łamach „Do Rzeczy", ale ciekawych od razu poinformuję: tak, pasjonującą historię groźnej sekty też można rozpisać na głosy raczej drętwo. I zrobił to ten sam Jakub Korolczuk.

„Ołowiane dzieci", podobnie jak „Niebo", dotknięte są tymi samymi wadami materiału wyjściowego: ledwie poprawne dialogi, nadmiar ekspozycji i monotonia emocjonalna. Bohaterowie nie rozmawiają, lecz komunikują sobie treści. Powtarzają te komunikaty nieustannie, jakby była to telenowela. „Pani w sprawie dzieci z Targowiska"? „Tak, ja w sprawie dzieci z Targowiska". „Przyszła pani w sprawie dzieci z Targowiska, może wejść?". „Zapraszam, zapraszam. Jak rozumiem, pani w sprawie dzieci z Targowiska?".

## WYZWANIE OUTSIDERA

Oczywiście nie mam racji, bo rację mają widzowie. „Ołowiane dzieci" w dniu premiery (miniona środa) stały się najchętniej oglądaną pozycją w katalogu Netflixa. Kto wie, może są nią i w chwili, gdy czytacie te słowa. Wszystko się zatem zgadza, jest sukces i nie ma o czym gadać. A ja tu narzekam. Ech, może „Heweliusz" rozbudził we mnie zbyt wielkie nadzieje na lepsze czasy?

No dobrze, ale uporządkujmy. Sześcioodcinkowa opowieść przybliża prowadzoną w latach 70. XX w. przez dr Jolantę Wadowską-Król walkę o zdrowie mieszkańców najbliższych okolic Huty Szopienice. Huta truła, dzieci chorowały i umierały, niejedno do dziś zmaga się ze skutkami skażenia. Sami mówią na siebie „ołowiane dzieci". Zwrot ten jest nie tylko tytułem serialu, lecz także książki Michała Jędryki wydanej w 2020 r. przez Krytykę Polityczną. „Huta kształtowała życie wielu pokoleń mieszkańców i ich rodzin, będąc jednocześnie ich matką żywicielką i matką trucicielką. Pracowali w niej całe życie mój dziadek, matka, ciotki Kasia i Hela i wiele innych bliskich mi osób" – pisał Jędryka. On także jest „ołowianym dzieckiem".

U Jędryki rekonstrukcja wydarzeń służyła nie tylko przypomnieniu „zapomnianej epidemii" (tak brzmiał podtytuł książki), lecz także postawieniu pytań o daleko idące społeczne skutki tych wydarzeń. Twórców serialu zainteresowało przede wszystkim to, co łatwo sprzedać na ekranie: historia dzielnej pani doktor, która najpierw odkrywa prawdę, a potem w imię dzieci i matek podejmuje bój z biurokracją, dyrekcją huty, partyjnymi działaczami, a nawet Służbą Bezpieczeństwa. W roli głównej obsadzono Joannę Kulig – i już, gotowe, mamy swoją Erin Brockovich. Mamy opowieść, w jakich lubuje się Hollywood: uparty outsider w imię zasad rzuca wyzwanie potęgom. I wygrywa.

Wrócę do książki Jędryki, który ironicznie podsumowuje swą opowieść tak: „Ktoś powie, że przecież nie było żadnej zagadki. Dawno, dawno temu dzieci mieszkające pod hutą miały przekro-



eprasa.pl d705243ad8



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

czone normy metali ciężkich we krwi, trzeba je było odtruć, pojechały w tym celu najpierw do szpitala na chelatację, a potem do sanatorium w góry, gdzie jest czyste powietrze.

Niektórzy rodzice tych dzieci dostali od huty nowe mieszkania. Większość nie żyje. Ot i koniec całej historii".

Wiemy, że autor szydzi, wiemy, że sprawa cholernie poważna, że jest o czym deliberować. A jednocześnie jest, moim zdaniem, powyższy akapit proroczym podsumowaniem kłopotu z serialem „Ołowiane dzieci". Jędryka trafnie streścił całą historię. Gdzie tu zagadka? Jak teraz zrobić z tego sześć emocjonujących odcinków? Na tym wyłożyli się Pieprzyca i Korolczuk. Ta historia jest nadmiernie rozciągnięta, a żeby wypełnić sześć godzin, zbudowano ją w większości z powtórzeń niczym telenowelę, w której nieustannie Carlos powtarza Julii, co zrobił Juan, a potem Julia powtarza Margaricie, co Carlos jej o Juanie opowiedział. I Joanna Kulig wciąż tak samo ma usteczka zaciśnięte. I zły esbek (który niby jest też trochę dobrym esbekiem, a gra go Michał Żurawski) nieustannie groźnie marszczy brwi, a towarzysz Zdzisław Grudzień, katowicki pierwszy sekretarz PZPR grany przez Zbigniewa Zamachowskiego, denerwuje się wciąż tak samo.

I nudne jest to wszystko, po prostu zwyczajnie nudne, i wypada zapytać, jak porusza, kiedy nie porusza. To znaczy nie porusza mnie, bo widać jestem okrutnikiem bez serca. Bo chce mi się cynicznie przypomnieć słynny cytat z piosenki „Telewizja" Salonu Niezależnych: „Świeże groby zawsze wzruszą". Bo widzicie, zastawiono na nas w „Ołowianych dzieciach" pułapkę emocjonalną – tylko drań bez serca mógłby nie wzruszyć się, gdy chodzi o dzieci, prawda? I tylko zimny drań mógłby patrzeć bez emocji na wysiłki „pani doktórki". Więc oglądamy i wzruszamy się, i mamy hit Netflixa.

## WIELKIE KŁAMSTWA I HIPOKRYZJA

Jest w tej historii materiał na świetny film. Na porywający dramat: dwie, może nawet dwie i pół godziny, nie trzeba nawet Kena Loacha, by go nakręcił. Pewnie dałby radę nasz Piotr Domalewski. Dostaliśmy jednak serial na gorący temat, ale w temperaturze letniej.

Nie dowożą też Pieprzyca i Korolczuk traktatu o szczególnym momencie historii PRL, którym była połowa lat 70. Nie dostarczają głębszej refleksji na temat natury systemu. Owszem, dużo mówi się o komunizmie, o tym, że na Śląsk przyjechać ma towarzysz Leonid Breżniew i że herezją jest sugerowanie, że cokolwiek mogłoby iść źle w czerwonym raju, zwłaszcza w tej części raju, która jest wizytówką industrializacji i nowoczesności. Jednak te dwie części – wielka historia i małe ludzkie historie – nie składają się w jedność.

Historie takie jak w Szopienicach wydarzały się i w innych krajach, gdzie w rozmaitych miejscach nie brakło ani trujących, ani zatruwanych, nie można więc postawić tezy o wyjątkowości gehenny śląskich dzieci. Ale na jedną rzecz trzeba zwrócić uwagę koniecznie: na hipokryzję. PRL był bowiem krainą wielkiego kłamstwa i hipokryzji. Nie tylko robotników i chłopów wyzyskiwał (a czasem do nich strzelał), lecz także jeszcze wmawiał im, że to wszystko dla ich dobra, iż jest ich ojczyzną, że właściwie tylko po to został zbudowany, by wyzwolić lud pracujący miast i wsi. Demaskują tę hipokryzję fragmenty kronik, którymi otwierane są poszczególne odcinki „Ołowianych dzieci". Ale nie wskazano kwestii kluczowej, podniesienie ręki na hutę to była wielka herezja nie dlatego, że zakłócało spokój decydentów, ale dlatego, że było to uderzenie w fundament komunizmu. Nowej świeckiej religii, której ważne artykuły wiary mówiły, że lepszy świat zbudowany zostanie węglem i stalą poprzez industrializację.

Irytujący jest z kolei inny trop, że może to wszystko było złem patriarchatu. Gdyż – jak wiadomo – współczesne dzieło filmowe lub serialowe bez jego krytyki obejść się nie może. „Opowiadamy o świecie mocno patriarchalnym – faceci pracują, kobiety zostają w domu" – mówi Joanna Kulig w wywiadzie dla magazynu „GQ". W pierwszych pięciu minutach pierwszego odcinka mamy takie oto sceny: jeszcze przed tytułowymi napisami sadysta ze Służby Bezpieczeństwa z lubieżnym uśmiechem na ustach celuje do „pani doktórki" z pistoletu i każe klękać. Zaś chwilę po napisach tytułowych bohaterka pokazuje, czym różni się kobieca odwaga od męskiego tumiwisizmu: jej nie jest wszystko jedno i będzie walczyć. W odróżnieniu od męża, który – jak mówi – dałby się trochę oszukać, gdyby miało mu to przynieść święty spokój.

Kobiety w PRL – nasze matki, babcie, ciotki, kuzynki – nie miały łatwo nie dlatego, że żyły w kraju, w którym mężczyźni nienawidzą kobiety, ale dlatego, że, cytując Stefana Kisielewskiego, „socjalizm jest to ustrój, w którym bohatersko pokonuje się trudności nieznane w żadnym innym ustroju". A one musiały z tymi trudnościami walczyć – fakt, że często dużo bardziej niż faceci.




**„OŁOWIANE DZIECI"**
**POLSKA**
**2026**

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8



Kolędy z rodziną Pospieszalskich w TVP (2006) FOT. JAN BOGACZ/TVP/PAP



**Z Marcelem Woźniakiem, autorem książki „Pospieszalscy. Rodzina”**

*rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert*

# Orkiestra Pospieszalskich

**TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Sióstr i braci Pospieszalskich urodziło się o troje mniej, niż było w planie?**

**MARCEL WOŹNIAK:** Miało być ich 12, niczym apostołów. Tak planowali rodzice, Stanisław i Donata, ale życie napisało inny scenariusz.

**Rodzeństwo ujrzało świat w Częstochowie, lecz kolebka klanu znajdowała się gdzie indziej?**

Ród Pospieszalskich pochodzi ze Środy Wielkopolskiej. Mateusz Pospieszalski, rocznik 1778, wziął za żonę równolatkę, Wiktorię Sybilską. Ich syn, Szymon Pospieszalski, rocznik 1811, również poślubił równolatkę: Franciszkę Bartoszkiewicz. Szymon był właścicielem gruntów przy rynku w Środzie, których ze względów patriotycznych nie chciał sprzedać niemieckiemu bankowi. Owocem związku Szymona i Frani był m.in. Nikodem Pospieszalski, rocznik 1843, budowniczy. Jego małżonka, Łucja z Mizgalskich, powiła mu syna, nazywanego potem „dziadzią Marianem”.

**Ponoć w żyłach bohaterów książki płynie domieszka krwi niemieckiej.**

Zaczęło się od wyjazdu Mariana do Berlina, gdzie ukończył architekturę. Nie mógł pracować na terenie Wielkopolski, więc pozostał w Niemczech. Kursując promem na wyspę Borkum, dostrzegł piękną, wysoką blondynkę, Helene Meiners. Szybko się pobrali. Marian jeździł do Środy Wielkopolskiej przez lata, nie wspominając, że ma już i żonę, i dzieci. Bał się, co rodzice powiedzą na związek z Niemką. Niemiecka rodzina z Lingen też nie pozostawała w tym względzie dłużna. Kiedy Nikodem się o ożenku syna dowiedział, pojechał do niego i niedługo potem Helene, z czworgiem dzieci, a piątym dzieckiem w brzuchu, zjawiła się na progu Starej Chaty – jak mówili na rodzinny dom w Środzie Wielkopolskiej. A Łucja ją przytuliła i zaprosiła do środka. Wtedy u Pospieszalskich było ponad 10 polsko-niemieckich małżeństw.

**Jeden z antenatów trafił do... komiksu.**

Ojciec dziewięciorga rodzeństwa Pospieszalskich, Stanisław, przyszedł na świat w Berlinie. Podobnie jego starsi bracia: Karol Marian i Antoni. Ten ostatni został cichociemnym. Zgłosił się ochotniczo do działalności konspiracyjnej w Polsce, został przeszkolony w łączności oraz dywersji i od 12 stycznia 1942 r. był instruktorem cichociemnych na Zachodzie, m.in. w obszarze radiotelegrafii w Audley End. W tym czasie ożenił się z Sheeną Currie. To stąd wziął się jego pseudonim, Anthony Currie. Pod koniec 1944 r. uczestniczył w alianckiej operacji „Freston”: Brytyjczycy wylądowali w okolicach Częstochowy i Radomska, żeby nawiązać kontakt z Armią Krajową. Miał zaszczyt być ostatnim z 313 cichociemnych zrzuconych na terenie Polski. Po latach pytany o tę akcję na antenie Radia Wolna Europa przyznał ze smutkiem, że misja nie spełniła pokładanych w niej nadziei, ponieważ „Anglicy byli zapatrzeni w wielkiego wschodniego alianta, w wielkiego Stalina. Nawet moi kompani. Nie dawali się przekonać. Zmienili zdanie dopiero w sowieckim więzieniu”. Po drugiej wojnie światowej Polskę odwiedził dopiero w latach 50., z oficjalną wizytą służbową – inaczej nie mógłby przyjechać. Z czasem podjął pracę dziennikarską w sekcji polskiej BBC, pisywał do paryskiej „Kultury”. A niedawno Instytut Pamięci Narodowej wydał komiks poświęcony operacji „Freston”.

**Wielodzietne rodziny mogły liczyć w PRL na jakieś preferencje?**

Nie mieli lekko. Mieszkali na plebanii przy parafii św. Barbary w Częstochowie. Ratowały ich posiłki od zakonnic, ubrania z darów. Mama Donata zarobkowała, malując obrazy Matki Boskiej, gdzieś pomiędzy odchowywaniem dziewięciorga dzieci.



eprasa.pl d705243ad8




**MARCEL WOŹNIAK „POSPIESZALSCY. RODZINA" MARGINESY 2025**

Ojciec, Stanisław, remontował i przerabiał kościoły, dostając w ramach zarobku najczęściej bilon z tacy albo… szynkę. Mogę na to pytanie odpowiedzieć anegdotą: kiedy średni z braci, Paweł, poszedł do liceum muzycznego i złożył podanie o pokój w internacie, nie uwierzono w jego zaświadczenie o zarobkach ojca. Wątpiono, że za tak nędzne pieniądze da się utrzymać tak dużą rodzinę...

**Skąd w opisanych biografiach wzięły się nuty?**

W mieszczańskim domu Pospieszalskich zawsze były jakieś skrzypki, pianino i muzykowanie. Mama, Donata, odebrała podstawową edukację muzyczną na fortepianie, a bliska ciocia, Zosia, była żoną dyrektora częstochowskiej szkoły muzycznej. Chłopcy poznali także podstawy muzyki w kościele, śpiewając w chórze. Kiedy Janek, zafascynowany Jimim Hendrixem i The Beatles, przyniósł do domu gitarę, po chwilowej dezaprobacie ze strony ojca bracia zaczęli sobie chałupniczo muzykować. Ich pasji do grania nie dało się powstrzymać, więc Stanisław, po naradzie z ciocią Zosią, posłał wszystkich kolejno do szkoły muzycznej.

**Polska poznała ród za pośrednictwem ekranu?**

Zaczynali jako dziecięcy zespół Niedzielna Szkółka Ojca Stanisława, grając szlagiery Rolling Stonesów na studenckich imprezach. Niebawem stali się bohaterami audycji radiowej „Kłopoty z dziewiątką", autorstwa Marii Rosy Krzyżanowskiej, która odwiedziła ich w domu. Kiedy o koncertujących dzieciach zrobiło się głośno, przyjechała Bożena Walter i pokazała rodzinę w telewizji. Pojawili się w Studiu 2. Dziwili się, skąd tłum widzów wokół Andrzeja Kopiczyńskiego z serialu „Czterdziestolatek", bo nie mieli w domu telewizora i nie wiedzieli, że cieszący się wielką popularnością serial ma zawsze premierę w sobotnim Studiu 2. Na przełomie lat 1974 i 1975 zagrali na antenie Telewizji Polskiej koncert sylwestrowy. Proszę sobie tylko wyobrazić – Mateusz miał dziewięć lat, Marcin jedenaście… W efekcie trafili na Ogólnopolskie Spotkania Muzykujących Rodzin we Wrocławiu, a wkrótce wszyscy zostali profesjonalnymi muzykami.

**I koncertowali z gwiazdami ówczesnej estrady…**

Na wrocławskich festiwalach śpiewała z nimi między innymi… Krystyna Prońko! Tam poznali też rodzinę Steczkowskich. Też dziewięcioro dzieci, ale sześć sióstr i trzech braci, odwrotnie niż u Pospieszalskich.

**Jasna Góra rzutowała jakoś na ich życiorysy?**

Po wysiedleniu z Wielkopolski jesienią 1939 r. osiedli w Częstochowie. To był przypadek. Znaleźli tam opiekę sióstr zakonnych, u których kształciła się nastoletnia Donata Król. Jej nauczycielem był osiem lat starszy Stanisław Pospieszalski, zakochali się w sobie, założyli rodzinę. Życie w cieniu Jasnej Góry, cudowne źródełko św. Barbary za oknem, lecz także… Msze bigbitowe na Jasnej Górze – wszystko to złożyło się na ich egzystencję, konstrukcję intelektualną, moralną, ale i muzykę. Zupełnym zbiegiem okoliczności w Częstochowie mieszkała, również wywodząca się z Wielkopolski, ciocia Zosia, wspierająca klan w edukacji muzycznej. Ale czy był to ślepy traf? Nie sądzę! Dorastanie w otoczeniu takiej formacji intelektualnej jak jasnogórska, w otoczeniu sztuki sakralnej, wychowywanie się w budynku popaulińskiego nowicjatu z 1638 r., rodzice artyści, gwieździste sklepienie nad sufitem, gotyckie freski na ścianach… Za dużo przypadków, żeby nie powstało z tego coś wyjątkowego!

**Dlaczego i kiedy rodzeństwo rozjechało się po kuli ziemskiej?**

Paweł siedział w szkolnej ławce ze Stanisławem Sojką. Koncertowali potem w big-bandzie, do momentu wyjazdu Pawła z zespołem Ireny Jarockiej, którą zastąpiła Zdzisława Sośnicka, do USA. Tam się osiedlił. Janek zaraz po ukończeniu liceum muzycznego dostał angaż do Czerwonych Gitar. Zjechał z tą grupą pół świata, od Rostowa nad Donem po Kubę i Amerykę, poprzez którą podążali wraz z Ireną Santor i Jackiem Fedorowiczem. Potem akompaniował – ze Zbigniewem Wodeckim – duetowi fortepianowemu Marek i Wacek. Marcin zagrał tysiące koncertów z duetem Sojka & Yanina oraz Michałem Urbaniakiem, także w USA. Mateusz, już będąc nastolatkiem, objeżdżał Europę z formacją Tie Break, a Finlandię zwiedził z Maanamem. Najstarszy z braci, Antek, wyjechał przez Włochy do USA. Joanna – do Francji, Ela – via Austria – do Australii. W Polsce pozostali: Janek, Karol, Tereska, Marcin i Mateusz.

**Co wpisują w rubrykę „zawód"?**

Antek i Joanna są artystami plastykami, ona studiowała także psychologię. Karol para się rękodziełem artystycznym, ale jest też kapelmistrzem. Ela, dyplomowana pielęgniarka, wyszywa obrazy. Niepełnosprawna Tereska pisze wiersze. Paweł pracuje za kierownicą trucka. Janek to dziennikarz i publicysta. Marcin i Mateusz są multiinstrumentalistami oraz kompozytorami. Lista ich działalności wykracza poza objętość tego woluminu. Bo Pospieszalscy nie mieszczą się w rubryczkach.

**Kolejna generacja rodziny także muzykuje?**

Niemal wszyscy. Dzieci Eli, z których część żyje w Australii, a część w Niemczech, poszły w kierunki ścisłe – medycyna, informatyka, ale i prawo. Syn Antka, Gabriel, chociaż wychowany za Atlantykiem, postanowił podjąć studia muzyczne w Rzymie. Jedna z córek Joanny maluje. Córki Pawła mają za sobą podstawową edukację muzyczną. Natomiast dzieci Janka, Karola, Marcina i Mateusza, odpowiednio: Franek i Basia, Paulina i Szczepan, Mikołaj i Nikodem, oraz Łukasz i Marek-Maju, ukończyły akademie muzyczne. Marek to topowy saksofonista w Europie. Łukasz jest kierownikiem artystycznym koncertów finałowych na PPA we Wrocławiu, Mikołaj produkuje płyty Dagadany, Szczepan z Łukaszem i Nikodemem mają swoje trio elektroniczne Santa Barbara, a Franek i Basia swoje składy, z którymi nagrywają płyty, Paulina również nagrała ostatnio swój drugi krążek. Piszą swoją historię, a i ich dzieci już się kształcą muzycznie – Stefcia od Łukasza czy Staś od Franka. O Pospieszalskich jeszcze będzie głośno. Wszystkich można zobaczyć i usłyszeć podczas koncertów rodzinnego zespołu, na które serdecznie zapraszam.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

***Marcel Woźniak*** *– pisarz, scenarzysta, dziennikarz. Absolwent polonistyki na UMK. Biograf Leopolda Tyrmanda, autor tryptyku kryminalnego: „Powtórka", „Mgnienie", „Otchłań" oraz inspirowanych faktami powieści: „Egzekutor" i „Rzeźnik z Lyonu".*



eprasa.pl d705243ad8



FOT. NATALIA KABANOW

# Dziwny przypadek Beniamina M. Bukowskiego



*Grzegorz Kondrasiuk*

Próbuję sobie przypomnieć, kiedy ostatnio w teatrze zaciekawili mnie nie tylko aktorzy czy inscenizacja, lecz także dramat. Nie scenariusz, oparty np. na jakimś klasyku, nie adaptacja prozy albo literatury faktu (najczęściej i najgorzej), ale dramat właśnie, i to współczesny. Rzeczywistość wdarła się na scenę i już jej nie chce opuścić. Ludzie teatru lubią twierdzić, że mogą się obyć bez dramatu, bez zapośredniczenia dzieła skonstruowanego z pełnokrwistych postaci, z relacji między nimi w ramach wykreowanego świata. Widzę w tym raczej efekt ich skłonności autodestrukcyjnych i zakłóconego postrzegania świata. Jednak sądząc po obserwowanych tu i ówdzie reakcjach, osoby chodzące do teatru wciąż potrzebują fikcji i postaci teatralnych, psychologii, prawdopodobieństwa itd.

Tymczasem mamy tego Beniamina M. Bukowskiego. Potrafi on opisać świat i ludzi w nim. I cóż z tego, że świat w jego dramatach jest jak niezagojona rana, a szczęścia tu ani na lekarstwo. To dramaturg, którego interesują stany graniczne, nie dla efektu, ale potraktowane jako zadania poznawcze. W sztuce „Opętana" rzeczywistość obraca się wokół przykutej do łóżka starej kobiety, Ewy, w stanie pogłębiającej się demencji, która zabrała jej zdolność odróżniania fantazji od rzeczywistości. Jej mały świat wykreślany jest przez córkę Adę, sąsiadkę opiekunkę Jolę, wnuczka Dominika. Został pokazany bez odrobiny sentymentalizmu, blisko życia, które jest nie do zniesienia, o czym wie każdy, kto uczestniczył w tego rodzaju sytuacjach. Do tego los narcystycznie zaburzonej Ewy nie przebiegł w dobrym kierunku, krzywdziła córkę, która traktuje ją właściwie z odrazą. Staruszka żyje w piekle, somatycznym i psychicznym, rozpamiętując wszystkie doznane krzywdy. Przebywa na granicy światów, wzywa diabła i go spotyka. Zaświaty są tu obecne w sposób fizyczny, dotykalny, a nie retoryczny, diabeł jest powiernikiem, jedynym przyjacielem, pożądanym kochankiem. Najwidoczniej u Bukowskiego świat nie jest wciąż odczarowany, wierzy on w realność wpływu zaświatów na nasze życie w każdym możliwym, pozytywnym i negatywnym sensie.

Osobną sprawą jest bydgoski Teatr Polski, którego Bukowski jest dyrektorem. Wcześniej był (w wieku 30 lat, za wcześnie) dyrektorem artystycznym niesterowalnego kombinatu, Narodowego Starego Teatru, i to chyba nie było to rozwiązanie najszczęśliwsze dla wszystkich. Tymczasem mniejszy teatr, o doskonałym, zgranym i zaprawionym w bojach zespole, jest jakby stworzony dla jego pracy artystycznej. Zaświadcza o tym właśnie „Opętana", gdzie nie ma głównych ról, jest za to granie na wyciągnięcie ręki, zniuansowane i pełne determinacji. W tekście korzystającym z trybów naturalistycznego i surrealistycznego, do tego w zmiennych proporcjach, jest to trudne do wiarygodnego przeprowadzenia. Łatwo jest przekroczyć granicę i wejść w oparte na aktorskim warsztacie komiksowe przerysowanie, po prostu w kiepski kabaret. Kluczem jest wrażliwość, empatia w stosunku do swoich postaci. Tu każdy ma swoją opowieść, swoje prawo do tragizmu, taka to wersja humanizmu uprawianego w świecie, gdzie nikt już chyba w humanizm nie wierzy. Każda rola tu jest dotykalna, a więc stanowi prawdziwe dzieło sztuki: Ewa (Małgorzata Trofimiuk), pogubiona, samotna, miotana nienawiścią i miłością córka (Dagmara Mrowiec-Matuszak), religijna opiekunka na granicy dewocji (Emilia Piech), kochający babcię wnuczek (Karol Franek Nowiński), psychoterapeutka, sama potrzebująca wsparcia (Katarzyna Pawłowska), wreszcie – demoniczna tajemnica (Adam Graczyk).

Do tego wszystkiego dochodzi czujna reżyseria. I znów to nietypowy przypadek dramaturga, który wystawia własne teksty i nie kończy się to egotyczną katastrofą. Najwidoczniej Bukowski umie skreślać, wyciągać esencję, panuje nad rytmami i niedopowiedzeniami. Do tego nie moralizuje, nie oskarża nikogo, czym się wyróżnia na naszym zideologizowanym bezrybiu. Po trzech dekadach uprawiania w tę i z powrotem teatru krytycznego ideologii mamy na scenach na tony, ale są to raczej tony makulatury teatralnej. A przecież człowiek w swoich komplikacjach (czemu w ogóle muszę przypominać o takich oczywistościach?) jest ciekawszy od ideologii. Dobry teatr, który polega na niemożliwości uzgodnienia perspektyw, oznacza wpięcie się do energii teatralnej starej jak świat – konfliktu tragicznego. Cóż, coraz mniej mamy twórców, którzy to umieją, przynajmniej na przyzwoitym poziomie. Bukowski robi to na poziomie dobrym, jeśli nie wykwintnym. ©℗

**TEATR POLSKI W BYDGOSZCZY, „OPĘTANA"**
**SCENARIUSZ, REŻYSERIA, MUZYKA: BENIAMIN M. BUKOWSKI**
**PREMIERA: 12 WRZEŚNIA 2025 R.**
**SPEKTAKL W RAMACH PROGRAMU „DRAMATOPISANIE". POKAZ NA FESTIWALU PRAPREMIER W BYDGOSZCZY, W EDYCJI „WSZYSTKO CO LUDZKIE", 14 LISTOPADA 2025 R.**



eprasa.pl d705243ad8



## Fundusze Europejskie

# na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko

**„Rozbudowa i modernizacja budynku Muzeum Rzeźby Współczesnej wraz z zagospodarowaniem terenu w ramach rewitalizacji społecznej Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku nr FENX.07.01-IP.04-0001/24" w ramach działania FENX.07.01 Infrastruktura kultury i turystyki kulturowej priorytet FENX.07.01 Kultura Programu Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko 2021-2027.**

Wysokość dofinansowania z EFRR wynosi 36 056 923,29 zł

Całkowita wartość projektu to 55 427 798,45 zł

**#FunduszeUE #FunduszeEuropejskie**

Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat, Środowisko

Rzeczpospolita Polska

Dofinansowane przez Unię Europejską

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl d705243ad8



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

# Goście od rozwałki




★★★★★★

**REŻ. ÁNGEL MANUEL SOTO „EKIPA WYBURZENIOWA” („THE WRECKING CREW”)**
**USA 2026**

wyst. Dave Bautista, Jason Momoa

Duch „Zabójczej broni” unosi się nad „Ekipą wyburzeniową”, bo to rozrywka wedle wzorców, które rządziły komediami akcji lat 80. i 90. Dwóch niedobranych gliniarzy, zdecydowanie przesadne, ale brawurowo zrealizowane sceny akcji, błyskotliwe dialogi plus humor. Formułę tę do perfekcji doprowadził Shane Black nie tylko serią „Zabójcza broń”, lecz także takimi filmami, jak „Kiss Kiss Bang Bang” czy „The Nice Guys”.

W filmie Soto tym stukniętym, zapijaczonym i nieco szalonym gliniarzem jest Jason Momoa, a za gościa nudnego, zasadniczego i rodzinnego robi Dave Bautista. Panowie są braćmi przyrodnimi, a akcję uruchamia tajemnicza śmierć ich ojca, detektywa o podejrzanej reputacji.

Trzeba zatem będzie pięścią, pistoletem oraz sprytem i uporem przebijać się przez półświatek Hawajów, by odkryć, kto i za czym stoi. Hawaje wyglądają pięknie, panowie mają charyzmę oraz vis comica, na drugim planie też dostają wsparcie. Pojawiają się bowiem na ekranie Morena Baccarin, Frankie Adams (sierżant Bobbie Draper z serialu „The Expanse”) czy Claes Bang, duński towar eksportowy powodzeniem dzielący czas między kino ambitniejsze („The Square” Rubena Östlunda) i komercyjne („Dracula”). Zabawny jest Stephen Root jako wiecznie niezadowolony kapitan policji.

W przypadku takich produkcji ważniejsze od rozwiązania zagadki są relacje między głównymi bohaterami, którzy ścierają się nieustannie, by ostatecznie stać się sojusznikami. W przypadku twardzieli granych przez Momoę i Bautistę kluczem do naprawy fatalnych stosunków rodzinnych okaże się przepracowanie traumy z dzieciństwa. W powietrze wylecieć musi odpowiednia liczba samochodów, trup pada gęsto, a główny łotr musi, rzecz jasna, mieszkać w odpowiednio pięknej rezydencji i być odpowiednio łotrowski. Wspomnijcie „Gliniarza z Beverly Hills”, wspomnijcie „Godziny szczytu” – to właśnie rejony, w których lokować należy „Ekipę wyburzeniową”.

Polski przekład tytułu tej produkcji woła o pomstę do nieba: „The Wrecking Crew” przełożono tępo na „Ekipa wyburzeniowa” (czyżby dzieło AI?), podczas gdy powinno być to coś w stylu „Goście od rozwałki”. Nieważne, grunt, że jest zabawa w starym dobrym stylu. Ciąg dalszy wydaje się nieunikniony. ©℗

**GRA TYGODNIA: „NIOH 3”**

Klimat feudalnej Japonii w połączeniu z elementami fantasy sprawia, że otwarty (pierwszy raz w historii serii) świat chce się poznawać. Ale nie po to sięga się po gry soulslike, tu przychodzi się po to, by walczyć do ostatniej kropli krwi. A system walki jest w tej grze zrobiony bardzo dobrze. Mamy do dyspozycji dwa style walki – samurajski i ninja – i sporą pulę typów broni. To plus fakt, że między stylami przełączamy się swobodnie jednym przyciskiem, sprawia, iż czujemy dużą swobodę. Miłośnicy wymagających pojedynków będą zadowoleni. ©℗




FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *RPG, soulslike, TPP*
- ***Platforma:*** *PS5, PC*
- ***Producent, wydawca:*** *Team Ninja, Koei Tecmo*



eprasa.pl d705243ad8

# Czas motyli

VOD MDAGPL




★★★☆☆☆

**REŻ. ANDREI UJICĂ**
**„TWST. THINGS WE SAID TODAY"**
**RUMUNIA/FRANCJA 2024**

Beatlemania story – ile to już lat? Sześdziesiąt jeden, licząc od koncertu na nowojorskim Shea Stadium. Nie był to debiut Paula, George'a i Ringo za Wielką Wodą, lecz tym razem podejmowano ich po królewsku. Muzyka zeszła na dalszy plan, przesłoniły ją emocje. Na lotnisku i pod stadionem miały miejsce seanse zbiorowej histerii, nastoletnie panny opowiadały, że Beatlesi „są jak bogowie". Jeszcze bardziej surrealistyczna była konferencja prasowa, podczas której żaden z żurnalistów nie potrafił zadać sensownego pytania. Fan(k)om rosły skrzydła, rodzice załamywali ręce, policja miała pełne ręce roboty.

Rumun Andrei Ujică wykorzystał archiwalne, w większości czarno-białe filmiki, by przypomnieć, czym w sierpniu 1965 r. żyli jego rówieśnicy dorastający w krajach, które jako pierwsze zajęły się ogniem kontrkultury i obyczajowej rewolucji. Obrazki kanikuły przeplatają się z reportażem o pirackiej rozgłośni Radio Caroline tudzież wspomnieniem wystawy światowej, gdzie symbolem nowych czasów była gigantyczna Unisfera, a reliktem przeszłości „Pietà". Rzeźba Michała Anioła pierwszy (i ostatni raz) opuściła wtedy Watykan. Za cztery lata ludzie wylądują na Księżycu. Świat był piękny i pełen obietnic.

Niestety, występ czwórki z Liverpoolu, jakkolwiek historyczny, jest tu tylko przynętą. Autorów „TWST" w gruncie rzeczy bardziej interesują rozruchy na tle rasowym w Kalifornii (zawinione jakoby przez białych policjantów), ciężka dola mieszkańców Harlemu oraz twist, który okazał się niczym więcej niż chwilową modą. Cóż, każdy rekonstruktor ma prawo do własnej wizji. Ujică skorzystał z niej, wklejając do filmu własny utwór „Przyjaciółka motyli". Najmniej udali mu się narratorzy: Geoffrey O'Brien, młody obibok symulujący pisanie powieści, i rozbrajająco naiwna Judith Kristen.

Czy grozi nam kolejna fala nostalgii za latami 60.? Szczerze wątpię. Poprzednią po części sprokurowała generacja niegdysiejszych buntowników, która obrosła w piórka i mogła sponsorować budowę legendy epoki flower power. Dziś większość z nich wącha kwiatki od spodu. Padające z ekranu słowa: „Jesteśmy jednym społeczeństwem" są zaś nadal tylko pobożnym życzeniem. ©℗

***Wiesław Chełminiak***

## URATUJ MNIE!

Historia Palestyńczyków zbliża się do końca. Pozostanie po nich kilka godnych uwagi filmów: antologia „Strefa Zero", dokument „Nie chcemy innej ziemi" czy fabularny „Paradise Now". Do tegorocznych Oscarów kandydują trzy produkcje poświęcone bliskowschodniej tragedii. „Głos Hind Rajab" jest najmocniejszy. Sześcioletnia dziewczynka, która miała pecha urodzić się w Gazie, czeka na pomoc we wraku samochodu pełnym trupów. Karetka Czerwonego Półksiężyca mogłaby dotrzeć do niej w osiem minut, ale ratownicy (jeśli im życie miłe) muszą najpierw uzyskać zgodę na wjazd do „strefy zamkniętej". Momentami teatralno-paradokumentalna formuła razi, a aktorstwo kuleje. Amerykańska Akademia Filmowa ma zatem powód, by nagrodzić kogoś innego. A za rok, dwa lata statuetkę otrzyma produkcja o gehennie izraelskich zakładników. ©℗




KINO

★★★★★☆

**REŻ. KAOUTHER BEN HANIA**
**„GŁOS HIND RAJAB" („SAWT HIND RAJAB")**
**FRANCJA/TUNEZJA 2025**

wyst. Clara Khoury, Saja Kilani, Motaz Malhees



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

# Światło Gdyni

Muzeum Miasta Gdyni posiada ponad 700 negatywów i ponad 400 odbitek pozytywowych autorstwa Edmunda Zdanowskiego. Bohaterką większości z nich jest Gdynia w pierwszym dwudziestoleciu po drugiej wojnie światowej. To wybrane kadry miasta i portu zatrzymane przez Edmunda Zdanowskiego i jego żonę Bolesławę składają się na wystawę „Światło Gdyni", którą przygotowano z okazji obchodów 100. rocznicy nadania Gdyni praw miejskich.

Edmund Zdanowski urodził się i wychował w Wilnie. Fotograficznego rzemiosła uczył się od Jana Bułhaka, w którego zakładzie pracował i terminował. Bułhak, zwany „ojcem" polskiej fotografiki ojczystej, miał duży wpływ także na twórczość Bolesławy, bo należeli oni z Edmundem do kierowanego przez Bułhaka niego Fotoklubu Wileńskiego.



FOT. MACIEJ CZARNIAK/TRÓJMIASTO.PL

Zakład fotograficzny Zdanowskich, który prowadzili od 1934 r., został spalony w roku 1944 podczas walk o miasto. Edmund wstąpił do wojska, gdzie pracował w Wytwórni Filmowej I Armii Wojska Polskiego. Po wojnie fotograficy związali się z Gdynią. ©℗

**GDZIE?** Muzeum Miasta Gdyni **KIEDY?** do 10 stycznia 2027 r.



eprasa.pl d705243ad8

MOJA PÓŁKA

# Warszawa ma swą prawą stronę



KRZYSZTOF MASŁOŃ

Ma ta powieść, jak przystało na gatunek, który reprezentuje, swoich bohaterów w osobach a to prokuratora, a to komisarza policji. Przed oczami czytelnika przesuwa się też wiele innych postaci mających związek z toczącym się śledztwem, w którym odnotowujemy kradzież, całą masę napadów, a także podwójne morderstwo.

Prawdziwym bohaterem książki Jana Wernika jest jednak dom stojący na warszawskiej Pradze, u zbiegu ulic Okrzei i Sierakowskiego. Ta zbudowana w latach 60. XIX stulecia kamienica miała bogatą historię; zmieniała adresy, właścicieli i lokatorów. Mieściła biura fabryki odlewów żelaznych, rzeźnię, a nawet I Gimnazjum Praskie, które wyewoluowało później w sławne do dziś Liceum im. króla Władysława IV, w którym to gimnazjum zdobywali wiedzę przed laty m.in. August Zaleski, przedwojenny minister spraw zagranicznych, a później prezydent RP na uchodźstwie, malarz Konstanty Brandel czy Henryk Goldszmit, znany jako Janusz Korczak. A kamienicę zbudowano dla przemysłowca Karola Juliusza Mintera według projektu Józefa Orłowskiego, współtwórcy m.in. Nowej Pomarańczarni w Łazienkach, Pałacyku Biernackich i Szpitala św. Ducha przy Elektoralnej.

Do lektury książki zachęcić ma czytelnika zapowiedziana już w jej tytule tajemnica. I rzeczywiście, już na początku tej dziejącej się w dwóch planach czasowych, bo na przełomie lat 20. i 30. XX w. oraz w roku 1958, dowiadujemy się o znalezionych w piwnicy praskiej kamienicy ludzkich kościach. Taki fakt, istotnie, zdarzył się w roku 1932, o czym doniósł „Kurjer Warszawski" w notatce opatrzonej nagłówkiem „Stare cmentarzysko na Pradze". Można było w niej przeczytać: „Rychło wydobyto 30-kilka czaszek i trafiono na jeszcze obfitszą ilość szkieletów. Lekarze orzekli, iż kości są bardzo stare. Zachodzi przypuszczenie, że trafiono przypadkowo na zbiorowy grób obrońców Pragi, poległych w czasie najścia Moskali w r. 1831". Natychmiast zareagował stały czytelnik „Kurjera", inż. Marian Zakrzewski, wytykając autorowi tekstu nieznajomość historii, jako że „w roku 1831 toczyły się walki z Moskalami nie na Pradze, lecz na polach Grochowa. Na Pradze toczyły się walki w r. 1794 podczas szturmu i rzezi przez wojska Suworowa. Jeśli więc robić jakieś przypuszczenia, to tylko można mówić o obrońcach Pragi w 1794 r.".

Dla Jana Wernika, wytrawnego varsavianisty, autora m.in. ciekawej książki „Wsłuchany w miasto", ta gazetowa wzmianka stała się inspiracją do napisania „Tajemnicy domu Mintera", choć opowiada w niej całkiem inną historię, powiedzmy od razu – fikcyjną, gdyż – o czym informuje w posłowiu – „cała intryga i zdecydowana większość bohaterów opowieści są wyłącznie wymysłem mojej wyobraźni. Autentyczne zaś są miejsca ówczesnej Warszawy, a w szczególności tytułowy dom Karola Mintera i jego najbliższa okolica: odlewnia »Wulkan«, bazar na Targowej, komisariat na Jagiellońskiej, targ koni i bydła, rzeźnia miejska czy port rzeczny na Pradze".

A prawobrzeżna Warszawa miała swoją specyfikę i swoją legendę. W końcu pisano o niej przed wojną jako o „polskim Chicago", a – jak czytamy u Wernika – „Tata Tasiemka z Kercelaka to był chłopiec w krótkich spodenkach przy kiziorach z Pragi". Ale świetnie oddaje również autor atmosferę PRL z czasów wczesnego Gomułki, kiedy to najgorsze w postaci stalinowskiego terroru szczęśliwie już minęło, ale pozostawiło ono po sobie niezatarte ślady: w mentalności ludzi, w mimikrze przez nich stosowanej, dwójmyśleniu i gorliwym zapewnianiu o swojej lojalności wobec „demokratycznej" władzy.

Za jednym zamachem otrzymuje czytelnik „Tajemnicy domu Mintera" solidną dawkę wiedzy o wciąż mniej znanej części stolicy, garść nieoczywistych obserwacji i refleksji natury, powiedziałbym, socjologicznej, wartko toczącą się historię kryminalną z elementami politycznymi, a także rozładowujące poważny nastrój scenki rodzajowe, jak choćby ta, gdy przesłuchiwana na okoliczność zabójstwa pewnego aktora mieszkanka Pragi, co prawda dość lekkiego prowadzenia, zapytana, w jakim przedstawieniu denat występował ostatnio, odpowiada oburzona: „Ja nikomu nic złego nie zrobiłam, żeby do teatru chodzić!". Skojarzenia z „Misiem" Barei są tu jak najbardziej na miejscu; Jan Wernik i w innych miejscach czerpie materiał z popkultury, odwołując się do popularnych filmów i powieści. I nawet nie musi przy tym robić do nas perskiego oka, bo ani przez moment nie przegina.

Ja przy okazji tej lektury dowiedziałem się, że nazwa lubianego i smakowitego ciastka – wuzetka – nie wzięła się wcale od Trasy W-Z, sztandarowej inwestycji warszawskiej pierwszego okresu Polski Ludowej, ani też nie miała swojej premiery w kawiarni na Muranowie, jeszcze wtedy przez niektórych Murdzielem nazywanej, ale z… braku pomysłu Warszawskich Zakładów Ciastkarskich, gdzie nie zdecydowano się, jak nazwać nowy deser, i w końcu zastosowano skrót od czegoś, co w ewidencji figurowało jako „wypiek z kremem". ©℗




★★★★★★

**JAN WERNIK „TAJEMNICA DOMU MINTERA" VON BOROWIECKY, RADZYMIN–WARSZAWA 2025**



eprasa.pl d705243ad8



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

# Grochowska ballada

O kruchy codzienności przefiltrowane przez wrażliwość poety (a tym w istocie jest Paweł Sołtys, znany szerszej publice jako artysta sceniczny Pablopavo) wypełniały książki „Mikrotyki" i „Nieradość". Nieduża powieść „Sierpień" była pierwszą próbą zmierzenia się z nieco większą formą. „Monolok" – właśnie w księgarniach – to krok następny, bo rzecz jest stylistycznie bardziej zwarta od poprzedniej książki.

„Nieszczęśliwa miłość do Warszawy" – jak sam mówi o swej twórczości Sołtys – tym razem przemienia się w gawędę pełną innych gawęd. Forma „Monoloku" to strumień rozmaitych opowieści, które wynikają jedna z drugiej, zmieniając bohaterów i emocjonalną temperaturę, ale wciąż wirując wokół Warszawy, ze szczególnym uwzględnieniem Grochowa, fryzjera męskiego, który to wszystkich zna i wszystko widział. Właściwie niejedna z tych historii mogłaby być osobnym króciutkim opowiadaniem, podobnym do tych z „Mikrotyków". Sołtys jednak tym razem nie stawia wyraźnych granic, jakby chciał oddać na papierze to ulotne wrażenie totalności, które ogarnia nas, gdy stoimy w środku upalnego dnia pośrodku swego miasta i odczuwamy wszystko jednocześnie: słońce, cień, zgiełk, zapachy oraz istnienie ludzi dookoła – tych żywych i tych, którzy już odeszli. Co się stało, to się już bowiem nie odstanie, miasta pełne są duchów ludzi i budowli, po których nie został nawet ślad. A opowieść ocala. Co właściwie? Dobre pytanie.

Oto protest narratora „Monoloku", no i samego Sołtysa przecież: „Uznałem, że śmierci nie ma, i tę moją mamę i tatę swojego miałem ze sobą, tylko byli daleko, może w Anglii, może w Rosji, i, cholera, okruchy ich gestów, pogłaskanie, zmierzwienie włosów, buziak przed snem, ja sobie odtwarzałem". No bo jak naszych umarłych nie może już być, skoro są? Każdy to wie, tylko nie każdy ma odwagę się przyznać.

Daleki od chłodnej precyzji Marka Nowakowskiego, od misternie konstruowanych opowiadań Wojtka Chmielewskiego, daje nam Sołtys opowieść o Grochowie, której bliżej do „Chamowa" Białoszewskiego skrzyżowanego z praską balladą uliczną. Słucha, widzi, zmyśla – w ten najlepszy sposób, bo zmyśla prawdziwie. „Za dziewczyny i chłopaków, co to już pamiętają nas z drugiej strony. Za pamięć". ©℗




★★★★★★

**PAWEŁ SOŁTYS „MONOLOK"**
**CZARNE 2025**

## NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Spec od reportaży historycznych („Samuraj William", „Muszkatołowa wojna Nathaniela") tym razem o przedziwnej koalicji, którą zawarto między Stalinem, Rooseveltem, Churchillem. Wciąga, choć raczej narracją niż nowymi faktami.




**GILES MILTON „SPRAWA STALINA" NOIR SUR BLANC**

Za zdecydowanie zbyt tromtadrackim podtytułem („Nowa kosmiczna historia") kryje się zgrabna i ciekawa opowieść o tym, jak współczesna nauka wykorzystuje zaawansowane symulacje do zgłębiania zagadek natury.




**ANDREW PONTZEN „WSZECHŚWIAT W PUDEŁKU" ZYSK I S-KA**

Rok 1916 – ukazuje się książka, która na równi z dziełami Walta Whitmana odmieni obraz amerykańskiej poezji. Pierwsze polskie pełne wydanie. Jacek Dehnel jako tłumacz poezji sprawdza się lepiej, niż gdy próbuje Faulknera.




**CARL SANDBURG „WIERSZE CHICAGOWSKIE" BIURO LITERACKIE**

Piąty tom antologii polskich opowiadań zestawionych z inicjatywy Polskiej Fundacji Fantastyki Naukowej. Autorzy uznani (Paweł Majka, Wiktor Żwikiewicz) oraz debiutanci plus nieco rozważań popularnonaukowych.

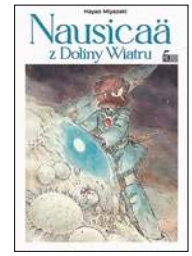
***recenzuje Piotr Gociek***




**AUTORZY RÓŻNI „KU GWIAZDOM" WYDAWNICTWO IX**

**KOMIKS TYGODNIA:**
**BAJKOWE POST-APO**

Fani kinowej animacji znają tę historię doskonale, bo cenią film Hayao Miyazakiego „Nausicaä z Doliny Wiatru" (1984). Ale czy znają ją taką, jaka była naprawdę? Zaczęło się przecież od popularnej mangi rysowanej i pisanej przez późniejszego wziętego reżysera. Seria rozpoczęta w lutym 1982 r. doczekała się polskiej edycji, na rynek trafił właśnie tom piąty. ***Piotr Gociek***




**HAYAO MIYAZAKI „NAUSICAÄ Z DOLINY WIATRU" STUDIO JG 2026**





eprasa.pl d705243ad8



Posiedzenie administracji prezydenta Donalda Trumpa w Białym Domu, 29 stycznia 2026 r. FOT. WIN MCNAMEE/GETTY IMAGES

# Kreml widziany z Białego Domu



*Michał Krupa*

**Wyborcy republikańscy nie marzą o nowej zimnej wojnie. Chcą niższych cen energii, stabilności i tego, by ich dzieci nie wracały w trumnach z kolejnych wojen. To byłby kurs, który dałby prezydentowi Ameryki gotową narrację zwycięstwa**

W lutym 2026 r. świat z zapartym tchem obserwuje, jak Stany Zjednoczone poruszają się po jednym z najbardziej skomplikowanych krajobrazów geopolitycznych od lat. Druga kadencja prezydenta Donalda J. Trumpa, która trwa już ponad rok, obfituje w dyplomatyczne manewry, naciski ekonomiczne i militarystyczną retorykę wobec Rosji. Wojna na Ukrainie, wchodząca w czwarty rok, pozostaje głównym punktem zapalnym – mimo głośnych szczytów i rozmów za zamkniętymi drzwiami nie widać jasnego rozwiązania. Podejście Trumpa do Rosji jest dalekie od spójności: raz padają wezwania do szybkiego pokoju, raz groźby zaostrzenia sankcji. Ta niespójność nie jest przypadkowa – wynika z głębokich podziałów wewnątrz administracji, gdzie ścierają się dwa obozy: realistów (promujący powściągliwość, negocjacje i skupienie na interesach amerykańskich) oraz jastrzębi (naciskający raczej na konfrontacyjne podejście do Moskwy i odstraszanie). Na czele obozu realistów stoją dyrektor Wywiadu Narodowego (DNI) Tulsi Gabbard, wiceprezydent J.D. Vance i specjalny wysłannik USA na Bliski Wschód Steve Witkoff. Po stronie jastrzębi są sekretarz stanu Marco Rubio, sekretarz skarbu Scott Bessent i sekre-



eprasa.pl d705243ad8

tarz obrony Pete Hegseth. Wymienione osoby reprezentują nie tylko osobiste poglądy, lecz także konkurencyjne wizje roli Ameryki na świecie. Realiści widzą Rosję jako znaczące mocarstwo z czasami sprzecznymi interesami, ale na pewno nie jako egzystencjalne zagrożenie dla Ameryki, podmiot, wobec którego z powodzeniem można stosować nixonowską politykę stabilnych, przewidywalnych relacji; jastrzębie zaś postrzegają agresję Moskwy jako bezpośrednie wyzwanie dla porządku globalnego, wymagające twardej odpowiedzi. Te wewnętrzne tarcia ujawniają się w decyzjach politycznych, publicznych wypowiedziach i przeciekach – Biały Dom jest areną ciągłej walki.

## MIESIĄCE CHAOTYCZNEJ DYPLOMACJI

Aby zrozumieć obecny stan polityki Trumpa wobec Rosji, trzeba cofnąć się do szczytu w Anchorage na Alasce z prezydentem Rosji Władimirem Putinem w sierpniu 2025 r. To spotkanie, zapowiadane jako potencjalny przełom, odsłoniło pęknięcia w ekipie Trumpa i zapoczątkowało miesiące chaotycznej dyplomacji. Wybór miejsca – odległej bazy wojskowej Elmendorf blisko wschodniej flanki Rosji – miał symbolizować zasięg Ameryki i otwierać drogę do współpracy gospodarczej, np. w Arktyce. Trump przyleciał z nadzieją na szybkie zakończenie wojny na Ukrainie, zabierając ze sobą sekretarza handlu Howarda Lutnicka i sekretarza skarbu Scotta Bessenta. Był to sygnał, że dyplomacja będzie współgrała się z interesami biznesowymi. Putin, mimo międzynarodowego nakazu aresztowania, został przyjęty z honorami, włącznie z przelotem myśliwców, choć niektórzy interpretowali to jako nie tak subtelny pokaz siły ze strony Trumpa. Trudno stwierdzić, czy zrobiło to na Putnie jakiekolwiek wrażenie. Rozmowy trwały trzy i pół godziny – krócej, niż planowano – i nie przyniosły ogłoszenia rozejmu. Na konferencji prasowej obaj przywódcy mówili o „postępach", ale bez konkretów. Trump wspominał o porozumieniach „w niektórych sprawach", Putin o „zrozumieniu". Kulisy szczytu dopełnił kompromitujący incydent: wrażliwe dokumenty amerykańskiej delegacji pozostawiono w hotelowej drukarce.

Po spotkaniu w Anchorage – takich gestach normalizacji, aplauz dla Putina na czerwonym dywanie oraz przedstawienie perspektywy inwestycji w ropę znajdującą się na Alasce – polityka Trumpa stała się jeszcze bardziej chaotyczna. We wrześniu nasiliły się rosyjskie bombardowania, co skłoniło prezydenta USA do przedłużenia sankcji na podstawie ustawy International Emergency Economic Powers Act i zamrożenia rezerw rosyjskich. W październiku groził dostarczeniem Ukrainie pocisków Tomahawk, by potem odłożyć gwarancje bezpieczeństwa. Ta huśtawka – od otwarcia z Kremlem po groźby – wynika z braku koordynacji i dominacji wąskiego kręgu lojalistów, dzielących się z kolei na dwie wyżej wspomniane frakcje. Do początku 2026 r. retoryka Trumpa stała się znowu bliższa rosyjskiej narracji o Krymie, domagał się wyborów na Ukrainie, obwiniał Kijów za blokowanie rozmów. Sankcje pozostały „warunkowe", zależne od osobistych decyzji prezydenta. Podziały frakcyjne potęgują jedynie problem.

## ROZWIĄZAĆ KONFLIKT NEGOCJACJAMI

Realiści naciskają na zamrożenie linii frontu i traktowanie Rosji jako przeciwwagi dla Chin. Jastrzębie skłaniają się ku gwarancjom bezpieczeństwa dla Ukrainy. Trump, skupiony na „zwycięstwach", staje się arbitrem – co prowadzi do ciągłych zmian kursu. Dla realistów ewidentne jest, że wojna na Ukrainie to marnotrawstwo zasobów USA, efekt wieloletniego myślenia życzeniowego wobec Rosji i prób jej strategicznego pokonania. Lepiej konflikt rozwiązać negocjacjami niż niekończącym się strumieniem pieniędzy dla Kijowa, logistycznego wsparcia dla ukraińskiej armii oraz kooperacji wywiadowczej, pozwalającej Ukrainie przeprowadzić brawurowe akcje na terenach rosyjskich, jak niedawna próba zabójstwa wiceszefa GRU gen. Władimira Aleksiejewa. Rosja w ich optyce nie jest egzystencjalnym zagrożeniem, lecz mocarstwem z bardzo ograniczonymi możliwościami ekspansji.

Jak pisała Gabbard w głośnym wpisie na X 22 grudnia 2025 r.: „Czołowi podżegacze wojenni z Głębokiego Państwa [Deep State] oraz ich media propagandowe znów usiłują sabotować starania prezydenta Trumpa o pokój na Ukrainie – i szerzej w Europie – rozpuszczając kłamstwo, że »amerykańska społeczność wywiadowcza« podziela stanowisko UE i NATO, iż Rosja zamierza najechać i podbić Europę (wszystko po to, by podgrzewać poparcie dla polityki wojennej). Rzeczywistość wygląda inaczej: według oceny amerykańskiego wywiadu Rosja nie posiada nawet potencjału, by zdobyć i utrzymać pod okupacją całą Ukrainę – nie mówiąc już o inwazji i okupacji Europy".

To stanowisko szybko ściągnęło na nią krytykę – nazywano ją „apologetką Rosji" za powtarzanie uważanych przez liberalne media za kremlowskie tezy (np. o laboratoriach biologicznych USA na Ukrainie). Te napięcia międzyfrakcyjne postrzegane są również jako ewidentne w społeczności wywiadowczej, podległej niepokornej Gabbard. „The Washington Post" donosił w sierpniu 2025 r. o poruszeniu w CIA po spotkaniu w Anchorage: zwolniono czołową ekspertkę od Rosji, która w ocenie Gabbard miała poprzednio brać aktywny udział w formowaniu narracji o tzw. Russiagate, czyli tezie, że Rosjanie pomogli Donaldowi Trumpowi wygrać wybory prezydenckie w 2016 r.

Realistyczne stanowisko wzmacnia też wiceprezydent J.D. Vance. Opowiada się on za zamrożeniem konfliktu, uznając ambicje Ukrainy, aby wstąpić do NATO, za nierealne. Tam, gdzie Gabbard być może nie jest w stanie dotrzeć z całą masą danych wywiadowczych, Vance, będąc najbliżej prezydenta, jest skutecznym rzecznikiem realizmu.

Wreszcie Steve Witkoff, wysłannik Trumpa do spraw rozmów pokojowych z Rosją i Ukrainą, uosabia pragmatyczne podejście biznesowe ponad jakimikolwiek względami ideologicznymi czy geopolitycznymi machinacjami. To właśnie Witkoff i zięć Trumpa, Jared Kushner, są głównymi negocjatorami i ostatnio mediatorami ze strony amerykańskiej, w dyplomatycznych zabiegach mających na celu zakończyć wojnę na Ukrainie. Witkoff już w marcu ubiegłego roku wystrzelił „pierwszą salwę" w stronę zwolenników twardej konfrontacji z Moskwą w wywiadzie z Tuckerem Carlsonem. Wyrażał się bardzo pozytywnie o Władimirze Putinie. Opisał go jako „bardzo



eprasa.pl d705243ad8

inteligentnego", „uczciwego" i „uprzejmego" przywódcę, stwierdzając wprost: „Nie uważam Putina za złego człowieka". Podkreślił, że ich pierwsze spotkanie w Moskwie miało charakter osobisty – Putin modlił się za Trumpa po zamachu w lipcu 2024 r. i podarował portret prezydenta namalowany przez czołowego rosyjskiego artystę. Witkoff kategorycznie odrzucił obawy europejskie przed dalszą ekspansją Rosji, stwierdzając, że Rosja „w 100 proc." nie ma zamiaru ani możliwości najechania Europy poza Ukrainę. Za główną przeszkodę w osiągnięciu pokoju uznał odmowę Ukrainy uznania rosyjskiej kontroli nad czterema częściowo okupowanymi i anektowanymi regionami (Donieck, Ługańsk, Zaporoże i Chersoń). Przedstawiał konflikt jako coś historycznie złożonego, sugerując, że Ukraina bywa postrzegana w Moskwie jako sztuczna konstrukcja, a odrzucał m.in. propozycje rozmieszczenia międzynarodowych sił stabilizacyjnych, nazywając to „pozerstwem". Wywiad wywołał kontrowersje w Europie i na Ukrainie, gdzie zarzucono Witkoffowi powtarzanie kremlowskich narracji i brak znajomości szczegółów, podczas gdy w Rosji został szeroko cytowany jako dowód na zbliżenie stanowisk USA i Federacji Rosyjskiej. Jego częste kontakty z doradcami Kremla i ogłoszony jesienią 2025 r. 28-punktowy plan, faworyzujący, według niektórych, Rosję, wywołały kolejne poruszenie w Europie, na Ukrainie i pośród jego własnych wrogów w samym Waszyngtonie.

Ale wpływ realistów widać również w takich działaniach jak wznowienie dialogu wojskowego na najwyższym szczeblu czy nieformalna kontynuacja limitów traktatu New START. Traktat New START – ostatni duży dwustronny układ kontroli zbrojeń nuklearnych między USA a Rosją, ograniczający liczbę głowic strategicznych do 1550 i nośników do 700 – formalnie wygasł 5 lutego 2026 r., po pięcioletnim przedłużeniu z 2021. Trump publicznie odrzucił formalne przedłużenie, nazywając umowę „źle wynegocjowaną" i „rażąco naruszaną", domagając się nowego, zmodernizowanego traktatu (potencjalnie z Chinami). Jednak w ostatniej chwili – w rozmowach prowadzonych na marginesie negocjacji ukraińskich w Abu Zabi z udziałem Witkoffa i Kushnera – strony osiągnęły nieformalne porozumienie o dalszym przestrzeganiu głównych ograniczeń liczbowych po wygaśnięciu traktatu. To de facto utrzymanie pułapów bez formalizacji prawnej, bez wznowienia inspekcji czy wymiany danych – ale zapobiega natychmiastowemu niekontrolowanemu wyścigowi zbrojeń i daje czas na dalsze rozmowy. To nieformalne porozumienie to małe, ale istotne zwycięstwo obozu Realpolitik. W optyce realistów jest to wyraz zarządzania ryzykiem w relacjach z Rosją, traktując kontrolę zbrojeń jako konieczne narzędzie stabilizacji, a nie ustępstwo wobec wroga, pewna ochrona przed armagedonem. Zatrzymanie niekontrolowanego wyścigu zbrojeń, nie tylko zresztą w materii strategicznej broni nuklearnej, jest jak najbardziej w interesie USA, ponieważ jak informował raport portalu Bloomberg z 17 stycznia br. Rosja i Chiny przodują w systemach nowej generacji, w tym w broni hipersonicznej, podczas gdy amerykańskie programy wciąż grzęzną w powolnych procedurach zakupowych i przekraczaniu budżetów. Choć USA wciąż dysponują zaawansowanym uzbrojeniem, to Bloomberg zauważa, że doświadczenia bojowe Rosji na Ukrainie oraz szybki postęp technologiczny Chin ujawniły poważną stagnację amerykańskich innowacji wojskowych i zdolności produkcyjnych. Technologie, w których niegdyś dominowały Stany Zjednoczone – takie jak precyzyjne systemy uzbrojenia czy bezzałogowce – zostały wyprzedzone przez tańsze, szybsze i łatwiejsze do masowej produkcji rozwiązania, które dziś są powszechnie wykorzystywane przez Rosję, Chiny i ich partnerów.

**Jastrzębie odnoszą sukcesy w egzekwowaniu sankcji, ale realiści blokują eskalację**

Utrzymanie limitów w formie „uścisku dłoni" idealnie wpisuje się w ich filozofię: deeskalacja i dialog zamiast ideologicznej konfrontacji. To kontrastuje z preferencjami jastrzębi (Rubio, Hegseth), którzy woleliby całkowite wygaśnięcie traktatu, by wywrzeć większą presję lub wymusić jego gruntowną przebudowę. Ten epizod pokazuje, jak realiści wygrywają drobne bitwy w dziedzinie kontroli zbrojeń, mimo ostrej walki frakcyjnej o szerszą politykę wobec Rosji.

## TEST WIARYGODNOŚCI

W przeciwieństwie do realistów jastrzębie, choć zapewne z mniejszą dozą ideologicznego ferworu niż poprzednia ekipa w Białym Domu za prezydentury Joe Bidena, widzą Rosję jako problem, wymagający raczej odstraszania niż zbliżenia. Prymat amerykański jest dla nich priorytetem – agresja Moskwy to test wiarygodności USA. Marco Rubio, Scott Bessent i Pete Hegseth przewodzą temu obozowi, często wygrywając spory w Białym Domu. Rubio, jako sekretarz stanu i jednocześnie szef Rady Bezpieczeństwa Narodowego w Białym Domu, jest jastrzębiem lojalnym. Współtworzył sankcje, ale teraz opowiada się za negocjacjami, by przerwać pat. Ocenia, że Rosja chce Doniecka, ale nie ma sił na pełny podbój – dlatego naciska na gwarancje bezpieczeństwa podobne do art. 5 NATO. Z kolei Bessent w Departamencie Skarbu stosuje ekonomiczne baty: nowe sankcje na Rosnieft i Łukoil, groźby taryf na kupujących rosyjską ropę. Krytykuje „skandalicznie słabe" działania Bidena i koordynuje presję w G7. Natomiast Hegseth w Pentagonie ostrzegał Rosję przed „kosztami" agresji i obiecywał Ukrainie „siłę ognia" (w tym Tomahawki), ale wyklucza jej członkostwo w NATO – preferując europejskie gwarancje bezpieczeństwa. Jak dotychczas jastrzębie odnoszą sukcesy w egzekwowaniu sankcji, ale realiści blokują eskalację.

Wyborcy republikańscy jednak nie marzą o nowej zimnej wojnie. Chcą niższych cen energii, stabilności i tego, by ich dzieci nie wracały w trumnach z kolejnych wojen. Realistyczny kurs daje Trumpowi gotową narrację zwycięstwa: „Zakończyłem wojnę Bidena", „Oszczędziłem biliony", „Postawiłem Amerykę na pierwszym miejscu". Jastrzębie mogą mieć po swojej stronie prowojenny establishment i sponsorowane przez firmy zbrojeniowe think tanki, ale realiści mogą wygrać wybory. Pytanie brzmi: Czy Trump dostrzeże tę oczywistość, zanim będzie za późno? Zegar tyka. Prezydentowi, który na razie ma dość wątpliwe osiągnięcia w polityce zagranicznej, wybory w połowie kadencji roku 2026 nie wybaczą wahania.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8

# Agenturalność bezobjawowa



*Jacek Gawryszewski*

**Dwa lata od przejęcia władzy przez rząd Donalda Tuska nikt z oskarżanych polityków prawicy nie usłyszał zarzutów o szpiegostwo. Zatem albo premier Donald Tusk znowu żartował, formułując takie oskarżenia wobec obecnej opozycji, albo nigdy nie było jakichkolwiek dowodów na to, że „PiS to największy sukces GRU"**

Oskarżanie przeciwników politycznych o współpracę ze służbami bezpieczeństwa putinowskiej Rosji jest od ponad dekady modus operandi Platformy Obywatelskiej i jej sympatyków. „Demokracja walcząca" afirmuje i promuje najbardziej karkołomne oraz niedorzeczne „ustalenia" amatorów kontrwywiadu, uplasowanych w mediach głównego nurtu, ale nie tylko. Arsenał tej wypowiedzianej przez „uśmiechniętą Polskę" wojny hybrydowej jest bardzo podobny do tego wykorzystywanego przez autorytarne reżimy. Despoci często klasyfikują swoich oponentów jako agentów obcych wywiadów. Kiedy adwersarz staje się zdrajcą, organy państwa mogą sięgać po nadzwyczajne środki, aby go zidentyfikować i zneutralizować. Kiedy reżim nazwie niewygodną dla siebie prawdę „dezinformacją", jego administracja będzie mieć pretekst, aby stosować różne formy cenzury. Gdy władza uzna kogoś za mitycznego agenta wpływu, nikt nigdy nie dowie się dlaczego. Tu orężem jest tajemnica zwana dobrem służb. Nie ujawnimy, skąd wiemy, że jesteś współpracownikiem GRU, bo GRU pozna metody naszej pracy oraz kierunki naszych zainteresowań. Możesz także zostać zaliczony do agentów klasy „pożyteczny idiota", co w praktyce oznacza, że sam nie wiesz, iż pracujesz dla obcego wywiadu. Wystarczy, że wiemy to my.

## START-UP

Początki tego stylu uprawiania polityki były trudne. Należało bowiem przerobić bełkot najbardziej oświeconych przedstawicieli klasy rządzącej, zarejestrowany przez dwóch kelnerów dwóch mało egalitarnych stołecznych jadłodajni, w operację specjalną rosyjskiego wywiadu. Tu niezastąpiony okazał się premier Donald Tusk, który niespełna siedem dni roboczych po wszczęciu przez prokuraturę śledztwa w sprawie tzw. afery taśmowej ogłosił z trybuny sejmowej, że była to rosyjska intryga. Współautorem tego scenariusza był zapewne Bartłomiej Sienkiewicz, ówczesny koordynator specsłużb i jedna z najbardziej prominentnych ofiar tego przestępczego procederu. No i panowie wymyślili chwytliwą wymówkę dla tych często żenujących biesiad. Ogłoszono bowiem, że był to spisek GRU przeciwko władzy z udziałem skorumpowanych funkcjonariuszy ABW i CBA, nieudolnych prokuratorów, chciwego przedsiębiorcy, wścibskich dziennikarzy i kierownictwa PiS. Ciąg dalszy tej surrealistycznej kreacji to „wyborczy" zamach stanu, czyli przegrana PO w wyborach parlamentarnych z października 2015 r. Historia prosta jak scenariusz reklamy kremu na noc.

Gdy siła rażenia restauracyjnej intrygi słabła, lider PO dopuszczał tlen do paleniska. Tak stało się w październiku 2022 r., gdy w trakcie jednej z najdłuższych konferencji prasowych Donald Tusk stwierdził, że rosyjski udział w aferze podsłuchowej został – cytuję – „udokumentowany i udowodniony". Co go do tego przekonało? Oczywiście nie były to ustalenia prokuratury czy wyroki sądów, ale rezultaty dziennikarskich „śledztw". Przy okazji Donald Tusk dokonał zabiegu rebrandingu, nazywając rzekomą operację rosyjskich służb specjalnych aferą węglową. Premier w kategorycznych i patetycznych słowach zaapelował wówczas do parlamentu o powołanie sejmowej komisji śledczej, która wyjaśniłaby okoliczności zamachu stanu przygotowanego i przeprowadzonego przez PiS oraz Kreml.

Kolejna fala oskarżeń zbiegła się ze zbrodniczą agresją Rosji na Ukrainę. To idealna scenografia dla coraz bardziej kuriozalnych i absurdalnych wynurzeń szefa rządu. Apogeum tej kampanii miało miejsce 9 maja 2024 r. w Sejmie, kiedy Donald Tusk, grzmiąc o aferze podsłuchowej, nazwał swoich politycznych oponentów „Płatnymi Zdrajcami – Pachołkami Rosji", kopiując rozwinięcie skrótu PZPR za Leszkiem Moczulskim.

**Kiedy reżim nazwie niewygodną dla siebie prawdę „dezinformacją", jego administracja będzie mieć pretekst, aby stosować różne formy cenzury**

## HARCOWNICY

Lider PO, który – jak się okazało – najbardziej zyskał na urojonej operacji Rosjan, bo kilka miesięcy później został



eprasa.pl d705243ad8

przewodniczącym Rady Europejskiej, zainspirował tuziny domorosłych „śledczych". Na czele tej gończej sfory stanęli Klementyna Suchanow, Grzegorz Rzeczkowski i Tomasz Piątek. To trio w dyscyplinie demaskowania bezobjawowej agentury nie ma konkurencji. Ci najemnicy „uśmiechniętej" wytropią najbardziej zakonspirowanego agenta i jak na zawołanie powiążą każdego i każdą z Putinem. Ich najbardziej fantastyczne „odkrycia" natychmiast autoryzowali ich polityczni zwierzchnicy.

Wyniki tego kontrwywiadowczego zapału stały się tematem niezliczonych medialnych wystąpień, moderowanych m.in. przez Dorotę Wysocką-Schnepf, Kamilę Biedrzycką, Tomasza Lisa czy Radosława Grucę. Prowadzący bezrefleksyjnie i z otwartymi oczami słuchali bajek o rosyjskich niedźwiedziach w przebraniu polityków opozycji. Kiedy w rzadkich chwilach zwątpienia w prawdziwość ustaleń trójki komandosów kontrwywiadu padało pytanie, skąd wiadomo np. o mitycznym rosyjskim łączniku PiS, odpowiedź Suchanow brzmiała: „z książek Piątka", a odpowiedź Rzeczkowskiego: „z książek Suchanow".

Maltańskim. Do najbardziej memicznych osiągnięć tego sponsorowanego przez państwo zespołu należy planowanie przez rząd premiera Morawieckiego udziału w rozbiorze Ukrainy czy wykazanie związków Szymona Hołowni z Putinem na bazie jego udziału we własności drogi osiedlowej. Opatentowana przez ten triumwirat głupoty metoda badawcza to „łączenie kropek". I po co państwo wydaje pieniądze na dwa kontrwywiady?

## CZTEREJ PANCERNI

Zbrodnicza agresja Rosji na Ukrainę wymusiła zmianę środków perswazji i kalibru dział propagandy. Cywilnych harcowników uzupełnili generałowie, i to nie byle jacy. Piotr Pytel (uzyskał niemal status celebryty), Jarosław Stróżyk (oficer bankietowy), Krzysztof Bondaryk (apolityczny działacz PO) i Marek Dukaczewski (pełnoskalowy oficer dwusystemowy). Umundurowani i utytułowani na prawo oraz lewo rzucali najbardziej surrealistyczne oskarżenia o związki krytyków dogmatu o nieomylności koalicji rządzącej z Rosją. Majestatyczni i pompatyczni powtarzali za Rzeczkowskim i Piątkiem, że oczywista antyrosyjskość opozycji

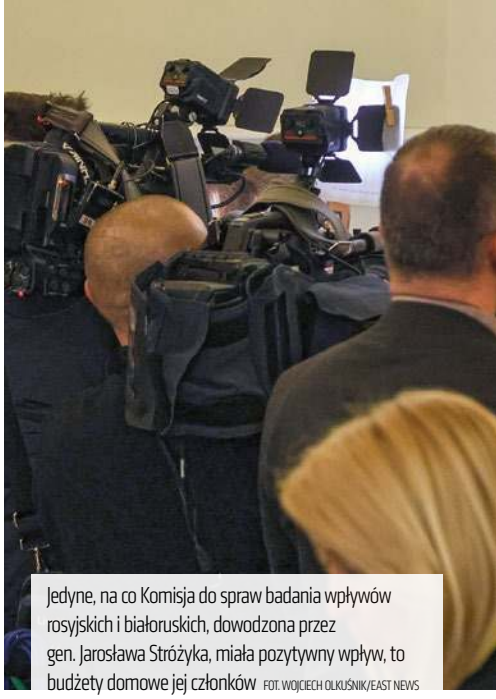
**Można oczywiście przyjąć, że w arsenale służb istnieje metoda pracy, w oparciu o możliwości operacyjne agentów bezobjawowych, ale takie założenie oznacza, że bez wyjątku każdy może być oskarżony o szpiegostwo lub zdradę**

Piątka nikt nigdy nie śmiał o takie detale pytać. Twórczość tej tragikomicznej postaci uwiarygadniał sam koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak, który publicznie przyznał, że Tomasz Piątek, autor powieści „Heroina", napisanej na podstawie własnych doświadczeń, regularnie doradza rządowi RP w kwestiach kluczowych dla bezpieczeństwa państwa. Czy leci z nami… samolot?!

Kiedy nieustraszona trójka śledczych zdemaskowała już całą rosyjską agenturę w PiS, zabrała się za badanie wpływów Kremla m.in. w Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Austrii, we Francji, w Niemczech, Stolicy Apostolskiej i w Suwerennym Rycerskim Zakonie

to jedynie kamuflaż i efekt perfekcyjnie zaplanowanej oraz przeprowadzonej operacji „oddziaływania psychologicznego". Emerytowani i czynni zawodowo generałowie dodali do komicznych rewelacji harcowników perspektywę interdyscyplinarną. Geopolityka, psychologia, filozofia, politologia to tylko niektóre obszary dociekań tej frakcji.

Rzecz jasna, żadnych konkretów czy dowodów. Nie ma też żadnego znaczenia, że wyniki ich rozpracowania są wewnętrznie sprzeczne. Odpowiadali, że sprzeczności to wynik perwersyjnej przebiegłości Rosjan i metodyki działania ich służb, których logikę znają wyłącznie generałowie.



Jedyne, na co Komisja do spraw badania wpływów rosyjskich i białoruskich, dowodzona przez gen. Jarosława Stróżyka, miała pozytywny wpływ, to budżety domowe jej członków FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Popisowe numery czterech pancernych to np. wywiady gen. Piotra Pytla w „Gazecie Wyborczej", w których stwierdził, że „największym sukcesem Rosjan jest PiS", czy kuriozalne wypowiedzi gen. Krzysztofa Bondaryka na forum zespołu parlamentarnego PO do spraw bezpieczeństwa państwa. Kłamstw, którymi posługiwał się wówczas były szef ABW, nie wygenerowałaby nawet sztuczna inteligencja.

Co prawda, pojawiały się głosy wątpiące w wiarygodność i logikę stwierdzeń generałów (Krytyka Polityczna, senator Marek Borowski), ale skończyło się to jak w przypadku „Kariery Nikodema Dyzmy" Tadeusza Dołęgi-Mostowicza – „warszawski monde" wyśmiał niewiernych.

Zmilitaryzowany zakład produkował coraz bardziej przaśne kłamstwa i systematycznie zwiększał moce wytwórcze. Ich szczyt to oczywiście prace Rządowej Komisji do spraw badania wpływów rosyjskich i białoruskich, dowodzonej przez gen. Jarosława Stróżyka. Grono wybitnych, choć kompletnie niemerytorycznych ekspertów (znalazł się wśród nich nawet jeden oficer ABW), opublikowało dwa porażające raporty, w tym jeden tajny. Treść raportów najbardziej poraziła ojca założyciela tego gremium, bo premier miłosiernie skrócił cierpienia głęboko rozczarowanych promotorów tego projektu. Jedyne, na co komisja szefa SKW miała pozytywny wpływ, to budżety domowe jej członków



eprasa.pl d705243ad8



i doradców, w tym – ma się rozumieć – Klementyny Suchanow i Tomasza Piątka.

## PRAWDA JEST CÓRKĄ CZASU

Po wyborczym zwycięstwie w 2023 r. Platformy Obywatelskiej i jej sojuszników cała postępowa Polska była pewna, że lada moment już kompletnie niepolityczna prokuratura zacznie ścigać, a sądy skazywać za szpiegostwo zdemaskowanych z takim trudem agentów rosyjskiego wywiadu. Nic z tych rzeczy. Żadne ze śledztw amatorów kontrwywiadu nie doczekało się jakiegokolwiek zainteresowania ze strony organów ścigania, nadzorowanych przez ministrów Adama Bodnara i Waldemara Żurka. Nie pochylił się nad nimi ani cywilny, ani wojskowy kontrwywiad.

Nie mogło być inaczej, bo dla każdego, nawet przeciętnego oficera służb jest jasne, że wiedza Piątka czy Suchanow na temat funkcjonowania służb specjalnych była i jest na poziomie wiedzy przeciętnego Polaka o kanałowym leczeniu zębów. Pomimo uznania ze strony polityków PO i podziwu ze strony sporej części dziennikarzy po kilkunastu latach pracy Grzegorz Rzeczkowski wyleciał z „Polityki", a później w obawie przed niekorzystnymi orzeczeniami sądów odszedł z „Newsweeka". Teraz koncentruje się głównie na narzekaniu na procesy sądowe, wytoczone mu przez osoby, które bezczelnie pomawiał o związki z Rosją. Oczywiście nie omieszkał porównać swojego losu do prześladowań dziennikarzy w putinowskiej Rosji. Od czasu do czasu pojawia się w mediach, ale już nie domaga się wyjaśnienia afery podsłuchowej vel węglowej. Teraz tropi dezinformację w sieci. Pomimo jego zasług Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego podjęło roztropną decyzję, odrzucając jego wniosek o dofinansowanie tych pseudobadań.

Z kolei aktywistka kontrwywiadu Klementyna Suchanow jest ciągle na tropie Ordo Iuris. Na szczęście także w tym przypadku ani na służbach, ani na prokuraturze wyniki jej momentami heroicznych wysiłków nie zrobiły żadnego wrażenia. Wręcz przeciwnie. ABW już bez „PiS-owskiego" kierownictwa odmówiła wydania jej poświadczenia bezpieczeństwa. Pani Suchanow nazwała tę decyzję w swoim niepodrabialnym stylu – zruszczeniem służb.

Tomasz Piątek zaś w ogóle zniknął z radarów. W połowie ubiegłego roku pożegnał się ze swoimi fanatykami. Jako powód podał nękanie go procesami przez ludzi Kremla. O tyle to dziwne, że do tej pory publicznie chwalił się, iż wygrał prawie wszystkie wytoczone mu przez zaszczuwanych przez niego ludzi procesy. Sukcesy sądowe miały być dowodem na jego wiarygodność i zwiększały zasięgi jego medialnych wystąpień.

Być może na spadek aktywności Rzeczkowskiego i Piątka wpływ miała książka Kazimierza Wóycickiego „Nieprzetrawione ośmiorniczki", w której opisał kłamstwa i manipulacje obu panów. Autor był przez dłuższy czas współpracownikiem naszych śledczych w Resecie Obywatelskim. Po pojawieniu się u Wóycickiego pierwszych wątpliwości na temat metod badawczych Rzeczkowskiego i Piątka został najpierw ocenzurowany, a później oskarżony przez Piątka o prorosyjskość. Tym samym mianem Rzeczkowski określił wydawcę książki Wóycickiego.

Premier Donald Tusk, apelując w 2022 r. o powołanie komisji śledczej w sprawie afery podsłuchowej, jak się okazało, żartował. Dwa lata po przejęciu władzy Koalicja Obywatelska takiej komisji nigdy nawet nie próbowała powołać.

Zwolennicy spiskowej wersji przebiegu posiłków w najsłynniejszej polskiej restauracji przez dekadę insynuowali, że winę za niewykrycie rosyjskiej operacji ponosi także prokuratura. Również to kłamstwo obnażył czas. Kluczową rolę w tym śledztwie odegrał prokurator Józef Gacek. Dziś kieruje Zespołem Nr 3 w PK prowadzącym śledztwo w sprawie Pegasusa. Prowokacja? Zespół Nr 5 w PK kierowany przez prokurator Katarzynę Kwiatkowską dwa razy badał śledztwo w sprawie afery podsłuchowej. Nie stwierdzono żadnych uchybień, zaniedbań czy nieprawidłowości.

Podobnie w przypadku rezultatów audytów w czterech służbach specjalnych, przeprowadzonych już pod nadzorem ministra Tomasza Siemoniaka.

Krokiem milowym na drodze do zdemaskowania kłamstw o rzekomych związkach PiS z Moskwą jest spektakularna klęska Komisji gen. Jarosława Stróżyka. Niczego nie wykryła. Zatrudniła ekspertów, czyli Klementynę Suchanow oraz Tomasza Piątka, i po niespełna roku aktywności została przez premiera zlikwidowana. Roztropna decyzja, bo żal było patrzeć.

Generał Piotr Pytel, który z domowych pieleszy rozpracowywał aktywność rosyjskich służb bezpieczeństwa w okresie rządów PiS, nigdy do czynnej służby nie wrócił. Nawet nowe kierownictwo SKW nie dało się zwieść ani jego czarowi, ani jego czarom.

Dwa lata od przejęcia władzy przez rząd Donalda Tuska nikt z oskarżanych polityków prawicy nie usłyszał zarzutów z art. 130 k.k. Zatem albo premier Donald Tusk znowu żartował, formułując takie oskarżenia, albo nigdy nie było jakichkolwiek dowodów na to, że „PiS to największy sukces GRU".

Można oczywiście przyjąć, że w arsenale służb istnieje metoda pracy, w oparciu o możliwości operacyjne agentów bezobjawowych, ale takie założenie oznacza, że bez wyjątku każdy może być oskarżony o szpiegostwo lub zdradę.

Determinację obecnej administracji na odcinku demaskowania agentów, sabotażystów i dywersantów Putina w jakiejś mierze odzwierciedla jeden z epizodów przygód „Kubusia Puchatka". Wszyscy pamiętają przecież, że im bardziej tytułowy bohater zaglądał do środka, tym bardziej Prosiaczka tam nie było.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor był funkcjonariuszem służb specjalnych w stopniu pułkownika. W latach 2013–2017 był zastępcą szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, w latach 2017–2024 – ambasadorem RP w Chile.



eprasa.pl d705243ad8



*Filip Memches*




Członkowie społeczności żydowskiej podczas demonstracji propalestyńskiej w Londynie, 9 marca 2024 r. FOT. MARK KERRISON/IN PICTURES/GETTY IMAGES

# Żydowska wojna w rodzinie

**Atak Jana Hartmana na Andrzeja Ledera można interpretować jako akt oskarżenia o bluźniercze, zdradzieckie szarganie żydowskich świętości. Odzwierciedla on podział wśród ludzi, którzy poczuwają się do tożsamości żydowskiej i zarazem mają poglądy lewicowe**

Jeśli ktoś inicjuje rozliczanie działań politycznych, które powszechnie uchodzą za przejaw żydowskiego szowinizmu, i jednocześnie podkreśla, że robi to jako osoba utożsamiająca się lub utożsamiana z Żydami, to musi się liczyć z tym, iż w ten sposób wywoła burzę. Nie inaczej stało się w przypadku Andrzeja Ledera. To filozof z Polskiej Akademii Nauk (także lekarz psychiatra, psychoterapeuta), ideowo człowiek lewicy, który związany jest ze środowiskiem Krytyki Politycznej (w roku 2014 opublikował jej nakładem głośną książkę „Prześniona rewolucja").

Niedawno w OKO.press zamieszczony został tekst Ledera pod wymownym tytułem „Naród żydowski widziany jako kat. Izraelskie zbrodnie i pokłady antysemityzmu". Ów materiał ukazał się w 81. rocznicę wyzwolenia KL Auschwitz, czyli w Międzynarodowy Dzień Pamięci o Ofiarach Holokaustu. 27 stycznia jest zatem datą, która ma szczególne znaczenie dla diaspory żydowskiej i Izraela.

Jak powszechnie wiadomo, w zbiorowej historycznej pamięci Żydów – obejmującej wydarzenia doniosłe zarówno dla wyznawców judaizmu, jak i dla osób zsekularyzowanych – Holokaust stał się centralnym punktem odniesienia. W pewnym sensie nadano mu status czegoś wyjątkowego – mordu, którego nie wolno porównywać z żadną inną zbrodnią w dziejach ludzkości. I mimo że w narracji, o której mowa, nie ma języka odwołującego się bezpośrednio do judaizmu, to stanowi ona podstawę quasireligijnego kultu. Holokaust przedstawiony jest w niej jako katastrofa o charakterze metafizycznym. Kto stawia znak równości między tym kataklizmem a np. rzezią na Ormianach, której dokonali Turcy w latach 1915–1917, ten popełnia coś w rodzaju bluźnierstwa.

Oczywiście żaden strażnik kultu Holokaustu nie powie wprost, że Żydzi powinni być traktowani inaczej (w znaczeniu: lepiej) niż pozostałe narody, ponieważ zdaje sobie sprawę z tego, że w liberalnych kręgach polityki, kultury, nauki, mediów na Zachodzie naraziłby się tym na oskarżenie o hołdowanie niedopuszczalnemu ekskluzywizmowi narodowo-religijnemu. Niemniej taki człowiek może pozwolić sobie choćby na wypowiedzenie słów, które w roku 2023 padły z ust psycholog i socjolog Barbary Engelking: „Dla Polaków [zostać zabitym z rąk Niemców] to była po prostu kwestia biologiczna, naturalna – śmierć jak śmierć, a dla Żydów to była tragedia, to było dramatyczne doświadczenie, to była metafizyka".

## PRZEKIEROWANIE WSPÓŁCZUCIA

Przywołany we wstępie tekst Andrzeja Ledera wchodzi w kolizję z narracją, na której się opiera kult Holokaustu. Autor zastanawia się nad tym, dlaczego na Zachodzie wśród młodych ludzi o poglądach lewicowych zmienia się stosunek do Żydów. Walka z antysemityzmem była przecież zawsze dla lewicy czymś zasadniczym. Z lewicowej perspektywy Żydów postrzegano jako mniejszość prześladowaną przez większość, naród, który ciężko i boleśnie doświadczyła historia. Chodziło zwłaszcza o sytuację diaspory żydowskiej w państwach europejskich. Narodom chrześcijańskim zarzucano, że okazywały Żydom nietolerancję religijną. Lewica zatem ujmowała się za dyskryminowaną grupą, co wpisywało się w jej walkę o sprawiedliwość społeczną. Oznaczało to jednak też abstrahowanie od tego, że tuż po drugiej wojnie światowej utworzono Izrael jako państwo żydowskie.

To już jednak – jak przekonuje Leder – przeszłość. Właśnie polityka izraelska jest czynnikiem, który decyduje o wspomnianej zmianie nastawienia do Żydów. Zresztą Leder, podejmując problem win Izraela, dotyka tego, co nazywa jego „grzechem



eprasa.pl d705243ad8

pierworodnym". To Nakba, wypędzenie ludności arabskiej z terenów, na których Żydzi zakładali swoje państwo.

Natomiast teraz następuje przekierowanie współczucia. Palestyńczycy jako ofiary brutalnych działań wojsk izraelskich stali się w imaginarium młodej lewicy narodem, za którym trzeba się ująć, nie bacząc na wymierzony w Izraelczyków (zwłaszcza od 7 października 2023 r.) terror w wykonaniu Hamasu. Tym jednak, co wielu Żydów szokuje, jest stawianie przez zachodnich lewicowych aktywistów z Pokolenia Z znaku równości między masakrowaniem Strefy Gazy a wdrażaniem niemieckiego nazistowskiego Endlösung. I tak młoda propalestyńska lewica systematycznie odbiera Holokaustowi rangę czegoś wyjątkowego, co oznacza naruszenie tabu. Ludzie tej opcji bezlitośnie i surowo oceniając politykę izraelską, nic sobie nie robią z tego, że są przez swoich proizraelskich oponentów szantażowani. Ci bowiem próbują ich zawstydzić, przyprawiając im gębę antysemitów. Bezskutecznie.

Leder uważa ten stan rzeczy za konsekwencję polityki izraelskiej, która zasługuje na ostrą krytykę. Jego tekst można interpretować jako apel zsekularyzowanego Żyda (czy też Polaka żydowskiego pochodzenia) o lewicowych poglądach do narodu żydowskiego o odważne zmierzenie się z negatywnymi emocjami wywoływanymi przez Izrael wśród społeczeństw Zachodu.

Można było się spodziewać, że głos Ledera spotka się z kąśliwymi komentarzami strażników kultu Holokaustu. Spośród tych odpowiedzi wyróżnia się opinia opublikowana w Onecie, sygnowana przez „Zespół dziennikarzy". Chodzi o troje autorów, spośród których znaną postacią jest filozof z Uniwersytetu Jagiellońskiego Jan Hartman, również, tak jak Leder, ideowo człowiek lewicy poczuwający się do tożsamości żydowskiej (pozostałe dwie osoby to Beata Lewkowicz i Anne Goldschmid). Już sam tytuł ich polemiki zawiera tezę, z której wynika, że w przypadku tekstu Ledera mamy do czynienia z grubą akcją wymierzoną w Izrael, a zatem pośrednio w cały naród żydowski. Ów tytuł brzmi: „Odbieranie Zagładzie statusu wydarzenia granicznego jest operacją polityczną". Chodzi o to, że – jak dalej w tekście czytamy – operacja ta „rozszczelnia barierę chroniącą debatę publiczną przed powrotem zbiorowych oskarżeń, stygmatyzacji i historycznych nadużyć".

**Lewicowi propalestyńscy aktywiści z Pokolenia Z nic sobie nie robią z tego, że ich proizraelscy oponenci przyprawiają im gębę antysemitów**

Autorzy opinii nie zostawili na Lederze suchej nutki. Zaliczyli go do kategorii „self-hating Jews" (Żydów nienawidzących własnej tożsamości narodowej), a więc do grona bluźnierców i zdrajców stojących po tej samej stronie, po której stoją antysemici. Jego apel do narodu żydowskiego o podjęcie refleksji nad tym, jak w świecie odbierane są brutalne działania wojsk izraelskich wobec Palestyńczyków – i to ogłoszony w rocznicę wyzwolenia KL Auschwitz – napiętnowali. Stwierdzili, że Leder, postulując expressis verbis „racjonalne myślenie o wszystkim, bez żadnych tabu", dopuścił się nagannego czynu, którym jest relatywizacja Holokaustu, przejawiająca się zwłaszcza w skandalicznym szukaniu podobieństw między Izraelem a III Rzeszą.

## ZWOLNIENIE Z ROZLICZEŃ

Nasuwa się proste i oczywiste pytanie, kto ma w tym sporze rację. Wykładnię Hartmana i reszty „Zespołu dziennikarzy" można do pewnego stopnia zrozumieć: krytyka wymierzona w politykę izraelską często jest posunięta zdecydowanie za daleko. Tak jest wtedy, gdy młoda propalestyńska lewica – a Leder przyjmuje rolę jej adwokata – w ramach wzmożenia „antyfaszystowskiego" i „antyimperialistycznego" w swoich przekazach przedstawia Izrael jako ludobójczą dyktaturę kojarzącą się z III Rzeszą. Tego typu zabiegi obliczone są na uzyskanie efektów propagandowych. Nie mają one nic wspólnego z odsłanianiem prawdy, ponieważ – jak słusznie zauważyli autorzy tekstu w Onecie – pozbawione są rygoru poznawczego, który jest niezbędny do niuansowania rzeczywistości.

Ponadto faktycznie wśród ludzi lewicy popierających walkę Palestyńczyków z Izraelem i upatrujących w nich – tak jak i w kobietach, Murzynach, homoseksualistach – „wyklęty lud ziemi", nie brak osób określanych mianem „self-hating Jews" czy, mówiąc inaczej, żydowskich ojkofobów. Są nawet w tym gronie tacy, którzy kibicują terrorystycznym organizacjom, dążącym do unicestwienia Izraela. Przykładem może być amerykańska filozof Judith Butler. W roku 2006 oznajmiła ona, że Hamas i Hezbollah to postępowe ruchy społeczne, które są częścią światowej lewicy. Swoją drogą na ironię zakrawa to, że Butler jest feministką, genderystką i zdeklarowaną lesbijką. Trudno zatem sobie wyobrazić, żeby powodowani „seksizmem" i „homofobią" pobożni muzułmanie ze Strefy Gazy uznali ją za autorytet. Co najwyżej mogliby ją potraktować jako „pożyteczną idiotkę".

Andrzej Leder to jednak inny przypadek niż Butler. On nie idealizuje takich organizacji jak Hamas. W swoim tekście poruszył kwestię żydożerczego fundamentalizmu islamskiego jako ważnego czynnika psychologicznego, wzmacniającego wśród izraelskich Żydów poczucie zagrożenia, co z kolei jest wodą na młyn dla tych polityków w Izraelu, którzy odwołując się do pamięci o Holokauście, opowiadają się za twardym, bezwzględnym kursem wobec Palestyńczyków.

Na koniec jednak warto podkreślić coś, co łączy Ledera z lewicowcami pokroju Hartmana. To wrogość wobec wszelkich nacjonalizmów. Jeśli chodzi o okrzyknięcie mianem „self-hating Jew" Ledera, to może się ona jednak wydawać poniekąd paradoksalna. Kojarzy się bowiem z tradycyjnie żydowskim toposem kulturowym, czyli mesjanistycznym dyskursem tikkun olam („naprawy świata"), który ma korzenie w judaizmie. Natomiast wrogi stosunek Hartmana do nacjonalizmów jest podszyty obłudą. Można bowiem psioczyć na nacjonalizm izraelski (m.in. krytykować politykę izraelską pod rządami premiera Beniamina Netanjahu), a zarazem stać na straży kultu Holokaustu. Ale wówczas oznacza to lansowanie wizerunku Żydów jako narodu pokrzywdzonego przez nie-Żydów – takiego, który z uwagi na swoją wyjątkową historyczną pozycję jest ze wszelkich rozliczeń zwolniony. Tym samym za fasadą lewicowości daje o sobie znać – choćby nieuświadomiony – żydowski kryptonacjonalizm.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8



# Szkoła oczerniania Polaków



*Piotr Gontarczyk*

**Książka „Dalej jest noc” jest niespotykaną w Polsce od stalinowskich lat 50. mieszaniną manipulacji i przeinaczeń. O ile jednak zarówno sama Barbara Engelking, jak i większość autorów tej pracy nie błyszczą warsztatem naukowym, o tyle udział w tym przedsięwzięciu Dariusza Libionki budzi niedowierzanie**

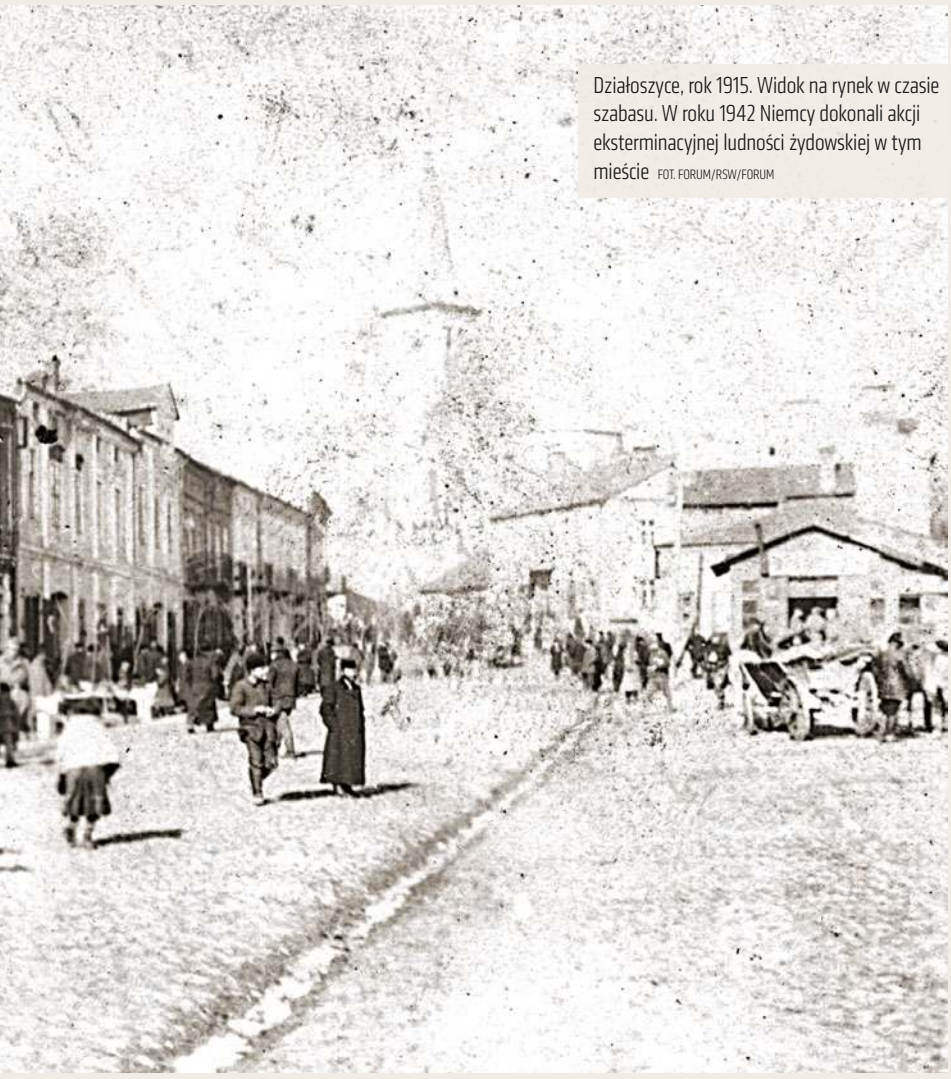
Wydana w roku 2018 głośna dwutomowa publikacja „Dalej jest noc” pod redakcją Jana Grabowskiego i Barbary Engelking jest pełna zabiegów, które w pracy ze źródłami są niedopuszczalne. Ale wymienieni wyżej badacze nie byli w swych działaniach odosobnieni. Na taki obraz dzieła zapracowało całe grono jego autorów. Jednym z ważniejszych okazał się Dariusz Libionka, historyk z Polskiej Akademii Nauk, którego tekst bije prawdziwe rekordy manipulacji.

## „NIEDOSŁOWNE” TRAKTOWANIE ŹRÓDEŁ

Według Libionki II Rzeczpospolita to kraj pogromów Żydów od pierwszych dni jej istnienia: „W okresie odzyskiwania niepodległości w wielu miejscach w Polsce, w tym na Kielecczyźnie, wybuchły zajścia antyżydowskie. 12 listopada 1918 r. uzbrojona grupa pojawiła się w Działoszycach, sterroryzowała żandarmów i przystąpiła do rabowania sklepów żydowskich [...]. W wyniku napadu zmarła kobieta trafiona przypadkową kulą” („Dalej jest noc”, t. 2, s. 26). Jako źródło tych informacji wskazano polską gazetę z 1918 r. oraz księgę pamięci (Yitzkor Book) Żydów z Działoszyc. Po sprawdzeniu wskazanych źródeł okazało się, że polska prasa opisywała te wydarzenia jako zwykły napad bandycki mętów



eprasa.pl d705243ad8



Działoszyce, rok 1915. Widok na rynek w czasie szabasu. W roku 1942 Niemcy dokonali akcji eksterminacyjnej ludności żydowskiej w tym mieście FOT. FORUM/RSW/FORUM

**Tekst Dariusza Libionki przerabia niemieckie akcje deportacyjne na operacje wręcz polsko-niemieckie lub przeprowadzane w dużej mierze przez Polaków**

korzystających z wojennego zamieszania i vacuum silnej władzy. W żydowskim Yitzkor Booku identycznie rzecz opisał Chaim Schwimmer: „Na Kielecczyźnie organizowano bandy, które napadały na właścicieli ziemskich i ich majątki, rabowały ludzi na drogach, a czasem też ich zabijały. Ofiarami tych gangów padło wiele osób, zarówno Żydów, jak i nie-Żydów. Na naszym terenie ludzie znali nawet przywódców tych rabusiów". Ofiarami napadu byli Żydzi, bo głównie oni zamieszkiwali Działoszyce, ale tu nie ma zajść antyżydowskich. Opowieść Libionki o pogromie Żydów u zarania polskiej niepodległości okazała się mistyfikacją.

Ale wspomniany autor czasem posuwa się dalej. Nagminnie wypaczając treść i sens zachowanej w Yad Vashem relacji Meira Godsteina, za którymś razem dwa jej fragmenty wplótł w swój tekst autorski. Całość brzmi tak: „Nasi »kochani Polacy« […] wskazywali miejsca, gdzie potajemnie modlili się Żydzi, powyciągali Żydów w tałesach na rynek i kazali im zamiatać ulice. Niemcy to filmowali, gdy »nasi goje dokuczali Żydom okropnie«" (s. 48). Oryginał relacji (usuniętej) brzmi tak: „Nasi »kochani Polacy«, pokazywali Niemcom, gdzie się modlimy, a Niemcy powynajdywali i powyciągali Żydów w tałesach i powyprowadzali Żydów na Rynek i na Targowisko tak zwane i tam kazali im zamiatać ulice. I robili zdjęcia, i śmiali się – nasi goje i dokuczali Żydom okropnie" (AYV, O.3/3229, w oryginale kluczowe słowo „Niemcy" podkreślono)". Goldstein opisał zatem, jak Niemcy dokuczali Żydom, ale treść jego relacji pocięto i zmieniono tak, że teraz to robią Polacy.

O przechowywaniu Żydów przez rodzinę Kisielów z Karczowic Libionka napisał: „Żandarmeria i granatowi dwukrotnie przeprowadzali rewizje [u Kisielów – przyp. P.G.], ale niczego nie znaleźli" (s. 131). Autor powołał się tu na zachowaną w Żydowskim Instytucie Historycznym relację Aleksandra Kisiela, w której czytamy: „Szukali u mnie bardzo dokładnie policjanci niemieccy, ale niczego nie znaleźli. Niemało zdrowia też kosztowało, gdy pewnego razu podczas łapanki, jaką Niemcy urządzili we wsi do pracy [przymusowej w Niemczech – przyp. P.G.], przebiegli do mnie wtedy w pogoni za dwoma gospodarzami, którzy skryli się u mnie w stodole. Znaleźli wtenczas u mnie tych dwóch i poszli" (ŻIH, 301/2636). Rewizję u Kisiela przeprowadzili zatem Niemcy, bez udziału polskich policjantów, których Libionka tutaj dopisał. Po zarzutach w tej sprawie postawionych w recenzji „Dalej jest noc" Tomasza Domańskiego autor odpowiedział: „Relacja Kisiela […] została spisana przez protokolanta i nie sposób ich treści traktować dosłownie". Historyk uznał zatem, że w kwestii tego, czy polska policja uczestniczyła w niemieckich działaniach czy nie, może pisać, co chce, bez względu na treść źródła. Taka deklaracja wyjaśnia, skąd w tekście Libionki można znaleźć do kilkunastu (!) uchybień na stronie.

## ZBRODNIE, KTÓRYCH NIE BYŁO

Ważną metodą „wytwarzania" polskich zbrodni i zbrodniarzy w dziełach „nowej szkoły badań Holokaustu" jest specyficzne posługiwanie się „sierpniówkami", czyli aktami śledztw i procesów rozliczających zbrodnie z czasów wojny. Niektóre z nich dotyczyły przestępstw wobec Żydów. Wiele osób skazano, ale część spraw umorzono na etapie śledztwa lub oskarżonych uniewinniono w sądzie. Często bowiem zdarzało się tak, że zarzuty



eprasa.pl d705243ad8

denuncjowania i zabijania Żydów w rzeczywistości były skutkiem osobistych porachunków i fałszywych oskarżeń. Te zaś po wojnie były prawdziwą plagą, szczególnie polskiej prowincji. Adepci wspomnianej szkoły badawczej nie przyjmują tych umorzeń i uniewinnień do wiadomości, stosując zasadę nawet nie domniemania, ale wręcz pewności winy. Oskarżenia, które okazały się zwykłą zemstą za pobicie na zabawie lub za zaoranie o 10 cm miedzy, a nawet absurdalne w treści anonimowe donosy stanowią na dużą skalę źródło informacji o rzekomych zbrodniach dokonywanych na Żydach przez Polaków. Takie metody działania są nawet postawą wyliczeń statystycznych. W książce Barbary Engelking „Jest taki piękny słoneczny dzień… Losy Żydow szukających ratunku na wsi polskiej 1942–1945" czytamy: „Przeanalizowałam 300 spraw sądowych, w których była mowa o 281 przypadkach denuncjacji (ofiarą tych doniesień padło 701 Żydów) oraz o 139 mordach, w których zginęło 473 Żydów". Mamy tu zatem sumowanie wszystkiego, o czym w aktach „była mowa" bez względu na to, czy to prawda. Można byłoby się śmiać w kułak, omawiając te oczywiste brednie, tylko ostrożnie: to wyniki badań z Polskiej Akademii Nauk.

Działanie takimi samymi metodami w książce „Dalej jest noc" stosuje także Dariusz Libionka. W jego artykule można np. przeczytać o udziale polskiego chłopa w śmierci ukrywającej się w okolicy Heleny Wandersman. Jak pisze autor, kobieta ta „została wypędzona z gospodarstwa Jana Słowińskiego przez Jana Skrzekowskiego, który później złapał ją w polu i doprowadził na posterunek w Wodzisławiu" (s. 169, w rzeczywistości Skrzekowski miał na imię Józef, a Słowiński – Jakub). Informacje te zaczerpnięto z akt śledztwa, które wszczęto na skutek doniesienia Wacława Kucharza. Jego zeznanie zawiera sprzeczności, a on sam pojawił się na posterunku MO nietrzeźwy. W czasie śledztwa jednoznacznie ustalono, że oskarżenia Kucharza okazały się fałszywe, i śledztwo umorzono. Jednak po latach akta te trafiły w ręce Dariusza Libionki, który zadziałał tak, jak robi się to w jego szkole badawczej: na podstawie fałszywego donosu pijaka opisał rzekome zaprowadzenie Żydówki przez Polaka na posterunek przez Jana (Józefa) Skrzekowskiego. Takimi samymi metodami autor ten pomówił więcej osób. Choćby Stefana Robaka, który miał wydać grupę Żydów ukrywających się w okolicy: „Ofiary zawieziono do Działoszyc lub Drożejowic i rozstrzelano. Jeden ranny został dobity następnego dnia. Donosiciel, Stefan Robak, otrzymał w nagrodę buty jednej z ofiar; jak się później okazało, były w nich schowane dolary" (s. 151). Jako dowód na potwierdzenie takiej wersji wydarzeń autor podał w przypisie: „Protokół przesłuchania Robaka, 28 I 1949". Przesłuchiwany Stefan Robak zeznał: „Ja wogóle nie pomagałem chwytać Ob.[ywateli] narodowości żydowskiej w czasie ich ucieczki, podczas okupacji niemieckiej, bo kiedy doszłem do nich, to oni byli już na wozie pod eskortą policjantów granatowych, wóz z nimi stał niedaleko mego domu" (pisownia oryginalna, AIPN Ki 127/328). Robak zaprzeczał zarzutom, nie dostał żadnych butów w nagrodę za udział w obławie, a sąd uniewinnił go od zarzutów udziału w obławie, którą zauważył już w trakcie jej trwania. Analogicznie historyk „przywołał" zeznania policjanta Antoniego Szafrańca, który miał opowiadać, jak zabijał Żydów (s. 158). Po sprawdzeniu akt okazało się, że jego oskarżyciel w ogóle nie stawił się w sądzie, policjant przedstawił wiarygodną wersję wydarzeń i został uniewinniony przez sąd (AIPN Kr, 502/937). Twierdzenia Libionki, jakoby jakiś Polak sam opisał swoje zbrodnie, znowu okazały się manipulacją.

## CO JESZCZE DA SIĘ „PRZYKLEIĆ" POLAKOM?

To nie jest żart: tekst Dariusza Libionki przerabia niemieckie akcje deportacyjne na operacje wręcz polsko-niemieckie lub przeprowadzane w dużej mierze przez Polaków. Tak jest w przypadku wspomnianego już miasteczka Działoszyce: „3 września [1942] rano rozpoczęło się wyprowadzanie Żydów z mieszkań i łapanie na ulicach. Zastrzelono niemogącego poruszać się o własnych siłach rabina Mordkę Icka Staszewskiego i wielu innych. Członek Judenratu zeznał po wojnie, że »akcję prowadziła raczej policja polska niż Niemcy« (s. 78)". Ten opis nie pozostawia wątpliwości, że kluczową rolę w czasie deportacji odegrali „granatowi" policjanci, którzy mieli być także odpowiedzialni za śmierć wielu Żydów, w tym rabina Mordki Icka Staszewskiego. Jednak oprócz jednego składającego fałszywe zeznania świadka (ów przywołany i zacytowany członek Judenratu Ignacy Skóra) Dariusz Libionka znał wiele innych, bardziej wiarygodnych źródeł na temat deportacji z Działoszyc, w tym relację Chaima Wolgelertnera: „Żydzi – od małego do dorosłego, mężczyźni, kobiety i dzieci – opuścili swoje domy i zebrali się na rynku. Można było wziąć ze sobą tobół do 10 kg. Ordnungsdienst razem z gestapo szli od mieszkania do mieszkania. Gdy znaleziono chorego lub starca, który nie mógł iść o własnych siłach na rynek, zabijano go strzałem na miejscu. Rabina Staszewskiego, staruszka, zabili w jego mieszkaniu. Takich przypadków było wiele". Wolgelertner stwierdził, że przeszukiwaniem żydowskich domów zajmowali się gestapowcy w asyście żydowskich policjantów. Ci pierwsi zabijali tych, którzy nie byli w stanie opuścić domu. Ale w „Dalej jest noc" (jak zwykle) Dariusz Libionka usunął informację o roli żydowskiej policji, a potem działania hitlerowców przypisał „raczej policji polskiej niż Niemcom", włącznie z zabójstwem rabina Staszewskiego. Zamiast snuć rozważania na temat definicji naukowego fałszerstwa, warto dodać, że podobnymi metodami autor przypisał Polakom odpowiedzialność za śmierć rabina ze Skały Lejba Seidmanna (s. 74).

Innym przykładem dokonań Libionki jest opis okoliczności śmierci dwóch lub trzech Żydów w 1944 r. pod Ojcowem: „Kolejnych troje Żydów (N.N.) odnaleziono w jaskiniach w okolicach Ojcowa. W akcji brało udział dwóch żandarmów i czterech granatowych. Bojąc się zejść do jaskiń, wrzucili do nich kilka granatów. Z pomocą miejscowych wyciągnięto dwie osoby, mężczyznę i kobietę, i zabito. Ranne kobiety wydobywano z kryjówek przy użyciu harpunów strażackich. Po przesłuchaniu zostały zabite przez policję. Były to żona i siostra fotografa ze Skały" (s. 154). Z tekstu wynika, że doszło do obławy miejscowej ludności na Żydów z udziałem niemieckich żandarmów i polskich policjantów. Mordu na uciekinierach mieli zaś dokonać „policjanci", a zatem bezsprzecznie „granatowi". Jako źródło tych informacji w książce przywołano dwa rodzaje



WWW.DORZECZY.PL



eprasa.pl d705243ad8

dokumentów: przechowywaną w ŻIH relację „ks. prałata Dobieckiego" (zapewne chodzi o ks. prałata Władysława Padacza, syna administratora miejscowego majątku ziemskiego Dobieckich) oraz dwa zeznania świadków zbrodni, Władysława Cieślika i Władysława Gajewskiego. Relacja „ks. Dobieckiego" jest niejasna i pochodzi „ze słyszenia". Naoczny świadek wydarzeń, Cieślik, zeznał: „Po wyciągnięciu tych dwoje Żydów zastrzelił niemiecki Ajgier [żandarm Rober Eigler – przyp. P.G.], a policjanci granatowi tylko byli obstawieni około tych lochów" (AIPN Kr, 509/949). Tak samo zeznał drugi świadek, Władysław Gajewski. Treść tych zeznań Libionka przemilczał, przypisując to zabójstwo „granatowym" policjantom. Skrytykowany we wspomnianej już recenzji Tomasza Domańskiego odpowiedział, że tamten „preferował" inne źródło – a on „relację ks. Dobieckiego". Czyli tutaj badanie historii nie polega na poszukiwaniu prawdy i rzetelnej krytyce źródeł, tylko „wypreferowaniu" tego, co się chce. Podręcznikowy przykład uprawiania pseudonauki.

Wiele wysiłków włożył Dariusz Libionka w próby „przepisania" na konto Polaków (lub uczynienia ich współsprawcami) niektórych zbiorowych mordów dokonanych przez Niemców. W innych przypadkach, kiedy niemieckie sprawstwo jest zbyt oczywiste, autor skupia się jedynie na „doklejeniu" do obrazu zbrodni okupanta jakiejś (zwykle wyssanej z palca) formuły współuczestnictwa Polaków. Typowym przykładem jest tu sposób wykorzystania książki Jerzego Michała Żelaśkiewicza „Społeczność żydowska w Książu Wielkim do 1942 r.". Libionka pisze: „Wysiedlenie przeprowadzali żandarmi i miejscowi granatowi. Całością dowodzić miał [żandarm – przyp. P.G.] Baumgarten. Policja polska, jak zeznał jeden z ocalałych, zastrzeliła 16 Żydów". W przypisie dodano: „Polski świadek mówi nawet o stu zabitych" (s. 73–74). Zdanie w przypisie jest kontynuacją zdania z tekstu głównego, więc przekaz jest jasny: polska policja zabiła ponad 100 Żydów. Informacja ta ma pochodzić ze wspomnianej książki Żelaśkiewicza. W tej jednak czytamy: „Po drodze w lesie Strzyganiec, 6 km przed Miechowem zamordowano około 100 kobiet, starców i dzieci". A zatem Żelaśkiewicz nie napisał nic o 100 ofiarach „granatowej policji" w Kazimierzy Wielkiej, tylko o Żydach, których Niemcy zamordowali w czasie deportacji. Ale jeśli się tak sprytnie „poskleja" dwie różne informacje, to niezorientowany czytelnik przeczyta o zabiciu przez polską policję ponad 100 Żydów. Kłopot w tym, że takiej informacji nie ma w dostępnych źródłach. Wersja wydarzeń Dariusza Libionki jest manipulacją.

**Oskarżenia, które okazały się zwykłą zemstą za pobicie na zabawie lub za zaoranie o 10 cm miedzy, a nawet absurdalne w treści anonimowe donosy stanowią na dużą skalę źródło informacji o rzekomych zbrodniach dokonywanych na Żydach przez Polaków**

W innym fragmencie tekstu autor zajął się niemiecką zbrodnią pod Słomnikami: „Od 120 do 150 mężczyzn, kobiet i dzieci zamordowano w lesie Niedźwieckim; większość ofiar stanowili wyłapani w okolicy uciekinierzy z różnych miejscowości. Zamknięto ich w budynku szkoły. Przybyli następnego dnia żandarmi z pomocą strażaków wywozili Żydów do lasu i rozstrzeliwali. Granatowi i strażacy mieli stanowić wyłącznie »bierną osłonę«, lecz trudno traktować takie zeznania bezkrytycznie" (s. 92–93). Czyli Polacy wyłapali wielu Żydów, bo żandarmeria przybyła „następnego dnia", a w ich mordzie uczestniczyli „granatowi" i strażacy.

Zeznania świadków, na których opierał się autor, przedstawiają tę historię inaczej: grupa ponad 100 Żydów poruszała się w kierunku Działoszyc, ale zatrzymał ją żandarm Robert Moser. Jego przełożony, znany zbrodniarz Rudolf Beck, zarządził zamknięcie ich na noc w miejscowej szkole i rozstrzelanie na drugi dzień. Niemcy zamordowali wtedy ponad 100 Żydów, używając – pod karą śmierci w wypadku odmowy – strażaków do kopania dołu i udziału w transportowaniu Żydów. „Granatowych" użyli do obstawienia terenu. Po sprawdzeniu źródeł okazało się zatem, że żandarmi niemieccy nie przybyli na miejsce „na drugi dzień", co wskazywało, że to ofiary złapane przez miejscowych, zatrzymał ich (sam) konkretny funkcjonariusz żandarmerii. Ale Libionka zmienił przebieg wydarzeń, usuwając z historii kluczową rolę i imiona dwóch niemieckich żandarmów – organizatorów i sprawców zbrodni. Ich działania zmienił na czytelne sugestie, że Żydów wyłapali i czynnie uczestniczyli w ich mordzie Polacy. W tym tekście dokonano kolejnych manipulacji, przypisując Polakom m.in. współudział w zabójstwie kilkudziesięciu Żydów zabitych przez niemieckich żandarmów w Mistrzowicach. Taki jest ten tekst Dariusza Libionki: różnymi machinacjami, wbrew treści źródeł, obciąża on Polaków najmniej współodpowiedzialnością za setki (!) zamordowanych przez Niemców Żydów.

## BEZKARNE MANIPULACJE

Książka „Dalej jest noc" jest niespotykaną w Polsce od stalinowskich lat 50. mieszaniną mnóstwa manipulacji i przeinaczeń. O ile jednak zarówno sama Barbara Engelking, jak i większość autorów tej pracy nie błyszczy warsztatem naukowym, o tyle udział w tym przedsięwzięciu Dariusza Libionki budzi niedowierzanie. To historyk z dużym i wartościowym dorobkiem, w mojej ocenie jeden z najlepszych znawców źródeł tej epoki w Polsce. Mimo to jednak wyraźnie dostosował się do reguł obowiązujących w „nowej polskiej szkole badań Holokaustu", publikując tekst zawierający rzadko spotykaną w nauce liczbę uchybień i nadużyć. Ów historyk z Polskiej Akademii Nauk, czytający na temat swojego tekstu z „Dalej jest noc" tak ciężkie zarzuty, milczy albo – jak w wypadku recenzji Tomasza Domańskiego – odpowiada w sposób urągający elementarnym zasadom nauki i świadczący o daleko posuniętym poczuciu bezkarności. Jak się wydaje, w warunkach polskich w pełni uzasadnionym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8



KOMUCHOŻERCA

# Hotel Polski

LESZEK ŻEBROWSKI

Każda konspiracja to przede wszystkim tajemnice. Niektóre z nich szybko wychodzą z ukrycia, na poznanie innych czekamy latami, ale też wiele z nich już na zawsze pozostaje w ukryciu. Tak jest z tajemniczą sprawą Hotelu Polskiego w Warszawie i próbami ratowania najbogatszych Żydów z getta. Rzecz dotyczyła uzyskania paszportów państw egzotycznych (m.in. Paragwaju, Urugwaju, Haiti, Peru, Boliwii), które zwalniały polskich Żydów z większości restrykcji niemieckich, ponadto dawały szansę wyjazdu z Generalnego Gubernatorstwa.

Starały się o to niektóre organizacje żydowskie w porozumieniu z dyplomatami RP w Europie. Inicjatywy, które dawały choć cień szansy na wyrwanie się z rąk niemieckich, warte były każdych pieniędzy i nic dziwnego, że nieszczęśnicy, licząc na łut szczęścia, chcieli korzystać z każdej okazji. Gromadzili się oni w Hotelu Polskim w Warszawie. Do dyspozycji było kilka tysięcy paszportów egzotycznych państw neutralnych. Ci, którzy je szczęśliwie otrzymali (rzecz jasna, niebezinteresownie), oczekiwali na wyjazd do Francji i dalej, czekając na opuszczenie terenów zajętych przez III Rzeszę. Przez Hotel przewinęło się ponad 2,5 tys. osób. Pierwsze grupy zostały wysłane na teren Francji, skąd informowały rodziny i znajomych, że akcja jest skuteczna. Chodziło jednak tylko o zwabianie innych. Następnie ludzie ci trafiali do obozów koncentracyjnych.

Dziś praktycznie nie mówi się o najważniejszych wątkach tej afery – niemieccy organizatorzy prowokacji po wojnie nie odpowiedzieli za swe czyny, ponieważ z niewiadomych powodów nikt ich nie ścigał. Ale mieli oni istotnych pomocników, którzy łatwiej ściągali ofiary do hotelu. Należeli do nich żydowscy kolaboranci w getcie, tacy jak Lolek Skosowski i Adam Żurawin, dysponujący w Warszawie swymi siatkami kolaborantów. Posługiwali się celebrytkami w getcie, m.in. piosenkarką Wierą Gran.

Jest jeszcze jeden wątek tej sprawy, najmniej znany. Komunistyczna agentura, która działała na rzecz Niemców, ale powiązana była z wywiadem sowieckim i PPR-owskim. Był to przede wszystkim Bogusław Hrynkiewicz – „Aleksander", „Inspektor z Białegostoku", „Lux". Był to agent sowiecki w Warszawie, który działał w strukturach PPR i GL, Delegatury Rządu, Miecza i Pługa i nie wiadomo gdzie jeszcze. Pomagała mu Zuzanna Sobierajska (później została jego żoną). Miał on bardzo dobre kontakty po obu stronach muru i łatwiej mu było napędzać ochotników na wyjazd. Cała akcja była bardzo intratna, stąd brało się takie nią zainteresowanie. Przeżyło ją zaledwie ok. 300 osób, reszta zginęła, poświęcając przedtem majątki. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

# Preludium rzezi galicyjskiej

SŁAWOMIR KOPER

Pomimo klęski powstania listopadowego organizacje emigracyjne przygotowywały kolejną insurekcję mającą tym razem objąć wszystkie trzy zabory. Jej wybuch zaplanowano na pierwsze miesiące 1846 r., ale skuteczne działania policji rosyjskiej i pruskiej sparaliżowały zamiary konspiratorów. W Królestwie Polskim, rządzonym twardą ręką przez namiestnika Iwana Paskiewicza, nie doszło praktycznie do żadnych wystąpień, a niewielkie rozruchy w zaborze pruskim zostały szybko spacyfikowane. Inaczej natomiast potoczyły się losy zrywu w Galicji, gdzie głównym przeciwnikiem powstańców mieli się okazać właśnie poddani, a wojsk austriackich oczekiwano czasami jak wybawienia.

Dwór wiedeński przyjął bowiem inną taktykę niż Berlin i Petersburg. Trwała mroźna i śnieżna zima, komunikacja z centralną częścią monarchii była sparaliżowana, a w Galicji stacjonowały stosunkowo niewielkie siły zbrojne. Władze austriackie zdecydowały się zatem na użycie najgroźniejszej broni i kiedy 21 lutego 1846 r. w Krakowie proklamowano utworzenie Rządu Narodowego, od trzech dni trwały już wystąpienia chłopskie. Od pewnego czasu miejscowi starostowie przyjmowali bowiem delegacje włościan, strasząc chłopów, że „panowie Polacy" usuną administrację, a ich samych zagonią do jeszcze cięższej pracy. Zachęcano do atakowania powstańców, obiecując nagrody pieniężne za każdego dostarczonego rebelianta. Za martwych płacono zresztą znacznie więcej niż za żywych! Z Jakubem Szelą, który miał stanąć na czele rabacji, już wcześniej rozmawiał starosta tarnowski Joseph Breinl von Wallerstern.

Austriacy w mistrzowski sposób wykorzystali największą słabość powstańców – brak rozwiązania kwestii chłopskiej. Agitację na wsi prowadzono bowiem bez przekonania, dominował pogląd, że najważniejsza jest niepodległość, a na pozostałe sprawy przyjdzie czas później. Popełniono tragiczny błąd, galicyjscy chłopi uważali się bowiem za „cesarskich", a szlachta była wyłącznie „panami", od których doznawali krzywd. Włościanie nie posiadali zresztą na ogół świadomości narodowej, a określenie „Polak" było dla nich synonimem obelgi.

Powstanie zakończyło się klęską, zanim jeszcze na dobre się rozpoczęło. Większość ochotników z powodu potężnych opadów śniegu nie potrafiła nawet dotrzeć na miejsca koncentracji. W Tarnowie władze aresztowały niemal wszystkich spiskowców, katastrofą zakończyła się insurekcja w Krakowie. Prawdziwe nieszczęścia miały jednak dopiero nadejść, gdyż na powracających powstańców czekały chłopskie gromady i w Galicji rozpoczęło się prawdziwe polowanie na ziemian. ©℗



eprasa.pl d705243ad8




# NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!




## NASI NAJWIĘKSI HETMANI – AUTORSKI RANKING JACKA KOMUDY

**Pięć lwów Lechistanu** – Wielcy wodzowie tworzyli legendę dawnej Polski. Byli wybawicielami, obrońcami i lwami warującymi na granicach Lechistanu. Kiedy ich zabrakło, sarmacka republika zaczęła walić się w otchłań

**Polacy z NKWD przeciw UPA** – Większość moich rozmówców była przekonana o słuszności swojej decyzji o wstąpieniu do Istriebitielnych Batalionów – mówi prof. Damian K. Markowski

**Średniowieczne lekarki na ratunek** – Kiedy wspomina się słynne kobiety średniowiecza, na myśl przychodzą przede wszystkim królowe i święte. A przecież fascynującym rozdziałem historii są losy ówczesnych lekarek i uzdrowicielek

**Wolność na Placu Czerwonym** – Maleńki protest pod murami Kremla wywołał całą lawinę zdarzeń

**Polska misja Hoovera** – Tysiące polskich dzieci maszerowało w Warszawie przed wzruszonym Herbertem Hooverem, przyszłym prezydentem USA, wyrażając wdzięczność za ratunek przed głodem

**Szumowiny Kamińskiego** – Żołnierze Bronisława Kamińskiego okazali się zgrają degeneratów, których nawet Niemcy mieli dość w swoich szeregach. Pełnię swojego okrucieństwa ci Rosjanie w służbie III Rzeszy pokazali w trakcie powstania warszawskiego

## I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl d705243ad8

# Czy Złota Kopuła zmieni świat




Gdyby Złota Kopuła powstała, to USA – niewrażliwe na szantaż nuklearny – mogłyby dyktować warunki Rosji i Chinom

FOT. JOYCE N. BOGHOSIAN/ OFFICIAL WHITE HOUSE PHOTO



*Robert Bogdański*

**Donald Trump wszystko musi mieć złote, więc gdy na początku prezydentury ogłosił budowę chroniącego Amerykę systemu przeciwrakietowego o nazwie Złota Kopuła, wiele osób podeszło do tej zapowiedzi z lekceważeniem. Ot, jeszcze jedna złota zabawka, która jest największa i najbardziej błyszcząca na świecie. I która zostanie zapomniana, gdy tylko jej pomysłodawcy minie entuzjazm**

Oszałamiające tempo działań drugiej administracji Trumpa sprawiło, że kontury projektu prędko się zatarły, przysypane wielością wydarzeń. Tymczasem może się okazać, że realizowany obecnie program doprowadzi do przełomu w walce o światowy prymat poprzez zniszczenie podstaw równowagi strategicznej. Złota Kopuła jest o wiele poważniejszym projektem, niż na to wskazuje jej nazwa.

Nazwa nawiązuje do izraelskiego systemu obronnego o nazwie Żelazna Kopuła, która chroni niemal cały kraj, co jest wynikiem imponującym w skali światowej, choć należy pamiętać, że Izrael ma powierzchnię nieco tylko większą od województwa zachodniopomorskiego, a ponieważ prawie połowę z tego stanowi pustynia, więc do ochrony jest mniej więcej tyle, ile ma Lubuskie. Ponieważ ochrona przeciwlotnicza Izraela jest uznawana za najlepszą w świecie, a mimo tego zmasowane ataki Iranu częściowo ją pokonały, daje to niejakie pojęcie o skali problemu, gdyby zechcieć chronić kraj tak wielki jak Stany Zjednoczone. Dlatego m.in. pomysł Trumpa wielu potraktowało jako czcze przechwałki.

Oczywiście pokrycie całego terytorium Ameryki systemami składającymi się z wyrzutni antyrakiet byłoby absurdalnie drogie, a poza tym nie gwarantowałoby sukcesu, bo takie systemy są mało skuteczne wobec rakiet balistycznych dalekiego zasięgu. Systemy takie jak Patriot trafiają bowiem swoje cele w końcowej fazie lotu, a prędkość międzykontynentalnej rakiety balistycznej może wtedy sięgać nawet 20 machów, czyli ponad 24 tys. km/h, więc celny strzał jest niemal niemożliwy. Balistyczne rakiety krótkiego zasięgu rozwijają prędkość mniej więcej 10-krotnie mniejszą i tu skuteczność przeciwrakiet jest wysoka.

## GWIEZDNE WOJNY

Stany Zjednoczone dysponują pociskiem o symbolu FTG-12, który jest zdolny trafić rakietę balistyczną średniego zasięgu w środkowej fazie lotu, czyli po wyniesieniu ponad atmosferę ziemską. W roku 2023 z bazy Vandenberg wystrzelono taki pocisk do ćwiczebnego celu i uzyskano trafienie. Było to 12. trafienie na 21 testów, które przeprowadzono od początku wieku, co daje ok. 60 proc. celności. Biorąc pod uwagę, że obecnie Amerykanie dysponują 44 wyrzutniami, a do każdej rakiety nadlatującej należałoby wystrzelić dwie przeciwrakiety, żeby mieć choć teoretyczną pewność zestrzelenia, nie ma mowy o obronie przed zmasowanym atakiem nuklearnym, bo już 20 rakiet wysycałoby zasoby. Jest to raczej obrona przed pojedynczym atakiem, np. takim, jakiego mogłaby dokonać Korea Północna. Każdy, kto obejrzał nakręcony w ubiegłym roku film „Dom pełen dynamitu", który właśnie o takim ataku opowiada, wie, że system może po prostu zawieść. I nie musi się tak stać dlatego, że to lepiej wygląda w scenariuszu. W filmie wystrzelono dwie przeciwrakiety, z których jedna miała po prostu awarię, co się zdarza, a druga nie trafiła w cel. Efektem było zniszczenie wybuchem jądrowym Chicago, a ponieważ prezydent zarządził uderzenie odwetowe, a Rosjanie zinterpretowali je jako uderzenie na swoje terytorium, nastąpiła błyskawiczna eskalacja i zagłada atomowa, której na szczęście w obrazie nie pokazano.

Film był oczywiście jedynie kreacją artystyczną, w dodatku stworzoną przez



eprasa.pl d705243ad8



ludzi przerażonych nie tyle wizją zagłady ich kraju, ile samym istnieniem broni jądrowej, ale nie można odpowiedzialnie powiedzieć, że była to kreacja oderwana od realiów. Zagrożenie istnieje. I odpowiedzią na takie właśnie zagrożenie jest Złota Kopuła. Po raz pierwszy o takim systemie obronnym zaczęto mówić w połowie lat 80. XX w., gdy Ronald Reagan wyszedł z projektem Strategicznej Inicjatywy Obronnej (SDI), która zakładała niszczenie rakiet przeciwnika poza atmosferą ziemską. Sowieccy propagandyści, zdając sobie sprawę z zagrożenia, postanowili przeciwdziałać przynajmniej na gruncie, na którym mogli nawiązać równorzędną walkę, i puścili w obieg prześmiewcze określenie „wojny gwiezdne". Przyjęło się ono na Zachodzie, gdzie antyamerykanizm był wówczas równie mocny jak obecnie i tzw. szeroka publiczność uznała Reagana za wariata, który chce wygrać z Moskwą przy pomocy mieczów świetlnych.

SDI była na szczęście tylko jednym z elementów szerokiej akcji amerykańskiego przyspieszenia w dziedzinie zbrojeń i rychło okazało się, że gospodarka Związku Sowieckiego nie wytrzymała rywalizacji nawet przy zarzuceniu tego projektu. Potem świat pogrążył się w złudzeniu pokojowego współistnienia, ostatnim prezydentem, który miał na biurku taki system obronny, był George Bush w roku 1991, a potem rozpoczęto redukowanie nakładów militarnych, więc sprawa przycichła. Do czasu, gdy Donald Trump ogłosił, że będzie budował Złotą Kopułę. Przy czym, o ile w czasach Reagana pomysł, na którym oparty był system antyrakietowy, był potwornie drogi i technicznie zawodny, o tyle obecnie nastąpił znaczny postęp: system jest jedynie drogi, a pod względem technicznym możliwy do wykonania.

Na czym on polega? Dwie kwestie są tu znamienne: faza lotu rakiety balistycznej, w jakiej następuje atak na nią, oraz środek, jaki służy do ataku. Lot rakiety balistycznej ma różne fazy, w czasie których jest ona w sposób zasadniczo odmienny widoczna dla urządzeń obserwacyjnych. Pierwsza faza to wyniesienie poza atmosferę ziemską, gdy działają silniki rakietowe i rakieta jest widoczna najlepiej. Jeden ze specjalistów porównał ją do płonącej stodoły wznoszącej się na wysokość dziesiątków kilometrów. Faza ta trwa od 120 do 300 sekund, w zależności od zasięgu rakiety, i wtedy atak jest najłatwiejszy zarówno ze względu na widoczność, jak i relatywnie mniejszą prędkość. Wtedy właśnie do akcji wchodzi Złota Kopuła. Jasne jest, że nie może ona używać antyrakiet, bo zestrzelenie celu musi następować w pobliżu miejsca startu wrogiej rakiety, więc posłanie tam pocisku stacjonującego na własnym terytorium jest fizyczną niemożliwością. Pociski muszą zatem krążyć na orbicie i być w stałej gotowości do uderzenia. Nie mają one żadnych ładunków wybuchowych, a niszczą cel po prostu poprzez uderzenie. Biorąc pod uwagę, że zarówno cel, jak i pocisk mają prędkość po kilka tysięcy kilometrów na godzinę, energia kinetyczna takiego uderzenia jest wystarczająca.

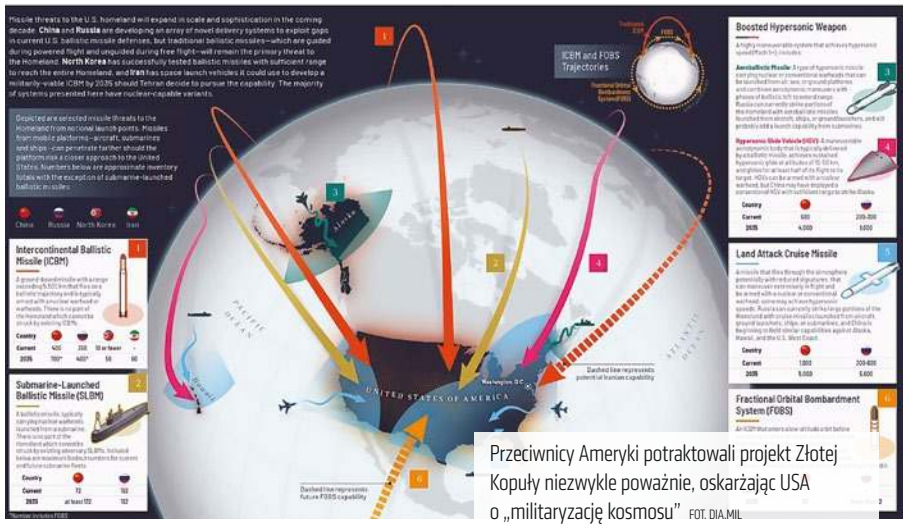
## KOSZT: SETKI MILIARDÓW

Problem z budową takiego układu polega po pierwsze na stworzeniu odpowiedniej sieci wykrywającej – powinna ona obejmować praktycznie cały świat – oraz rozmieszczeniu wielu tysięcy pocisków, które już za czasów Reagana ochrzczono mianem „inteligentnych kamieni", w taki sposób, aby w ciągu kilkudziesięciu sekund były w stanie uderzyć w dowolny obiekt wystrzeliwany ponad atmosferę. Czterdzieści lat temu taki projekt wyglądał, jak science fiction i nic dziwnego, że nazwa „wojny gwiezdne" tak dobrze się zakorzeniła, ale teraz, gdy wyniesienie na orbitę kilograma ładunku kosztuje ok. 2 tys. dol., czyli 25 razy mniej niż za czasów Reagana, jest to plan jak najbardziej realny. W dodatku przez tych kilka dekad technologia i miniaturyzacja poszły tak bardzo naprzód, że satelity bojowe wypuszczające „kamyki" nie musiałyby już mieć wielkości sporego samochodu, jak wtedy, ale byłyby całkiem niewielkimi urządzeniami, mającymi metr–półtora metra średnicy. Co za tym idzie, koszt całego przedsięwzięcia, choć nadal wysoki, byłby możliwy do poniesienia.

Bardzo trudno jest ocenić, ile taka instalacja mogłaby kosztować. Donald Trump w czasie prezentacji w Gabinecie Owalnym mówił o kwocie 175 mld dol. Nie jest przy tym jasne, do czego tę kwotę można odnieść. Być może chodzi tylko o koszt początkowy, a prezydent przezornie, jak dobry sprzedawca, nie podał kosztu dalszej eksploatacji. Ekspert American Enterprise Institute, Todd Harrison, przedstawił wariantowe wyliczenia w ciągu życia projektu zaplanowanego na 20 lat. Kwoty wahają się od 50 do 180 mld dol. rocznie, przy czym ta ostatnia zakłada budowę systemu, który byłby zdolny do zapewnienia założonej przez Trumpa „prawie stuprocentowej" ochrony. Czy tego rodzaju dodatkowe wydatki byłyby w stanie unieść amerykański budżet wojskowy? W roku 2026 wyniesie on ok. 900 mld, a na Złotą Kopułę przeznaczono w nim 25 mld. Jednak w roku następnym – według niedawnych zapowiedzi Trumpa – budżet wojskowy ma wzrosnąć do półtora biliona. Nie ulega kwestii, że jednym z zasadniczych powodów takiego skokowego wzrostu jest chęć zbudowania właśnie Złotej Kopuły. Gdyby wyliczenia Harrisona były prawdziwe, wówczas taka wielkość wydatków musiałaby się utrzymać w dłuższej perspektywie. Nie jest to żadnym historycznym ewenementem, bo obecny budżet w relacji do PKB to ok. 3,5 proc., po wzroście byłoby to



eprasa.pl d705243ad8




Przeciwnicy Ameryki potraktowali projekt Złotej Kopuły niezwykle poważnie, oskarżając USA o „militaryzację kosmosu" FOT. DIA.MIL

ok. 5 proc., a w czasie prezydentury Reagana ta proporcja była jeszcze większa i wynosiła ok. 6 proc. Podjęcie takiego finansowego wysiłku jest tym bardziej prawdopodobne, że Trump chciałby przejść do historii jako prezydent, za którego kadencji zrealizowano by projekt dający jego krajowi bezpieczeństwo i przewagę w kształtującym się na nowo świecie. Jego następcy, nawet z przeciwnego obozu politycznego, byłoby trudno obciąć tak poważny program obronny.

## CO Z DOKTRYNĄ MAD?

Dlaczego realizacja Złotej Kopuły może mieć to przełomowe znaczenie nie tylko dla Ameryki? Dotychczasowy system bezpieczeństwa światowego był zbudowany na zasadzie wzajemnego zagwarantowania zniszczenia. Mocarstwa posiadające strategiczne zasoby nuklearne miały w przypadku, gdyby przeciwnik na nie uderzył, możliwość wykonania uderzenia odwetowego, niszczącego napastnika. W praktyce dotyczyło to Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego, potem Rosji, teraz dołączają Chiny, które za 10 lat będą miały te same możliwości nuklearne co pozostali. Ten dość przerażający system powodował, że wyprowadzenie ataku nuklearnego było możliwe wyłącznie przy wzięciu na siebie ryzyka zniszczenia swojego kraju, więc nikt przy zdrowych zmysłach się na to nie decydował. Ważnym szczegółem jest przy tym to, że Ameryka, ze względu na strukturę swoich sił nuklearnych, w której jest stosunkowo niewiele głowic mniejszej mocy, czyli taktycznych, jest w nieco słabszej pozycji w sytuacji, gdyby przeciwnicy zaatakowali na izolowanym teatrze wojennym przy pomocy broni taktycznej. Braki w arsenale mogłyby spowodować, że Amerykanie, planując ewentualny odwet, musieliby wziąć na siebie ciężar decyzji o wejściu na poziom konfliktu strategicznego. Można zatem sobie wyobrazić teoretyczną sytuację, w której np. Korea Północna atakuje swojego południowego sąsiada rakietą o małej mocy, a Stany Zjednoczone zmuszone byłyby uciec się do wysłania rakiety strategicznej, która mogłaby wywołać symetryczną odpowiedź Chin lub Rosji, więc atak nuklearny pozostałby bez odpowiedzi. Z katastrofalnymi konsekwencjami wojskowymi i politycznymi.

Stworzenie skutecznej zasłony przeciwko atakowi rakietami balistycznymi całkowicie odmieniłoby tę sytuację. Doktryna MAD (Mutually Assured Destruction) ległaby w gruzach. Co więcej, system obronny nie musiałby być idealny, czyli nie musiałby wyłapywać 100 proc. rakiet. Wystarczyłaby skuteczność na poziomie ponad 90 proc. Owszem, dawałoby to napastnikowi możliwość zadania Ameryce poważnych strat, ale w zamian oznaczałoby jego całkowite zniszczenie, więc rozpoczynanie wojny jądrowej byłoby całkowicie bezsensowne. Rosja nie mogłaby już straszyć Zachodu atakiem jądrowym, co ostatnio wielokrotnie z sukcesem czyniła, choćby po to, aby spowolnić pomoc dla Ukrainy, a propagandyści ufryzowani na politologów w rodzaju Karaganowa nie mogliby pisać, że Ameryka nie zechce poświęcić Bostonu za Poznań, jak to mu się zdarzyło.

Stany Zjednoczone, zabezpieczone przed zmasowanym atakiem, mogłyby – niewrażliwe na szantaż nuklearny – dyktować warunki reszcie świata, czyli w praktyce Rosji i Chinom. O tym, że oba te mocarstwa potraktowały projekt Złotej Kopuły śmiertelnie poważnie, świadczy wspólne oświadczenie wydane przez ich ministrów spraw zagranicznych przy okazji rocznicy zwycięstwa nad Rzeszą Niemiecką. Oskarżono w nim Stany Zjednoczone o „militaryzację kosmosu", chęć uzyskania „decydującej przewagi militarnej" i wyrażono obawę o zachwianie „światowej równowagi strategicznej".

Co do oskarżeń o „militaryzację kosmosu", to trącą one hipokryzją, bo zarówno Chiny, jak i Rosja same testowały możliwość użycia broni antysatelitarnej i z pewnością nie zawahałyby się przed budową własnej „kopuły" chroniącej przed atakiem nuklearnym, gdyby tylko miały takie techniczne możliwości. Natomiast co do zachwiania „światowej równowagi strategicznej" wypada się z ministrami Ławrowem i Wangiem Yi zgodzić. Tak, zbudowanie Złotej Kopuły pozbawiłoby oś Moskwa – Pekin najgroźniejszego argumentu pozwalającego prowadzić agresywną politykę. Oznaczałoby, że po krótkim zachwianiu dominacji Ameryki, gdy pojawiła się możliwość budowy świata bipolarnego, zwanego dla niepoznaki multipolarnym, wracalibyśmy do świata unipolarnego z Waszyngtonem jako stolicą świata.

Konsekwencje tego byłyby trudne do oszacowania. Pierwszą z brzegu byłoby okiełznanie imperialnych zapędów Rosji. Także Tajwan pozostałby raczej poza zasięgiem Chin. Byłoby możliwe zatrzymanie terrorystycznego rozwoju sił jądrowych Korei Północnej. Inną konsekwencją byłoby przeniesienie wyścigu zbrojeń w przestrzeń kosmiczną. To ostatnie już się dzieje, jednak gdyby Złota Kopuła powstała, zwłaszcza Chiny zyskałyby potężny bodziec do jego przyspieszenia. Wreszcie konsekwencja najbardziej niepokojąca, bo zmieniająca paradygmat myślenia o broni ostatecznej. Do tej pory, po Hiroszimie i Nagasaki, jej użycie było objęte tabu, było w wielu sensach „nie do pomyślenia". Teraz powstawałaby pokusa układania porządku światowego przy pomocy szantażu nuklearnego. Ponieważ odbywałoby się to w imię dobra i pokoju, bardzo trudno byłoby taką pokusę pokonać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8




FOT. FOX54 NEWS/INSTAGRAM

## ŻONGLER NA JEZDNI

Na dużym skrzyżowaniu w Commerce City (stan Kolorado) doszło do zatrzymania ruchu samochodowego. A wszystko przez mężczyznę, który postanowił urządzić niespodziewany „spektakl uliczny". Żonglował bowiem płonącymi pochodniami, poruszając się rowerem jednokołowym wśród pojazdów czekających na zielone światło. Na prośbę kierowców interweniowała policja. Wydarzenie zostało nagrane z drona. Choć sprawca zamieszania naruszył przepisy, to został przez stróżów prawa potraktowany ulgowo.

## NIE TEN SAMOLOT

Pasażer linii United Airlines wsiadł w Los Angeles do niewłaściwego samolotu. Miał polecieć do Managui z międzylądowaniem w Houston. Tymczasem udał się w zupełnie innym kierunku. Kiedy myślał, że leci z Los Angeles do Houston, po jakimś czasie przyszło mu do głowy, że podróż trwa za długo. Zapytał zatem personel pokładowy, co się dzieje. Wtedy się dowiedział, że... leci do Tokio. United Airlines wzięły na siebie odpowiedzialność za pomyłkę i ostatecznie zaoferowały mężczyźnie 1 tys. dol. rekompensaty.

## HORROR

Pasażerski samolot południowokoreańskich linii lotniczych stracił jedno z kół podczas lądowania na lotnisku w Tajpej. Ostatecznie udało się uniknąć katastrofy i nikomu nic się nie stało. Niemniej na lotnisku nastąpiło czasowe zamknięcie pasa startowego. W efekcie trzy inne samoloty nie mogły wylądować. Pozostało im krążyć nad lotniskiem. A było to bardzo ryzykowne, ponieważ maszynom kończyło się paliwo, wysłały zatem sygnały alarmowe. W końcu ich horror też się szczęśliwie zakończył.

## ZMANIPULOWANA

Przed sądem w Monachium stanęła Niemka, która w roku 2014 udała się z potomstwem do Syrii – na obszar kontrolowany przez Państwo Islamskie. Wcześniej znalazł się tam jej mąż. Zaangażował się on w wojnę domową po stronie dżihadystów i w konsekwencji podczas walk zginął. Prokuratura oskarżyła kobietę o członkostwo w organizacji terrorystycznej. Postawiła też zarzut poważnego zaniedbania macierzyńskiego. Kobieta broni się, że była młoda, naiwna i zmanipulowana przez męża.

## EJDŻYZM

W jednym z tokijskich pubów wprowadzono nietypowe ograniczenie. Jak informuje tabliczka przy wejściu, lokal jest przeznaczony dla osób poniżej 40. roku życia. Starsi goście mogą wejść tylko pod pewnymi warunkami. Jeden z nich jest taki, że będą przebywać w towarzystwie przynajmniej jednej osoby poniżej czterdziestki. Według przedstawiciela sieci, do której należy pub, starsi klienci skarżyli się na hałas w lokalu. ©℗

***Filip Memches***



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

# Walka o Całun Turyński

Całun Turyński. Lniane płótno z wizerunkiem mężczyzny ze śladami męki od dawna budzi ogromne kontrowersje. Dla wielu to jeden z namacalnych dowodów na Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, a co za tym idzie – potwierdzenie fundamentu wiary chrześcijańskiej.

Dla innych Całun to fałszerstwo, stworzone przy pomocy średniowiecznego reliefu. Właśnie taką tezę postawił brazylijski grafik Cicero Moraes, tworząc model 3D i prezentując w 2025 r. hipotezę, że Całun został stworzony z pomocą średniowiecznego reliefu.

W sporze o pochodzenie Całunu Turyńskiego doszło do kolejnego zwrotu akcji. Włoscy naukowcy – Tristan Casabianca, Emanuela Marinelli i Alessandro Piana – na łamach czasopisma „Archaeometry" podważyli hipotezę Moraesa o średniowiecznym pochodzeniu Całunu, zarzucając Brazylijczykowi liczne błędy metodologiczne, m.in. to, że pracował z bawełną, a nie z płótnem lnianym, wykorzystał relief, który odwzorowuje ciało tylko z przodu, a także arbitralnie ustalił wzrost. Do tego pracował jedynie z reprodukcją płótna z roku 1931, choć istnieją nowsze i dokładniejsze reprodukcje. A jednocześnie – na co zwracają uwagę Włosi – czerpał z niejednolitych materiałów pod względem czasu i miejsca, pomijając podstawy historii sztuki. Moraes pominął też ślady krwi, które odpowiadają opisowi Ewangelii.

Naukowcy od lat spierają się też co do wieku Całunu Turyńskiego. Część zakłada, że powstał między rokiem 1260 a 1390. Jednak gdy w 2022 r. włoscy naukowcy zbadali fragment płótna metodą rozpraszania promieni rentgenowskich (WAXS), okazało się, że tkanina ma ok. 2 tys. lat, co zbliżałoby Całun to czasów Jezusa...



eprasa.pl d705243ad8

# Wolność wirtualna



*Maciej Pieczyński*

**W rosyjskim Internecie można znaleźć właściwie wszystko. Jeszcze do niedawna był on bodaj jedyną oazą wolności w państwie Putina. Nic dziwnego, że władze postanowiły ją osuszyć**

W 1999 r. Władimir Putin, jeszcze przed objęciem prezydenckiego fotela, obiecał, że w ciągu kolejnych 15 lat nie będzie podejmował żadnych prób cenzury Internetu. Ta informacja pojawiła się w nakręconym w 2019 r. serialu dokumentalnym w reżyserii Andrieja Łoszaka, poświęconym historii Runetu (tak nazywany jest rosyjski Internet). Słowa dotrzymał. Z czasem powoli zaczął wolność w sieci ograniczać. Wciąż jednak Runet pozostawał zaskakująco swobodną przestrzenią. Wręcz anarchistyczną.

W warunkach rosyjskich Internet wszedł w rolę odgrywaną niegdyś przez literaturę. Kultura Rosji jest tradycyjnie literaturocentryczna. W sytuacji, gdy brakuje wolności politycznej, kluczowa staje się wolność słowa. Skoro nie można się zrzeszać i legalnie walczyć o władzę, to można chociaż słowem pisanym – mniej lub bardziej bezpośrednio – wyrażać swoje poglądy. Tak było w XIX w., kiedy trybunę dla debaty politycznej stanowiły czasopisma, kierowane przez charyzmatycznych i opozycyjnych krytyków literackich, takich jak Wissarion Bieliński czy Nikołaj Czernyszewski. Tak też było w późnych czasach sowieckich – w końcu jednym z moralnych gwoździ do trumny ZSRS okazał się „Archipelag GUŁag" Aleksandra Sołżenicyna. Czyli książka.

## NAWALNY ZACZYNAŁ OD BLOGA

W XXI w. rolę czasopism czy wydawnictw jednak przejął Internet. Warto pamiętać, że najpoważniejszy wewnętrzny wróg Putina przebił się do powszechnej świadomości i zdobył sławę nie tyle dzięki zwycięskim kampaniom wyborczym, ile dzięki wyświetleniom swojego poczytnego bloga. Aleksiej Nawalny był przede wszystkim blogerem, dopiero zaś w drugiej kolejności politykiem. Do tradycyjnych mediów Putin zabrał się dość szybko, już w pierwszych latach przejmując tytuły, należące wcześniej do mających polityczne ambicje oligarchów. I wtedy tą ostatnią oazą wolności okazał się Internet. Wraz z jego rozwojem rozwijały się również techniczne możliwości opozycyjnej walki. Nawalny, początkowo krytykując władzę za pośrednictwem wpisów na popularnej platformie blogowej Żywoj Żurnał, zaczął kręcić profesjonalne, demaskatorskie filmy dokumentalne i publikować je na YouTube. Stało się to specjalnością jego Fundacji Walki z Korupcją.

Nawalny był jednym z pionierów wirtualnej walki z władzą, ale nie był w tym



eprasa.pl d705243ad8



FOT. ADOBE STOCK

odosobniony. Internet, w tym media społecznościowe, odegrał ogromną rolę w protestach lat 2011–2012 przeciwko fałszerstwom wyborczym (najpierw w wyborach do Dumy, potem w wyborach na prezydenta). Była to największa w dziejach postsowieckiej Rosji masowa akcja protestacyjna. Im bardziej Putin rozprawiał się z opozycją, tym bardziej rosła rola Internetu jako narzędzia oporu. Najważniejsi opozycjoniści są gwiazdami Internetu. Michaił Chodorkowski ma własną telewizję internetową. Maksym Kac – jeden z najpopularniejszych krytyków Putina – codziennie publikuje komentarze na YouTube, pod którymi zbiera setki tysięcy wyświetleń. Jego kanał subskrybuje ponad 2 mln internautów. Z jednej strony, opozycja rosyjska podbija Internet, z drugiej – to pyrrusowe zwycięstwo, bo mając u swych stóp świat wirtualny, krytycy Putina nie mają absolutnie żadnego wpływu na rzeczywistość w Rosji.

Po 24 lutego 2022 r. Kreml przykręcił śrubę. Niezależne media, które jeszcze działały w Rosji, zostały w praktyce zdelegalizowane na terenie kraju i zmuszone do emigracji. Taki los spotkał m.in. „Echo Moskwy" czy „Nową Gazietę" (obecnie „Nowaja Gazieta Jewropa"). W tej sytuacji naturalną ostatnią oazą wolności słowa stawał się Internet. Również na emigracji. Gdy opozycyjna telewizja Dożd` straciła koncesję na Łotwie z powodu materiałów interpretowanych jako prorosyjskie, przeniosła się w całości na YouTube. Media emigracyjne docierały do odbiorców za pośrednictwem mediów społecznościowych, których znaczenie ogromnie wzrosło. Głównym narzędziem był i jest Telegram. Ten niezwykle popularny na Wschodzie portal społecznościowy – a zarazem komunikator – jest zjawiskiem typowym dla rosyjskiego Internetu. Został założony w 2013 r. przez Pawła Durowa. Ów „rosyjski Zuckerberg" wcześniej stworzył do dziś popularny w jego kraju portal społecznościowy vKontaktie. Durow od lat nie mieszka w Rosji. Miesięcznie z Telegrama korzysta ponad miliard użytkowników, nie tylko w krajach rosyjskojęzycznych. Czasem portal ten bywa błędnie nazywany narzędziem kremlowskiej propagandy. Tymczasem korzystają z niego zarówno Rosjanie, jak i Ukraińcy. Z jednej strony, właśnie na Telegramie powstało wpływowe środowisko tzw. Z-blogerów, z drugiej – owi prowojenni propagandyści często krytykują konkretne działania władz (jeśli uważają, że szkodzą one w „słusznej sprawie" wojny z Ukrainą i Zachodem). To zaś pokazuje, że Telegram stał się przestrzenią niezależności nawet wśród zwolenników wojny. Z trzeciej strony, w zasadzie każda ukraińska instytucja, od administracji państwowej po armię, ma swoje konto na portalu Durowa i za jego pośrednictwem komunikuje się ze społeczeństwem. Telegram jest więc bronią obosieczną. Mało kto dziś pamięta, że używany był również przez antyłukaszenkowską opozycję podczas protestów w 2020 r. Słynna Nexta zagrzewała demonstrantów do boju i opisywała sytuację właśnie za pośrednictwem Telegrama.

Ten niezwykle popularny komunikator to arena najbardziej literalnie rozumianej wolności słowa – z jej zaletami i wadami. Komunikacja na Telegramie jest szyfrowana, choć stopień tego szyfrowania pozostaje niejasny. Moderacja treści jest na minimalnym poziomie. Stąd popularność portalu w krajach z zaawansowaną cenzurą. Ta wyjątkowo liberalna polityka prywatności sprawia jednak, że Telegram wielokrotnie był używany przez przestępców. I nie chodzi jedynie o szerzenie dezinformacji czy propagandy, ale również o ułatwianie handlu narkotykami czy szerzenia pornografii. To rosyjski Internet w pigułce: można znaleźć tam wszystko, co legalne i nielegalne. Jak to często bywa w Rosji – odpowiedzią na totalną dyktaturę jest totalna anarchia. Nie ma nic pośrodku. W Runecie właściwie nie funkcjonuje coś takiego jak prawa autorskie. Można tam obejrzeć praktycznie każdy film, i to za darmo, choć przy okazji trzeba się przebić przez morze reklam kasyn i innych mniej lub bardziej legalnych rozrywek. Można też tam znaleźć i ściągnąć praktycznie każdą książkę w wersji elektronicznej. Przy okazji infekując komputer wirusami. Czasem za darmo, czasem za drobną opłatą. I tu otwiera się pole do oszustw, bo często, płacąc za książkę, dostaje się jej fragment.

## POSZUKIWANIE ALTERNATYWNYCH ŹRÓDEŁ INFORMACJI

Wolność w rosyjskim Internecie ma zatem różne oblicza. Tak czy inaczej, wobec niedoskonałości świata realnego Rosjanie chętnie i sprawnie zanurzają się w świecie wirtualnym. Kreml szedł z duchem czasu i w swoich cenzorskich zapędach nie zatrzymał się na eliminacji mediów tradycyjnych. Zaczął również blokować zachodnie media społecznościowe, takie jak Facebook, Instagram czy X. Ponadto, na skutek działań prowadzonych przez Roskomnadzor, spowalniany jest YouTube. W efekcie prawie nie da się z niego korzystać. Nie oznacza to jednak, że Kreml skutecznie odciął swoich poddanych od zachodnich źródeł informacji. Rosjanie wchodzą bowiem na zakazane strony za pośrednictwem VPN (czyli wirtualnej sieci prywatnej – narzędzia umożliwiającego tworzenie



eprasa.pl d705243ad8

szyfrowanych połączeń i chroniącego aktywność w sieci przed śledzeniem), logując się z kraju, w którym nie są one blokowane. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że również zachodni badacze Rosji są zmuszeni korzystać z tego narzędzia, ponieważ – jak wiadomo – na terenie Unii Europejskiej zakazana jest z kolei spora część rosyjskich stron internetowych. Wojna informacyjna, towarzysząca wojnie rosyjsko-ukraińskiej, sprawiła zatem, że twórcy VPN-ów zbijają fortuny na internautach chcących obejść cenzurę.

Według szacunków European Fund for Journalism in Exile (JX Fund), organizacji wspierającej media na uchodźstwie, w 2023 r. z niezależnych mediów korzystało między 6,7 a 9,6 mln indywidualnych regularnych użytkowników, z czego co najmniej 5,4–7,8 mln przebywało w samej Rosji. Jak czytamy w raporcie Ośrodka Studiów Wschodnich, z badań tych wynika, że treści niezależnych mediów regularnie trafiają do 6–9 proc. dorosłej populacji w państwie Putina. Ten odsetek rośnie, gdy dochodzi do jakiejś kryzysowej sytuacji, takiej jak częściowa mobilizacja, pucz Jewgienija Prigożyna czy atak Ukraińców na obwód kurski. Gdy państwo rosyjskie zawodzi, jego obywatele szukają alternatywnych wobec kremlowskiej propagandy źródeł informacji.

Rosjanie potrafią dotrzeć do zachodnich źródeł informacji, jeśli tylko chcą. Akurat pod tym względem są bardzo zaawansowani technologicznie. Swego czasu głośno było o raporcie ekspertki z Atlantic Council Marii Sniegowej, z którego wynikało, że Rosjanie popierają Putina mimo dostępu do alternatywnych źródeł informacji, ponieważ tak im wygodniej. Decyduje zatem typowy rosyjski konformizm.

W walce z wolnością słowa w Internecie Kreml jednak nie składa broni. Rosja jest jednym ze światowych liderów, jeśli chodzi o blokadę stron internetowych. Z Telegrama korzysta blisko 100 mln Rosjan. Jednak nawet ta, chętnie używana również przez prowojennych propagandystów, aplikacja podlega dziś cenzurze. W styczniu 2026 r. użytkownicy w całym kraju masowo zgłaszali problemy z działaniem portalu. Roskomnadzor oficjalnie zaprzeczał, że ma z tym coś wspólnego. W końcu jednak przestał zaprzeczać. 10 lutego Roskomnadzor potwierdził, że przystępuje do ograniczenia funkcjonowania Telegrama na terenie Rosji. Powód? Rzekome naruszenia prawa. Szczegółów nie podano. Prawdziwym celem jest likwidacja wolności w Internecie. Zresztą Telegram blokowany był już wcześniej – jesienią 2025 r., podobnie jak zachodni WhatsApp. W październiku problem z dostępem do tych komunikatorów miało ok. 60 proc. Rosjan. O ile represje wobec zachodniego WhatsAppa są z punktu widzenia kremlowskiej propagandy zrozumiałe, o tyle działania cenzorskie wobec Telegrama pokazują, że władze nie zamierzają tolerować jakiejkolwiek swobody przekazu.

**Rosjanie wchodzą na zakazane strony za pośrednictwem VPN (czyli wirtualnej sieci prywatnej), logując się z kraju, w którym nie są one blokowane**

## MAX, CZYLI „NARODOWY MESSENGER”

Nie oznacza to jednak, że Kreml zamierza pozbawić Rosjan dostępu do sieci. Władze promują państwową konkurencję dla Telegrama, którą jest komunikator i medium społecznościowe zarazem o nazwie Max. Na forum Dumy Państwowej już kilka miesięcy temu z satysfakcją oznajmiono, że słusznym kierunkiem jest zastąpienie WhatsAppa i Telegrama „narodowym Messengerem”. Max jest aplikacją skonstruowaną na wzór chińskiego WeChata. Łączy funkcje komunikatora, platformy usług publicznych dla obywateli, sieci społecznościowej, wyszukiwarki, systemu płatniczego oraz platformy handlu internetowego. Od 1 września 2025 r. Max musi być faktycznie instalowany na wszystkich urządzeniach elektronicznych sprzedawanych w Rosji – od smartfonów, przez tablety i komputery, po odbiorniki smart TV. Władze naciskają na pracowników budżetówki, żeby tworzyli konta na państwowej platformie. W listopadzie 2025 r. liczba użytkowników tej aplikacji wyniosła 55 mln. W większości Max wciąż jednak nie jest traktowany jako źródło informacji. Według niezależnego centrum badań opinii publicznej Russian Field jedynie 4 proc. użytkowników tej platformy to czytelnicy publikowanych tam treści. Max wykorzystywany jest przede wszystkim do połączeń głosowych, blokowanych na zagranicznych komunikatorach.

Jak czytamy w raporcie OSW na temat cenzury w rosyjskim Internecie, dzięki wbudowanym algorytmom i pełnej współpracy z rosyjskimi służbami Max pozwoli na śledzenie wszystkich aspektów działalności i zachowań użytkowników, a także na ich indoktrynację. Część użytkowników próbowała wyłączyć szpiegowskie funkcje tego „narodowego Messengera”. Takie próby kończyły się blokadą konta. W odróżnieniu od Telegrama Max nie oferuje odpowiedniej ochrony przed wyciekami danych. Co ciekawe, krytykowany jest za to nawet przez FSB. Do rejestracji w Max potrzebna jest rosyjska lub białoruska karta SIM. Jeśli więc władzom na Kremlu uda się zastąpić Telegram „narodowym Messengerem”, to kontakt Rosjan ze światem zewnętrznym będzie mocno utrudniony.

Oczywiście pozostaje wspomniany VPN. Jednak również z tym oknem na świat Kreml podjął walkę. Tylko w 2024 r. Roskomnadzor zablokował 197 usług VPN. Od 1 września 2025 r. reklamowanie narzędzi umożliwiających obchodzenie blokad jest karane grzywną. Ponadto użycie VPN uznane zostało za okoliczność obciążającą w przypadku popełnienia przestępstwa. Rynek VPN jest jednak dość bogaty. Rosjanie natomiast przyzwyczaili się do wolności w sieci. Akurat w tej sferze nic nie wskazuje na to, by mieli się ugiąć. Według badań Centrum Lewady w marcu 2025 r. 36 proc. Rosjan korzystało z usług VPN. To o 11 punktów procentowych więcej niż rok wcześniej. I to pomimo że kremlowska propaganda przedstawia wirtualną sieć prywatną jako zagrożenie dla kraju. Minister cyfryzacji Maksut Szadajew wprost oznajmił, że propagowanie VPN to celowe działanie państw zachodnich, mające zdestabilizować sytuację w Rosji. A jednak Zachód nie musi się szczególnie trudzić, by tę usługę propagować… Rosyjski Internet, choć ograniczany przez władze, wciąż pozostaje zatem stosunkowo od tych władz niezależny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8



PROSTO ZYGZAKIEM

# Czy Trump może nam zakręcić gaz?

PIOTR GABRYEL

Wielu z nas nie dopuszcza do siebie myśli, że można w sposób taki, jak w tytule tego felietonu, choćby pomyśleć. Wszelako – jeśli się zastanowić – może wręcz należy? Ba, a może nawet, jeśli ktoś tak nie myśli, a jest np. rządzącym politykiem, to naraża się na zarzut niebrania pod uwagę także czarnych scenariuszy – ze szkodą dla Polski, gdyby się one jednak, niestety, ziściły? I nieprzygotowywania Polski na taką, „czarną" ewentualność?

Do właśnie takiej myślozbrodni posunęła się Wirtualna Polska, a raczej portal Politico, którego artykuł WP.pl ośmieliła się przywołać. Artykuł o ryzyku, które niesie ze sobą fakt, iż państwa Europy, po uwolnieniu się od zależności gazowej od Rosji, właśnie wpadają w zależność gazową od USA. A cokolwiek by o polityce obecnego prezydenta USA powiedzieć, to z pewnością uczy ona państwa jednego: polegania wyłącznie na sobie i traktowania innych państw, także dziś sojuszniczych, jako potencjalnych konkurentów, a może nawet – potencjalnych wrogów.

A jak taką próbę myślenia wytrzymuje fakt, że państwa te, w tym Polska, wyrwawszy się z zależności od gazu z Rosji, uzależniają się od gazu z USA? Tym bardziej że – jak podaje za Politico WP.pl – co prawda „dziś USA odpowiadają za ok. 27 proc. importu gazu do UE – wobec 5 proc. w 2021 r. […], ale wkrótce ten odsetek może wzrosnąć do nawet 80 proc. całkowitego importu LNG". A przecież „Europa obawia się szantażu Trumpa", bo „Waszyngton może zagrać gazem".

Co zatem powinny czynić rządy państw naszej części świata, w tym – bo to przecież interesuje nas najbardziej – rząd Polski? Wniosek jest oczywisty: nie wolno dopuścić do uzależnienia dostaw gazu (i nie tylko gazu) do Polski od nikogo, w tym od USA – i to nie tylko z powodu ryzyka szantażowania nas przerwaniem dostaw, lecz także z uwagi na dużo bardziej prawdopodobne wykorzystywanie przez takiego dostawcę swej kluczowej pozycji do stałego windowania jego ceny. Tak jak było w przypadku Rosji, która do czasu, gdy była głównym dostawcą gazu do Polski, sprzedawała nam go najdrożej w całej Europie.

A zatem: dywersyfikacja, dywersyfikacja i jeszcze raz dywersyfikacja dostaw. Gaz trzeba kupować, zewsząd się da i jak najtaniej się da, nie wykluczając Rosji – za wszelką cenę starając się tę jak największą dywersyfikację wykorzystywać do tworzenia mechanizmu dostaw pewnych i jak najtańszych. Rzecz jasna, zabiegając o niedopuszczenie do odtworzenia Nord Stream – wymierzonego przez Rosję i Niemcy wprost w Polskę.

I nie zapominając przy tym, że jedyną prawdziwą suwerenność energetyczną może zapewnić Polsce tylko nasz, polski węgiel. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

# PiS chce się zadłużać dla Ukrainy

ŁUKASZ WARZECHA

Gdy polskie media zajmowały się personalnym i partyjnym konfliktem pomiędzy prezydentem Nawrockim a marszałkiem Czarzastym, w Strasburgu trwały głosowania. Trzy pierwsze w sesji 11 lutego dotyczyły darowizny w wysokości 90 mld euro dla Ukrainy, zwanej, dla pozorów, pożyczką, co oczywiście nie ma nic wspólnego z prawdą. Te pieniądze nigdy nie zostaną zwrócone, ponieważ warunkiem ich zwrotu przez Kijów jest wypłacenie przez Rosję reparacji. Co oczywiście nigdy nie nastąpi. Wiadomo już też, że nie będzie przejęcia rosyjskich aktywów zdeponowanych w UE. I słusznie zresztą, bo konsekwencje prawne i finansowe takiego kroku byłyby nieobliczalne.

**PiS w każdej praktycznie sprawie tkwi w przeszłości**

Te 90 mld euro to kolejny już, trzeci wspólny unijny dług. Poprzednie to Next Generation EU (KPO) i SAFE. Każdy wiąże nas coraz bardziej z UE i coraz bardziej ogranicza nam pole manewru w tej instytucji.

Była to druga część głosowań w związku z tą kwestią. W pierwszej, kilka tygodni temu, za darowizną i wspólnym długiem opowiedziała się niemal cała delegacja PiS. Teraz było podobnie. Jedynie Jacek Ozdoba, który poprzednio po prostu nie zagłosował, tym razem w pierwszym z trzech głosowań, najważniejszym, otwarcie już opowiedział się przeciwko. Z kolei poprzednio głosujący przeciw Dominik Tarczyński tym razem wyjął kartę. Tak samo zrobiła Jadwiga Wiśniewska.

Ta kwestia, jak sądzę, kompletnie umknęła polskiej opinii publicznej. Warto ją zatem jak najmocniej podkreślić: PiS konsekwentnie opowiada się za wykreowaniem następnego wspólnego unijnego zadłużenia i za zrobieniem Ukrainie następnego finansowego prezentu z naszych przecież pieniędzy. Jeśli zatem ktoś dał się niedawno nabrać na rzekomo bardziej realistyczny czy wstrzemięźliwy kurs partii Kaczyńskiego wobec Ukrainy, to był bardzo naiwny.

Kiedy jakiś czas temu wytknąłem tę sprawę europosłowi Tobiaszowi Bocheńskiemu, ten zaczął częstować mnie argumentami jak z marca 2022 r., że bez tego długu i tych 90 mld mielibyśmy za moment na granicy ruskie czołgi. To była głupia argumentacja nawet wówczas, a co dopiero na początku 2026 r. PiS jednak, jak widać, w każdej praktycznie sprawie tkwi w przeszłości. ©℗



eprasa.pl d705243ad8

# InPost przebija szklany sufit






*Jacek Przybylski*

**Rafał Brzoska ma duże szanse na stworzenie „polskiego Samsunga", czyli rozpoznawanej na całym świecie technologicznej marki znad Wisły. InPost ma bowiem przejść w ręce konsorcjum, w którego skład wchodzą FedEx, Advent International, A&R Investments oraz PPF Group. Wartość transakcji to aż 7,8 mld euro, czyli niemal 33 mld zł**

Luty 1999 r., Rafał Brzoska, młody przedsiębiorca pochodzący z niewielkiej Zawady Książęcej nieopodal Raciborza, jeszcze na trzecim roku studiów na Uniwersytecie Ekonomicznym w Krakowie zakłada ze wspólnikami pierwszą firmę. Krakowskie biuro ma niecałe 20 mkw. Stałe koszty, w tym ZUS, szybko zjadają kapitał zakładowy Integer s.c. „Widząc, że koniec jest bliski, postanowiłem wrócić do oryginalnego pomysłu, na bazie którego mieliśmy od początku prowadzenia biznesu zająć się po prostu roznoszeniem ulotek. Bez zgody wspólników ostatnie 500 zł przeznaczyłem na prasowe ogłoszenie ramkowe z prostym przekazem marketingowym »ROZNOSZENIE ULOTEK ZA 5 GROSZY«" – wspominał po latach na portalu LinkedIn polski miliarder, który jeszcze w XX w. wraz ze wspólnikami ulotki rozwoził Fiatem 125p. Mimo różnych trudności biznes coraz bardziej się rozkręca.

Rok 2006 – Rafał Brzoska zakłada spółkę InPost. Ponieważ tylko Poczta Polska mogła wówczas dostarczać listy o masie niższej niż 50 g, InPost omija monopol państwowej firmy, dociążając zwykłe koperty 50-gramową blaszką. Ten prosty zabieg sprawiał, że listy stawały się paczkami. Trzy lata później InPost wprowadza innowacyjną usługę, dzięki której stanie się konkurencją dla globalnych firm kurierskich. To paczkomaty. Nagranie z 26 października 2009 r., gdy 32-letni wówczas Brzoska wyjaśniał, jak działa paczkomat – i to jeszcze w czasach, gdy do odbioru paczki konieczny był sześciocyfrowy kod wysyłany na telefon komórkowy – ma dzisiaj na YouTube ponad 1,2 mln wyświetleń. Początkowo model paczkomatowy traktowany był w kategorii ciekawostki na pocztowym rynku. Urządzenia umożliwiające odbieranie i nadawanie przesyłek 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu – bez konieczności czekania na kuriera ani stania w długich kolejkach na poczcie – błyskawicznie zdobyły popularność wśród klientów i na stałe zagościły w polskim krajobrazie. Dzięki temu już w 2011 r. Brzoska zadebiutował na liście najbogatszych Polaków.

## PACZKOMATY W CAŁEJ EUROPIE

Obecnie przesyłki można odbierać za pomocą jednego kliknięcia aplikacji na smartfonie. Apka InPost wjechała również do Apple CarPlay oraz Android Auto – nie trzeba więc już nawet wyciągać telefonu, aby sprawdzić listę przesyłek gotowych do odbioru, uruchomić nawigację do paczkomatu lub zdalnie otworzyć skrytkę. Tylko w Polsce sieć InPost ma już ponad 27 tys. tego typu maszyn. Aby łatwiej było sobie tę liczbę wyobrazić, wystarczy napisać, że paczkomatów jest ponad dwa razy więcej niż kościołów (jest ich ponad 10 tys.) czy też dwa razy więcej niż sklepów sieci Żabka (pod koniec 2025 r. było ich ponad 12 tys.).



eprasa.pl d705243ad8


FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Wielu Polaków nie wyobraża sobie już zakupów przez Internet bez paczkomatów czy też bez BLIK-a (to kolejny biznesowy hit znad Wisły, który znacząco ułatwia codzienne funkcjonowanie i który podobnie jak InPost ma szanse podbić zachodnie rynki). Swoje automaty paczkowe (nazwę „paczkomat" InPost prawnie zastrzegł) stawiają też konkurencyjne firmy, takie jak Allegro, DPD, Orlen czy Poczta Polska.

Jednocześnie spółka coraz śmielej wchodzi na zagraniczne rynki. W lipcu 2021 r. Grupa InPost sfinalizowała przejęcie za 513 mln euro Mondial Relay, co umożliwiło jej wejście na wyjątkowo atrakcyjne rynki Francji, krajów Beneluksu i Półwyspu Iberyjskiego. Dwa lata później InPost za 49,3 mln funtów brytyjskich kupił 30 proc. udziałów w Menzies Distribution Group Limited, czyli w jednej z wiodących firm logistycznych w Wielkiej Brytanii i w Irlandii. W 2024 r. spółka kierowana przez Brzoskę kupiła pozostałe 70 proc. Menzies Distribution Group Limited (za 60,4 mln funtów brytyjskich). W 2025 r. InPost kupił Yodel, jedną z największych firm kurierskich w Wielkiej Brytanii. Po tej transakcji grupa rodem z Polski zajęła trzecią co do wielkości pozycję na wyjątkowo atrakcyjnym brytyjskim rynku logistycznym. W lipcu ubiegłego roku Grupa InPost przejęła również hiszpańskiego dostawcę usług kurierskich: firmę Sending.

Dzięki konsekwentnie realizowanej strategii ekspansji na Starym Kontynencie w sierpniu 2025 r. InPost pochwalił się, że ma już więcej paczkomatów za granicą niż w Polsce (27 tys. nad Wisłą i ponad 27,3 tys. na pozostałych rynkach). Kierowana przez Rafała Brzoskę firma w 2025 r. działała w dziewięciu krajach, m.in. we Francji i w krajach Beneluksu, w Wielkiej Brytanii, w Hiszpanii, Portugalii oraz we Włoszech. W trzecim kwartale ubiegłego roku wolumen paczek obsłużonych przez InPost wyniósł 351,5 mln (wzrost o 34 proc. rok do roku).

W styczniu 2026 r. Grupa uruchomiła zaś usługę „InPost Easy", umożliwiającą łatwe wysyłanie paczek z Polski do siedmiu europejskich państw (Belgii, Francji, Włoch, Holandii, Luksemburga, Hiszpanii i Portugalii), a także wysyłanie przesyłek z Włoch do Polski.

## INPOST POLSKI CZY AMERYKAŃSKI?

Jeden z największych globalnych funduszy typu private equity Advent International większościowy pakiet akcji InPostu kupił w roku 2017. Cztery lata później InPost zadebiutował na giełdzie w Amsterdamie.

W ubiegłym tygodniu najgorętszą wiadomością w świecie polskiego biznesu stała się informacja o planowanej sprzedaży InPostu międzynarodowemu konsorcjum. Po sfinalizowaniu transakcji pakiet kontrolny w spółce miałyby dwa amerykańskie podmioty: FedEx (jedna z największych firm logistyczno-kurierskich na świecie, zatrudniająca niemal 50 tys. osób, ma objąć 37 proc. akcji InPostu) oraz Advent International (ma mieć 37 proc. udziałów). 10 proc. w spółce obejmie fundusz PPF, czyli potężna czeska grupa inwestycyjna.

**1,4 mld**

**TYLE PACZEK DOSTARCZYŁA W 2025 R. GRUPA INPOST (O 25 PROC. WIĘCEJ NIŻ W ROKU 2024)**

InPost zapewnił jednak w wydanym w ubiegłym tygodniu komunikacie, że mimo porozumienia w sprawie sprzedaży spółki siedziba firmy pozostanie w Polsce. Grupą nadal kierować ma zaś Rafał Brzoska. Ten ostatni w poście opublikowanym na platformie X doprecyzował oficjalny komunikat: „Napiszę jaśniej: »Nasza główna siedziba, marka, kadra zarządzająca oraz kluczowe kompetencje innowacyjne pozostaną w Polsce, która nadal będzie stanowić centrum realizacji skutecznej strategii Grupy« oznacza też, że rekordowe podatki nadal będą płacone w Polsce". To ważne, bo Rafał Brzoska wielokrotnie podkreślał, że InPost – w przeciwieństwie do wielu konkurentów – płaci w Polsce solidne podatki. W 2024 r. Grupa InPost miała 9,85 mld zł przychodu i zapłaciła 375 mln zł podatku CIT, czyli o ponad 100 mln więcej niż rok wcześniej.

Wróćmy do samej transakcji przejęcia akcji InPostu przez międzynarodowe konsorcjum. Jej wartość to aż 7,8 mld euro, czyli niemal 33 mld zł. Istnieje pewne ryzyko, że zaproponowana w wezwaniu cena 15,6 euro za akcję dla części udziałowców okaże się zbyt niska (choć w cenę wliczona jest solidna premia względem ostatnich wycen na giełdzie,



eprasa.pl d705243ad8

to jednak w pierwszej ofercie publicznej w styczniu 2021 r. za jedną akcję InPostu trzeba było zapłacić 16 euro). Tymczasem warunkiem powodzenia transakcji jest nabycie przez konsorcjum minimum 80 proc. wszystkich akcji.

Poza tym ze względu na kwotę transakcji oraz zasięg działalności FedExu i InPostu niezbędne będzie uzyskanie zgód regulacyjnych, w tym także organów antymonopolowych. I nie chodzi tylko o polski UOKiK. Zgodę na sprzedaż będzie musiała wydać również Komisja Europejska. Trudno spodziewać się finalizacji sprzedaży InPostu wcześniej niż w drugiej połowie obecnego roku.

Jeśli zaś wszystko pójdzie zgodnie z planem, to FedEx i InPost i tak nie przewidują integracji operacyjnej. Obie firmy mają pozostać niezależnymi konkurentami w swoich segmentach rynku. Innymi słowy, FedEx nadal skupiać się ma na hurtowych dostawach, a InPost na tzw. dostawach ostatniej mili (czyli dostarczaniu towaru do domu czy paczkomatu). Jednocześnie zarówno FedEx, jak i InPost mają szansę zyskać na efekcie skali, wykorzystaniu potencjału do optymalizacji kosztowej oraz możliwości zaoferowania klientom pełniejszego pakietu usług. Konsorcjum powinno być też zainteresowane dalszą ekspansją InPostu na europejskich rynkach. Klienci mogą zaś zyskać szansę na łatwą wysyłkę paczek nie tylko do krajów Starego Kontynentu, lecz także do Ameryki lub Azji. Jeśli InPost rzeczywiście zachowa dużo ze swej „polskości", to zyskać może też nasza gospodarka – to właśnie nad Wisłą powstawać będą innowacyjne rozwiązania logistyczne.

Warto zauważyć, że A&R Investments, czyli zarejestrowany na Malcie wehikuł inwestycyjny Rafała Brzoski, ma w wyniku transakcji zwiększyć liczbę udziałów w spółce z 12,49 proc. do 16 proc. To ważna informacja: Dla porównania: Jeff Bezos, założyciel Amazona, na początku 2026 r. miał bowiem w Amazonie ok. 9 proc. udziałów.

## NIE BEZ KONTROWERSJI

Podobnie jak Amazonowi również InPostowi zarzucano wielokrotnie, że spółka zapomina np. o szeregowych pracownikach. W polskich mediach nieraz pojawiały się m.in. zarzuty dotyczące wypychania kurierów na samozatrudnienie. Spore kontrowersje wzbudził także ubiegłoroczny pomysł wirtualnej kawy dla kuriera. Zasady tej akcji są proste: po odebraniu przesyłki klient może ocenić dostawę w skali od jednej do pięciu gwiazdek. Po przyznaniu czterech lub pięciu gwiazdek można kurierowi postawić kawę małą (3 zł), średnią (5 zł) lub dużą (10 zł). Można też wpisać własną kwotę napiwku, który trafiać ma bezpośrednio do kuriera. Przekazanie datku kurierowi jest anonimowe, przez co kurier nie dowie się nawet, kto mu tę „wirtualną kawę" postawił.

W Internecie błyskawicznie zawrzało. „Opłata za dostawę to za mało?" – pytał retorycznie Grzegorz Dąbek w serwisie tabletowo.pl, zauważając, że „nie brakuje głosów krytyki i oskarżeń o przerzucanie kosztów na klientów, którzy już i tak płacą za towar czy usługę, podczas gdy to pracodawca powinien zapewnić godziwe wynagrodzenie za pracę, a nie liczyć, że to klienci »dopłacą« pracownikowi". I nie był to jedyny oburzony publicysta. „InPost ruszył z nową usługą, a ja czytam jej założenia i nie wiem, czy jestem bardziej zażenowany czy zaskoczony, że dopiero teraz ktoś na to wpadł. Witajcie w gospodarce, w której prywatyzujemy zyski, ale koszty uspołeczniamy" – pisał Paweł Grabowski na łamach portalu Spider's Web. W mediach społecznościowych podobnych głosów było mnóstwo.

To niejedyny przypadek, gdy podejście Grupy InPost do kurierów wzbudziło zainteresowanie mediów. Jak zauważyła w lutym 2026 r. redakcja „WP Finanse", również zasady rozdawania ciepłych napojów zmarzniętym kurierom podczas siarczystych mrozów przez Grupę InPost wzbudziły spore kontrowersje wśród samych zainteresowanych. „Herbata i kawa są udostępniane w ramach zakupu za punkty z karty benefitowej, co wywołało mieszane reakcje w mediach społecznościowych" – stwierdziła redakcja WP Finanse, przypominając, że „zgodnie z art. 232 Kodeksu pracy pracodawca jest obowiązany zapewnić pracownikom zatrudnionym w warunkach szczególnie uciążliwych nieodpłatnie odpowiednie posiłki i napoje, jeżeli jest to niezbędne ze względów profilaktycznych". Kłopot w tym, że kurierzy InPostu nie mają takich praw, ponieważ większość z nich nie może liczyć na cywilizowaną umowę o pracę, lecz wykonuje zlecenia w ramach kontraktów B2B. „Niezależnie od bieżącej sytuacji nasi kurierzy na co dzień korzystają z kart vendingowych, które są comiesięcznie doładowywane w ramach benefitu. Karty te umożliwiają zakup artykułów, w tym ciepłych napojów, z automatów dostępnych we wszystkich naszych oddziałach. W związku z niskimi temperaturami dodatkowo doładowaliśmy te karty, zwiększając tym samym dostępność do wybranych produktów" – zaznaczył w wypowiedzi dla WP Finanse rzecznik InPostu Wojciech Kądziołka.

Kontrowersje budzi nie tylko podejście do kurierów, lecz także do tych klientów, którzy jakość dostaw z InPostu oceniają na jedną gwiazdkę. Na forach internetowych i w mediach społecznościowych można odnaleźć wiele narzekań na to, że kurier notorycznie „nie zastaje" odbiorcy przesyłki w domu lub że bez zgody i wiedzy odbiorcy zostawia paczkę pod drzwiami lub przekazuje ją sąsiadowi.

## IMPERIA „MADE IN POLAND"

Mimo powyższych kontrowersji Rafałowi Brzosce trzeba jednak pogratulować zbudowania od podstaw wielkiego imperium logistycznego, które jest rozpoznawalne nie tylko w Polsce, lecz także w wielu krajach Europy. Dobrze też, że InPost nie jest w tej kategorii jedyny, a w swoje zdolności uwierzyło także wielu innych polskich prezesów. Jak poinformował w ubiegłym tygodniu Polski Instytut Ekonomiczny (PIE), w 2025 r. polskie firmy za granicą zrealizowały przejęcia za co najmniej 1 mld dol. (w roku 2024 kwota ta wynosiła 573 mln dol.). Według danych Instytutu polskie firmy przeprowadziły w ubiegłym roku 45 zagranicznych akwizycji, z czego 34 w Europie (najwięcej w Niemczech, USA oraz w Czechach i w Rumunii). „Rzeczywista skala inwestycji była na pewno wyższa" – podkreślili jednocześnie eksperci PIE, zwracając uwagę, że dostępne dane nie są pełne, a 30 projektów na 45 nie miało ujawnionej wartości transakcji. Polskie spółki błyskawicznie, bo zaledwie w ciągu trzech dekad, awansowały do średniej ligi europejskiej. W najbliższych latach Polacy mają zaś szansę wejść do globalnej ekstraklasy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8

# Jeffreya Epsteina lekcja ekonomii



*Jakub Wozinski*

**Publikacja akt sprawy Epsteina odsłoniła porażająco mroczną stronę świata wielkiego biznesu i finansów. Ujawnione 3 mln stron danych to jeden wielki akt oskarżenia pod adresem korporacyjnego świata**

Określanie najbardziej szokującej afery naszych czasów mianem „afery Epsteina" jest niestety nieco mylące. Rzecz jasna, urodzony w żydowskiej rodzinie Nowojorczyk był bezsprzecznie kluczową osobą całego szokującego procederu, ale tak naprawdę mamy do czynienia z aferą globalnych elit: biznesmenów, bankierów, polityków, prawników, celebrytów, członków rodów królewskich czy też naukowców.

Wśród wymienionych grup bodajże najbardziej eksponowaną rolę odgrywali przedstawiciele sektora finansowego, technologicznego i bankowego. Choć wiodące media rzadko zwracają na to uwagę, to sam Jeffrey Epstein był pierwszorzędnym finansistą znanym w całym Wall Street, który po śmierci pozostawił po sobie majątek o wartości 600 mln dol. Potwór z Little Saint James Island nie był postacią anonimową, lecz osobą obracającą się wśród elit finansowych oraz środowisk mających największy wpływ na kształtowanie polityki gospodarczej na świecie.

Pełne wyliczenie wszystkich przedsięwzięć biznesowych i finansowych, które planował i realizował Epstein, przekracza ramy objętościowe niniejszego artykułu. Wystarczy jednak wspomnieć, że diaboliczny sadysta gościł na wyspie współzałożyciela LinkedIn Reida Hoffmana, wspólnie z Peterem Thielem (Palantir, PayPal) omawiał koncepcję destabilizacji krajów Bliskiego Wschodu, odbierał nagrody od mającego wielki wkład w założenie Facebooka, Twittera czy też Spotify Yuriego Milnera, przyjmował podarunki od głównej prawniczki Goldman Sachs Kathryn Ruemmler, sąsiadował w Nowym Jorku i korespondował z obecnym sekretarzem handlu USA Howardem Lutnickiem, przyjaźnił się z właścicielem marki Virgin Richardem Bransonem, spędzał sylwestra z Sergeyem Brinem i Susan Wojcicki z Google, a z byłym premierem Izraela, Ehudem Barakiem, dywagował nad wysokością premii wypłacanych Tony'emu Blairowi.

Gdyby na jaw wyszła duża afera pedofilsko-seksualna z udziałem księży, mainstreamowe media z pewnością przypuściłyby frontalny szturm na kapłanów i Kościół, przekonując, że trzeba ograniczyć ich prawa oraz wzmocnić czujność. W następstwie afery Epsteina, która okazała się multiaferą obejmującą całą międzynarodową siatkę stręczycieli, gwałcicieli, sadystów, morderców i pedofilii, publicznych wezwań do zbiorowej kary dla pracowników sektora finansowego i wielkiego biznesu niestety nie słychać. A przecież ujawnione 3 mln stron danych to jeden wielki akt oskarżenia pod adresem korporacyjnego świata.

## ADEPT ROCKEFELLERA

Na zakup własnej tropikalnej wyspy stać nie byle kogo. Jeffrey Epstein zaczynał jednak jako „byle kto". Jego ojciec był pracownikiem zieleni miejskiej, a matka zajmowała się domem, co nie zapowiadało dla syna żadnej oszałamiającej kariery. Młody Epstein nie skończył nawet studiów i pracował jako nauczyciel, lecz w pewnym momencie dostał angaż w prestiżowym banku inwestycyjnym Bear Stearns. Odtąd jego kariera toczyła się już w zawrotnym tempie.

Już na początku lat 80. młody finansista założył własną firmę konsultingową i zaczął intensywnie jeździć po całym świecie, budując imponującą siatkę kontaktów. W niepublikowanym wcześniej wywiadzie, którego udzielił Steve'owi Bannonowi w 2019 r., Epstein chwalił się, że osobą, która wprowadziła go do świata wielkiej polityki, był David Rockefeller. Wieloletni prezes Chase Manhattan Banku wyjaśniał mu naturę pieniądza, dzielił się osobistymi wspomnieniami i – co najważniejsze – umożliwił pojawienie się m.in. na spotkaniach Komisji Trójstronnej. Ważnym elementem jego kariery miało być także powołanie do rady Uniwersytetu Rockefellera, skupiającej finansową elitę.

Jedną ze swoich wielu finansowych firm Epstein przeniósł w 1996 r. ze względów podatkowych na Wyspy Dziewicze. Z czasem miejsce to stało się jego główną bazą operacyjną, na której



eprasa.pl d705243ad8

zarejestrowane były dwa najważniejsze przedsięwzięcia: Financial Trust Company oraz Southern Trust Company. Epstein po zaledwie dwóch dekadach kariery na Wall Street był już miliarderem, który był w stanie żyć w luksusach i coraz bardziej oddawać się swoim wynaturzonym pasjom.

## LEKCJA EKONOMII

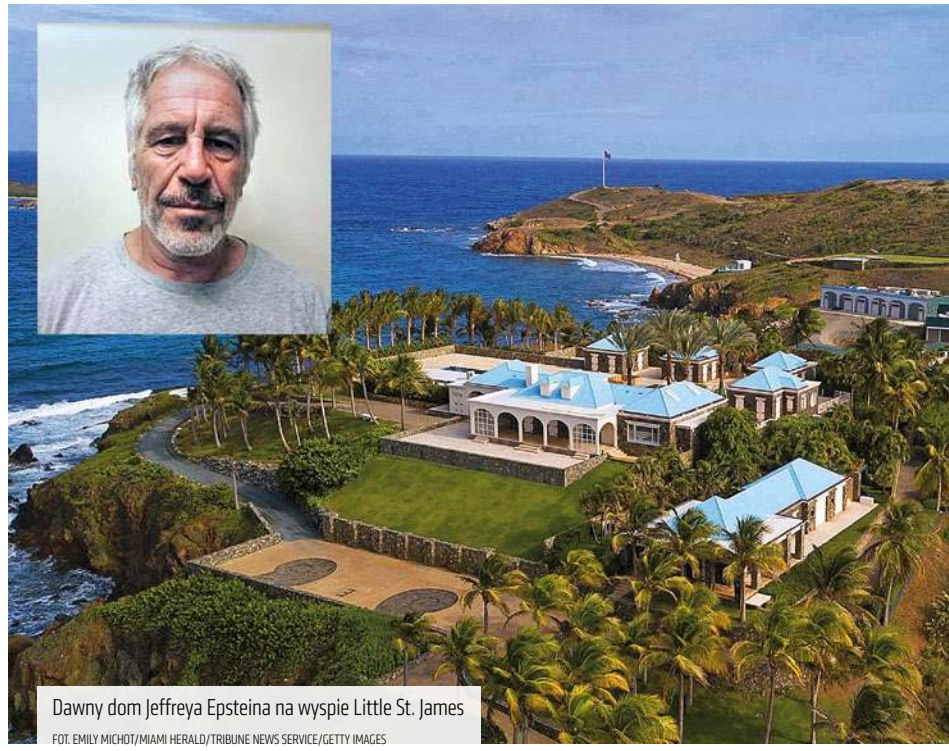
Wspomniany już wywiad z bliskim współpracownikiem Donalda Trumpa, Steve'em Bannonem, zasługuje na szczególną uwagę choćby z tego powodu, że żydowski finansista wygłasza w nim intrygujące teorie na temat funkcjonowania Wall Street i całej szeroko rozumianej bankowości. Jego zdaniem sektor finansowy celowo wyszukuje wciąż nowe i skomplikowane nazwy dla prowadzonych przez siebie operacji, aby stworzyć wśród laików mylne wrażenie, że mają do czynienia z czymś, nad czym są w stanie zapanować tylko eksperci, i że tylko ci eksperci mogą zarabiać tak wielkie pieniądze. Tymczasem cały świat finansów sprowadza się do kilku stosunkowo prostych mechanizmów.

Epstein przekonywał także swojego rozmówcę, że nie tylko ogromna większość zwykłych ludzi, lecz także polityków nie rozumie, na czym polega bankowość rezerw cząstkowych. Z każdego dolara można udzielić kredytów o wartości 9 dol. i gdyby tylko wszyscy sobie z tego zdawali sprawę, nastąpiłby masowy run na banki.

W rzeczywistym świecie moment wybuchu kryzysu okazuje się zawsze nieprzewidywalny. Co ciekawe, Epstein przez pewien czas wspierał nawet finansowo Instytut Santa Fe, który przy pomocy skomplikowanych modeli matematycznych miał znaleźć formułę pozwalającą przewidzieć moment wystąpienia krachu. Wysiłki te okazały się oczywiście daremne, gdyż – jak twierdził Epstein – krach finansowy ma w sobie coś z ataku serca.

## INFORMACJE POUFNE

Kryzys finansowy z 2008 r. zastał zwyrodnialca z Wall Street w więzieniu, gdzie odsiadywał swój pierwszy wyrok za przestępstwa seksualne. Co ciekawe, Epstein stwierdził bez ogródek w rozmowie z Bannonem, że prawdziwym winowajcą pamiętnego krachu był Bill Clinton, który wywierał naciski, aby kredyty subprime były możliwie jak najbardziej dostępne, nawet dla osób o bardzo niskich zarobkach. Banki z Wall Street zareagowały na to polityczne zamówienie, sprzedając sobie swapy ryzyka kredytowego, ale ostatecznie i tak na niewiele się to zdało. Regularne wizyty Clintona na Wyspie Little Saint James – jak widać – nie uchroniły go przed negatywną oceną gospodarza.



Dawny dom Jeffreya Epsteina na wyspie Little St. James

FOT. EMILY MICHOT/MIAMI HERALD/TRIBUNE NEWS SERVICE/GETTY IMAGES

Po wyjściu z więzienia Epstein wznowił swoją działalność w środowisku finansowym. Kryzys zdążył rozlać się już po Europie, gdzie rządy przygotowywały ogromne pakiety ratunkowe dla chwiejącego się sektora finansowego. Szczególnie ważnym kontaktem na tym odcinku był Peter Mandelson, który pełnił funkcję ministra biznesu w laburzystowskim rządzie Gordona Browna. Dzięki niemu, a także innym politykom z Wielkiej Brytanii Epstein był uprzednio informowany o tak ważnych wydarzeniach, jak choćby uruchomienie wartego 500 mld euro bailoutu dla całej strefy euro czy też rezygnacji Browna.

Wykorzystywanie informacji poufnych (tzw. insider trading) stanowiło dla Epsteina i stojącego za nim środowiska jedno z podstawowych źródeł zarobku. Jednocześnie znajomi „Wilka z Little Saint James" w kręgach władzy wpływali na podejmowanie poszczególnych ważnych decyzji. W świetle opublikowanych informacji wiadomo np., że Epstein prowadził działania na rzecz złagodzenia proponowanego podatku od bonusów dla bankierów w Wielkiej Brytanii. Mandelson, który pełnił później funkcję m.in. europejskiego komisarza do spraw handlu oraz brytyjskiego ambasadora w USA, wyjawił nawet Epsteinowi istnienie tajnego tunelu między siedzibą premiera przy Downing Street a Ministerstwem Obrony.

## ŚLEPE BANKI

Jeffrey Epstein swoją działalność lobbingową i finansową okraszał regularnie przestępstwami seksualnymi, których dopuszczał się głównie w swoich domach. Z jego korespondencji wyłania się obraz człowieka, który miał do dyspozycji całą siatkę osób zapewniających mu stały dostęp do „masażystek", „asystentek" i „przyjaciółek". Dla banku JPMorgan Chase nie stanowiło to jednak problemu, ponieważ obsługiwał łącznie aż 134 konta Epsteina. Jak ustalił „The New York Times", przez ponad 10 lat bank zarządzany przez Jamiego Dimona dokonał przekazów finansowych na zlecenie Epsteina o łącznej wartości 1 mld dol. Znaczna część przelewów była kierowana na rachunki młodych kobiet z Europy Wschodniej, co w kontekście uprzedniego skazania Epsteina za prze-



eprasa.pl d705243ad8



stępstwa seksualne powinno wzbudzić co najmniej podejrzenia.

Działy banku odpowiedzialne za bezpieczeństwo transakcji i przeciwdziałanie przestępczości raportowały podejrzaną działalność, ale współpracujący z Epsteinem Jes Staley każdorazowo interweniował, przekonując, że wszystko jest w porządku. Ów odwiedzający wyspę Epsteina bankier krył swojego kolegę przez wiele lat. Zeznając później przed sądem, prezes banku Jamie Dimon stwierdził, że nie miał o całej sprawie żadnego pojęcia, lecz podległa mu instytucja musiała zapłacić ofiarom Epsteina odszkodowania sięgające 365 mln dol.

Cena, którą za współodpowiedzialność w aferze zapłacił JPMorgan Chase, okazała się zatem zastanawiająco niska. To samo mogą zresztą powiedzieć liczne inne banki, w tym Deutsche Bank, który stał się dla Epsteina głównym wyborem po 2013 r. Działy banku odpowiadające za wykrywanie przestępczości nie czuły się zaniepokojone, gdy z rachunków żydowskiego finansisty zlecano przelewy dla młodych pań z Rosji mające w tytule „czesne" czy też „wynajem". Wprawdzie od samego początku Epstein figurował w kartotece banku jako osoba o podwyższonym ryzyku, ale tak jak w JPMorgan Chase nad jego reputacją czuwał tajemniczy opiekun. Podobnie wyglądało to w innych bankach, z których korzystał Epstein, m.in. Wells Fargo, Citi Bank czy też Bank of America.

## „PRACUJĘ DLA ROTHSCHILDÓW"

Największą zagadką całej afery jest oczywiście to, kto dokładnie był mocodawcą Epsteina. Najwięcej śladów prowadzi oczywiście do Izraela i Mosadu, a w dalszej kolejności do CIA. Szczególnie frapujący wydaje się jednak e-mail finansisty wysłany do Petera Thiela, założyciela m.in. PayPal czy też Palantiru, w którym Epstein chwali się, że pracuje dla Rothschildów.

Na podstawie akt opublikowanych 30 stycznia można z całą mocą stwierdzić, że związki z potężną rodziną były w przypadku Epsteina rozległe i wieloletnie. Alan Dershowitz, jeden z głównych oskarżonych w aferze, twierdził, że poznał Epsteina za sprawą Lynn Forester de Rothschild, która miała także zapoznać finansistę z księciem Andrzejem Windsorem. Drugą reprezentantką rodu, z którą Epstein utrzymywał wyjątkowo zażyły kontakt, była Ariane de Rothschild, na której rzecz świadczył usługi doradcze i finansowe. Pedofil z Wysp Dziewiczych pomagał Edmond de Rothschild Group m.in. w związku z oskarżeniami o pranie brudnych pieniędzy w Luksemburgu w latach 2016–2017.

Na szczególną rolę Rothschildów wskazuje niewątpliwie niezwykle wysokie wynagrodzenie, które wypłacili Epsteinowi za usługi doradcze oraz organizację majątku pod kątem kwestii spadkowych. Standardowe stawki za tego typu usługi są kilkukrotnie niższe nawet w przypadku najbardziej cenionych specjalistów w tej dziedzinie, do których Epstein zdecydowanie nie należał. Drugą osobą, która oprócz Ariane de Rothschild wypłacała równie wielkie wynagrodzenie za podobne świadczenia, był mieszkający w Kanadzie magnat rynku nieruchomości Mortimer Zuckerman. Przelewy od Rothschildów i Zuckermana stanowiły jedne z największych, jakie otrzymał w czasie swojej kariery i miały znaczący wpływ na zgromadzenie tak znacznego majątku.

## KIM TAK NAPRAWDĘ BYŁ EPSTEIN?

Zawartość akt sprawy Epsteina jest absolutnie druzgocąca dla świata wielkiego biznesu. Mimo że jak dotąd oskarżono i skazano zaledwie niewielkie grono osób, wszystko wskazuje na to, że w całą sprawę zamieszane były setki, jeśli nie więcej osób znanych z pierwszych stron gazet jako liderzy świata wielkich banków, firm inwestycyjnych i korporacji. Skrajną naiwnością byłoby zakładanie, że zdecydowana większość z nich nie miała pojęcia, kim jest Jeffrey Epstein i czym się zajmuje.

Szczególnie zdumiewające jest jednak to, że cała ogromna korespondencja Jeffreya Epsteina ukazuje go jako osobę, której wiele osób wręcz raportuje swoją działalność. Oprócz Noama Chomsky'ego swego rodzaju sprawozdania z odbytych spotkań, rozmów i postępów w różnorakich projektach przesyłali Epsteinowi prezesi firm konsultingowych, banków, firm inwestycyjnych specjalizujących się w start-upach (tzw. venture capitalists) oraz politycy. Nierzadko były to osoby dysponujące znacznie większym majątkiem niż sam Epstein. Dlaczego zatem czuły się zobowiązane do tego, aby zdawać tego rodzaju raporty?

Lektura akt udostępnionych przez Departament Sprawiedliwości pozwala po raz pierwszy w tak wielkim zakresie zrekonstruować nieformalne mechanizmy mające ogromny wpływ na funkcjonowanie światowej gospodarki oraz ustalić nieformalną hierarchię panującą wśród elit. Szczególnie szokujące jest to, że tak wielkie znaczenie posiada czynnik etniczny i religijny. Sam Epstein w jednym z e-maili tłumaczy wprost na przykładzie mechanizmu kontraktów terminowych, że „goje" są od tego, aby pracować w realnej gospodarce, a Żydzi zarabiają na finansowej „nadbudowie". Pogardliwych odniesień do gojów w ujawnionych aktach jest dużo więcej.

Gdy w wywiadzie z Bannonem Jeffrey Epstein opowiadał o tym, jak dziecinnie proste jest kreowanie środków finansowych przy pomocy systemu rezerwy cząstkowej, niemal świeciły mu się oczy. W tym kontekście można zaryzykować twierdzenie, że afery Jeffreya Epsteina być może nigdy by nie było, gdyby nie łatwość, z jaką współczesny system finansowy kreuje puste pieniądze i umożliwia poprzez nie wpływanie na całą światową gospodarkę i politykę. Pusty pieniądz sprawił, że dusza Epsteina stała się przerażająco pusta i pozbawiona jakichkolwiek ludzkich odruchów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



eprasa.pl d705243ad8



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

# Dwie zdrady Mohylewa

Mohylew na dzisiejszej Białorusi, nad Dnieprem, to miasto, o którego początkach wiadomo niewiele. Pod koniec XIV w. należał do wiana królowej Jadwigi, w roku 1488 otrzymał przywileje handlowe. Wzbogacił się i urósł na znaczeniu – jak pisze Paweł Kornacki w pracy „Burzliwe dzieje Mohylewa" – po utracie przez Litwę Smoleńska w 1514 r. oraz Połocka w 1563 r. Miasto przejęło wówczas znaczną część handlu z Moskwą, zwłaszcza w branży futrzarskiej. Dodatkowo osiedlili się tutaj kupcy ze Smoleńska. Dziś na uwagę zasługują odbudowany po drugiej wojnie światowej ratusz, pierwotnie wzniesiony w XVII w., katedra Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i św. Stanisława, a także monastyr św. Mikołaja, pamiątki czasów świetności miasta. W połowie XVII stulecia liczyło ono do 20 tys. mieszkańców, co oznaczało, że było większe niż Wilno mające wówczas jedynie 14–15 tys. ludności.




RYS. OBA

W 1654 r., w czasie potopu moskiewskiego, Mohylew został zdobyty przez wojska carskie w wyniku zdrady. Na Litwie znalazł się wówczas szlachcic, Konstanty Pokłoński, który przeszedł na stronę moskiewską i skłonił mieszczan do porzucenia króla Jana Kazimierza. Wkrótce mianowany przez cara pułkownikiem wkroczył do Mohylewa, stając się lokalnym watażką, a miasto czyniąc swoją nieformalną stolicą – stąd wyprawiał się na łupiestwa i podjazdy. Ograbił też i wymordował miejscowych Żydów.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

W 1655 r. pod Mohylew podeszły wojska Janusza Radziwiłła, ale pomimo wielokrotnie ponawianych szturmów miasto nie poddało się i hetman musiał odstąpić w maju z wyniszczoną armią. Miasto pozostawało pod władzą cara przez kolejne lata, nie wpuściło też oddziałów kozackiego pułkownika Iwana Neczaja, który w 1658 r. wzniecił powstanie przeciwko władzy carskiej. W Mohylewie rosły jednak antymoskiewskie nastroje. Carscy wojewodowie brutalnie ingerowali w wybory do samorządu, a garnizon dopuszczał się gwałtów i rabunków.

Na początku 1661 r. w mieście zawiązano spisek. 11 lutego, kiedy żołnierze zaczęli rabować przekupki na targu, zgromadzeni na ratuszu mieszczanie pod wodzą burmistrza Leonowicza ruszyli na Moskwę. Jak podaje Paweł Kornacki: „Sam Leonowicz z katowskim mieczem w dłoni wybiegł z ratusza, krzycząc: »Pora, pora!«. Wnet rozdzwoniły się też dzwony, co w całym mieście stało się początkiem pogromu Rosjan".

Jednak bunt omal nie skończył się klęską, gdyż żołnierze garnizonu zaczęli brać górę nad mieszczanami. Wówczas otwarto więzienie, w którym znajdowało się wielu jeńców polskich. Ci natychmiast rzucili się na przeciwników i sprawili, że szybko wycięto w pień garnizon liczący poniżej 2 tys. Moskali. Carskich wojewodów – Semena Sawicza Gorczakowa i Matwieja Andriejewicza Poliewktowa – wzięto do niewoli i wysłano do Warszawy, do króla, z prośbą o wybaczenie wcześniejszej zdrady. Mieszczanie uzyskali odpuszczenie grzechów na sejmie 1661 r., Mohylew otrzymał też nowy herb, a przywódcy buntu – szlachectwo; burmistrz Leonowicz od tej pory zwał się Pora-Leonowicz.

Moskale próbowali odegrać się na mieście; latem 1661 r. ich wojsko wyszło z pobliskiego Bychowa i podeszło pod Mohylew, próbując oblężenie. Polska załoga próbowała wydać bitwę Rosjanom, ale wpadła w zasadzkę. Miasto nie zostało jednak zdobyte, gdyż główna armia carska poniosła w tym samym czasie klęskę pod Kuszlikami, a później padł Stary Bychów zdobyty przez Stefana Czarnieckiego. „Obydwie zdrady Mohylewa – jak pisze Paweł Kornacki – bardzo mu się opłaciły". W późniejszych latach miasto czekały czasy rozwoju i bogactwa, aż do końca XVII w.

Klęska i zniszczenie miasta nastąpiły w 1708 r., w wyniku wielkiej wojny północnej. Najpierw przez Mohylew przeszła armia szwedzka króla Karola XII, która zrabowała część żywności. 8 września pojawiły się tutaj oddziały rosyjskie i… kałmuckie. Rozpoczęły się rzeź i rabunek miasta, które wkrótce zostało podpalone. Spalono większość cerkwi, zniszczono rynek, tak że ocalały tylko przedmieścia. Akcja miała zapewne na celu to, aby podążający za królem szwedzkim gen. Loewenhaupt, który prowadził tabor z żywnością, nie mógł znaleźć tutaj bezpiecznej przystani. Mohylew upadł na wiele lat, w XVIII w. był prawie taki sam jak w połowie XVI stulecia. Podzielił w końcu los wielu miast Rzeczypospolitej, które zrujnowały doszczętnie przemarsze i rabunki obcych wojsk. ©℗



eprasa.pl d705243ad8

# VOLVO XC60 T6 AWD RECHARGE




FOT. JAP

Długowieczne XC60 to oficjalnie najpopularniejszy model Volvo wszech czasów (nie tylko na rynku polskim, lecz także globalnym). Kompaktowy SUV XC60 zadebiutował w roku 2008 i szybko stał się bestsellerem. W roku 2018 zdobył tytuł World Car of the Year, a w połowie roku ubiegłego sprzedaż tego modelu przekroczyła 2,7 mln egzemplarzy. XC60 zapisał się wówczas na pierwszym miejscu w księdze rekordów marki, pokonując wyniki sprzedaży kultowej serii 240 (produkowanej w latach 1974–1993 i cieszącej się opinią „niezniszczalnej szwedzkiej cegły").

Testowane XC60 mocno różni się jednak od wersji z roku 2008. Sprzedaż aut pierwszej generacji szwedzka marka zakończyła w 2017 r. Kolejna generacja przeszła już dwa liftingi: w latach 2022 i 2025. Sprawdzamy zatem, jak jeździ odnowiony bestseller, który mimo upływu lat nadal znajduje się w czołówce najlepiej sprzedających się SUV-ów w Polsce.

Z zewnątrz zmiany nie są rewolucyjne. Odświeżono wygląd atrapy chłodnicy i przyciemniono tylne lampy, a w katalogach pojawiły się m.in. nowe kolory lakierów oraz wzory felg.

XC60 występuje jako miękka hybryda lub hybryda plug-in o mocy 350 KM lub 455 KM. My przetestowaliśmy wersję o mocy 350 KM z maksymalnym momentem obrotowym na poziomie aż 659 Nm, co pozwala na sprint od zera do 100 km/h w 5,7 s. Mocy nie brakuje również przy wyprzedzaniu w trasie. Według producenta auto wyłącznie na prądzie potrafi przejechać nawet 83 km w cyklu mieszanym (podczas testu na skutych lodem drogach trudno było nam się choćby zbliżyć do 80 km).

W przestronnej minimalistycznie wykończonej kabinie po odświeżeniu pojawił się większy ekran dotykowy o przekątnej 11,2 cala. System multimedialny, z wbudowanymi mapami Google, działa bez zarzutu. Wygodniejsza stała się też obsługa klimatyzacji, która zyskała swoje stałe miejsce u dołu ekranu. Tradycyjnie fotele są wygodne, a wysokiej jakości materiały dobrze spasowane. Jazda XC60 jest komfortowa zarówno dzięki świetnemu wyciszeniu kabiny, jak i bardzo dobrze zestrojonemu zawieszeniu (z jednej strony auto pewnie pokonuje serpentyny, a z drugiej dobrze tłumi wszelkie nierówności). Samochód jest też naszpikowany systemami bezpieczeństwa, które nie tylko ostrzegają przed ryzykiem kolizji, lecz także potrafią przejąć kontrolę nad autem, aby uniemożliwić np. uderzenie w pojazd znajdujący się w martwym polu lusterek.

Dobrze, że chiński koncern Geely, który jest właścicielem szwedzkiej marki, nie zdecydował się np. na wypuszczenie trzeciej generacji XC60 w wersji tylko elektrycznej. Nie bez powodu ten model nadal mocno wyprzedza takich konkurentów jak Mercedes czy Porsche. A ceny? Najtańsze XC60 z napędem T6 AWD plug-in kosztuje 269,9 tys. zł. Wersja Ultra (z dachem panoramicznym, kamerą 360 stopni i wyświetlaczem przeziernym) to już wydatek rzędu 317,9 tys. zł.

# MONITOR PHILIPS 34B2U3600CH

Duża powierzchnia robocza ekranu, minimalistyczne wzornictwo, świetny kontrast, głęboka czerń, wysuwana kamera internetowa, wiele możliwości połączeń oraz mnóstwo przydatnych funkcji, takich jak Smart KVM – to największe zalety 34-calowego modelu 34B2U3600CH biznesowego monitora marki Philips.

Solidnie wykonany monitor już na pierwszy rzut oka zdradza dwie zalety: dużą powierzchnię roboczą ekranu (34 cale) oraz format ultrawide (21:9). Dzięki tym dwóm cechom na testowanym monitorze bez trudu można pracować np. na kilku programach jednocześnie lub na jednym pliku arkusza kalkulacyjnego z bardzo dużą liczbą wierszy oraz kolumn. Oczywiście tak duży monitor ma zakrzywiony ekran (nie trzeba zatem bardzo mocno kręcić głową, aby ogarnąć wzrokiem cały ekran). Monitor o rozdzielczości 3440 x 1440 jest jasny i dobrze radzi sobie z odwzorowywaniem naturalnych barw. Producent zastosował tu matrycę VA, której cechą charakterystyczną są wysoki kontrast, głęboka czerń oraz żywy obraz. Zaletą tego modelu jest także odświeżanie na poziomie 120 Hz. Jak na matrycę VA naprawdę przyzwoite są tu także kąty widzenia (178/178 stopni). Spokojnie po godzinach można zatem na tym monitorze obejrzeć nie tylko kolejną prezentację, lecz także dobry film (choć lepiej to zrobić na słuchawkach, bo dźwięk z głośniczków nie należy do najlepszych).




FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Bardzo fajną cechą testowanego monitora 34B2U3600CH jest to, że może on pełnić funkcję stacji dokującej. Osoby pracujące zdalnie za szczególnie przydatny uznają zapewne przełącznik Smart KVM. Pozwala on jednocześnie podłączyć dwa komputery (np. służbowy i prywatny) i sterować nimi za pomocą jednej myszki oraz jednej klawiatury.

Minusy? Czas reakcji testowanego modelu wynosi 4 ms. Mało i dużo. Z pewnością nie jest to monitor przeznaczony dla najbardziej zapalonych graczy (ci potrzebują sprzętu z czasem reakcji na poziomie 1 ms lub jeszcze krótszego), ale dla wielu graczy amatorów testowany monitor nadal będzie oferował dobrą płynność w większości gier. Innymi słowy, przy grach typu RPG nie powinno być problemu, ale już do bardzo dynamicznych strzelanek raczej się nie nadaje (nie tylko ze względu na czas reakcji, lecz także ryzyko smużenia charakterystyczne dla matryc VA). Cena: 2099 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**



eprasa.pl d705243ad8



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

# Cesarski bałagan

Kuchnia austriacka to nie tylko idealnie wysmażony i bardzo cienki sznycel wiedeński podawany z ćwiartką cytryny. Kaiserschmarrn to klasyk kuchni austriackiej – omlet, który zawsze wychodzi, jeden z najlepszych austriackich przysmaków na słodko. To wyjątkowo puszysty naleśnik biszkoptowy, którym zajadał się cesarz Franciszek Józef I – stąd taka, a nie inna nazwa.

Cesarz był wierny kuchni austriackiej i raczej nie lubił eksperymentów. Historia cesarskiego przysmaku świadczy jednak o tym, że podlegał on eksperymentom. Otóż nowo przyjęty kucharz miał przygotować typowy omlet, ale taki, żeby był idealny, i – o zgrozo! – ten mu się zupełnie nie udał. Nie tylko nie wyszedł idealnie, lecz także rozpadł się na kawałki na patelni. Zdenerwowany kucharz nie wiedząc, co zrobić, postanowił



FOT. ADOBE STOCK

bezczelnie pójść va banque i podał w tej postaci omlet cesarzowi, posypując go jedynie cukrem pudrem i smarując powidłami. Stwierdził przy tym, że tak ma być. Sporo ryzykował, ale, o dziwo, cesarz był zachwycony i odtąd Kaiserschmarrn, czyli „Cesarski bałagan", stał się ulubionym przysmakiem na dworze cesarza Austrii. Teraz zajadają się nim zwłaszcza narciarze, ponieważ w każdej restauracyjce na stokach w Alpach austriackich serwują to danie.

Omlet jest też doskonałą propozycją na śniadanie lub deser – podawany może być także z musem jabłkowym albo sosem waniliowym i hojnie posypany cukrem pudrem. Oczywiście możemy zjeść go z każdą inną ulubioną kwaśną konfiturą lub ze świeżymi owocami. Sekret puszystości tkwi w szczegółach – najpierw ucieramy żółtko z mlekiem i cukrem waniliowym, a białka ubijamy na sztywno oddzielnie. Wszystko razem mieszamy delikatnie szpatułką i smażymy na rozgrzanym maśle, najlepiej klarowanym, na średnio rozgrzanej patelni. Delikatnie całość przewracamy i nawet jeśli środek będzie płynny, to i tak za chwilę, gdy przewrócimy na drugą stronę, ciasto zetnie się odpowiednio. Jeszcze na patelni kroimy na kwadraciki i chwilkę smażymy.

## Cesarski omlet

• 1 duża łyżka masła • 3 jajka • 200 ml mleka • 100 g mąki pszennej lub orkiszowej tortowej • szczypta soli • 2 łyżeczki cukru • powidła z kwaśnych jabłek lub innych owoców • cukier puder • patelnia, najlepiej z pokrywką

Żółtka ucieramy z cukrem, dodajemy mleko i mąkę. Białka ubijamy z solą na sztywną pianę. Wszystko razem mieszamy delikatnie szpatułką. Na patelni rozgrzewamy masło i wylewamy masę, smażymy kilka minut pod przykryciem, delikatnie obracamy, smażymy jeszcze kilka minut. Jeszcze na patelni kroimy szpatułką omlet na kwadraty i dopiekamy z każdej ze stron. Podajemy z powidłami i cukrem pudrem. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

# Ostatni triumf Armaniego

Nie mamy dobrych wspomnień po Mongołach, ale trudno nie przyznać, że trzyosobowa ekipa Mongolii miała najlepsze stroje na otwarciu igrzysk olimpijskich w Cortina d'Ampezzo. Mongolski strój nawiązywał do XIII-wiecznego ubrania dworskiego. Wełniane szaty, czapy wykończone futrem. – To dziedzictwo kulturowe – zakrzyknęli internauci, ewidentnie znudzeni pomysłami, na które wysilali się projektanci innych ekip.

Zaskoczyć próbowało też Haiti, ale dwóch zawodników tego kraju w strojach w tropikalnych kolorach robiło wrażenie raczej operetkowe.

Ceremonia otwarcia jest popisem możliwości i potęgi każdego kraju, paradą projektantów i firm sportowych, gigantycznym wehikułem reklamowym. Oglądamy stroje paradne, ubrania robocze, startowe to inna broszka. Olimpiada to dla kreatorów okazja, aby pokazać się w innej odsłonie niż zwykły pokaz mody. Każdy kraj wystawia to, co ma najlepsze.

Po raz 10. amerykańską ekipę ubiera Ralph Lauren i można zrozumieć, dlaczego do Laurena wracają. Bez wysilania się, w stylu luksusowego retro, jak Lauren lubi – kremowe budrysówki, wełniane spodnie. Jak w przedwojennym szwajcarskim kurorcie.

Dla Włochów pracował – któż by inny – Giorgio Armani. Zakładając, że sam mistrz pilnował ważnego zadania w ostatnich miesiącach życia, żałujmy, że nie mógł go zobaczyć na defiladzie inauguracyjnej. Trzy rzędy sportowców ubranych na biało, zielono i czerwono – był to spektakl o czystości i elegancji prawdziwie włoskiej.

Brazylia ma niewielką wprawę w strojach zimowych. Powstały więc one we współpracy z luksusową marką Moncler, słynną z puchowych kurtek. Ale nie spodziewajcie się kurtek, w jakich chodzi ulica. Otrzymaliśmy rewię popisowych konceptualnych krojów, płaszczy skrojonych z rozmachem, jak spadochrony. Norwegowie – jak przystało na tradycję – wzory norweskie. Ładnie, praktycznie i zgodnie z oczekiwaniami.

Niestety o strojach naszej reprezentacji niewiele dobrego da się powiedzieć. Nie pomoże epatowanie technicznymi nazwami użytych materiałów. Nasi olimpijczycy byli ubrani nieciekawie i banalnie. Czerwone czapki, białe kurtki i szare spodnie; w dodatku łudząco podobne do Węgier i Albanii... Nie było tam nic, na czym mogłoby się zatrzymać oko. Podobno zawinił Adidas, który obu reprezentacjom sprzedał ten sam projekt. W każdym razie skandal.

Przypomina mi się jedyny triumf kostiumowy naszej ekipy, niestety w zamierzchłym czasie. Białe kożuszki z parzenicą naszych olimpijczyków z Grenoble w 1968 r. do Polski nie wróciły, bo sportowcy wymienili je we Francji na ówczesną twardą walutę... To były czasy! ©℗



eprasa.pl d705243ad8



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

# O sztuce sprawozdawania

Przed laty, jeszcze za komunizmu, po Polsce krążył maszynopis, wszystkiego dwie stroniczki, kojarzący się z samizdatem. Składał się wyłącznie ze spisanych grubych wpadek naszych sportowych komentatorów. Niektóre bardzo oryginalne związki frazeologiczne zwalały z nóg. Inne bezlitośnie obnażały nieporadność językową i nieznajomość podstawowych reguł naszej skomplikowanej gramatyki. Naród to sobie czytał i zarykiwał się śmiechem.

Ja też się śmiałem. Do czasu, gdy kilkanaście lat później przyszło mi zasiąść przed mikrofonem na stadionie Wembley, by relacjonować futbolowy mecz Anglia – Polska. Mówiąc oględnie, jak to ujmują Anglicy, mój występ, podobnie jak naszych piłkarzy, sukcesem nie był. Był za to bolesną lekcją pokory.

Teraz identyczną naukę pobiera szef redakcji sportowej włoskiej telewizji publicznej RAI Paolo Petrecca. Tyle że łaja go i wyśmiewa cały naród, a koszmarne błędy wytykają wszystkie bez wyjątku włoskie media. Petrecca prawem szefa z mocnym poparciem, mimo protestów całego zespołu, obsadził siebie w roli głównego komentatora ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich, a dyrekcja tę decyzję zaakceptowała. Niestety, zgodnie z obawami zadanie całkowicie go przerosło.

Zaczęło się fatalnie. Powitał telewidzów ze stadionu olimpijskiego (takie są tylko w Rzymie i Turynie), a był na stadionie im. Giuseppego Meazzy w Mediolanie, popularnym San Siro. A potem było jeszcze gorzej. Pomylił Matildę De Angelis z Mariah Carey, a szefową MKOl Kirsty Coventry z odgrywającą rolę pierwszej damy córką prezydenta Sergia Mattarelli (jest wdowcem). Nie rozpoznał włoskich siatkarskich mistrzyń i mistrzów świata, biorących udział w sztafecie z ogniem olimpijskim, pominął całkowitym milczeniem oczekiwany z napięciem występ rapera Ghali (wszyscy obawiali się, że palnie coś niestosownego). Potem pojawiły się kłopoty z arytmetyką: „Kazachstan, tylko czterech sportowców. Sześciu z nich to biegacze narciarscy".

Co gorsza, podczas parady drużyn naśmiewał się z Beninu, bo tam praktykują voodoo, z „gorących" Hiszpanów i strojów ekip arabskich, a Australijczyków przywitał: „O! Skaczą kangury!". Poziom tych i innych „żartów" był po prostu żenujący i kompromitujący.

Dziennikarze sportowi RAI niemal spalili się ze wstydu. W ramach protestu postanowili występować bez nazwisk, bo nie chcą podpisywać się pod błędnymi decyzjami dyrekcji RAI. Zapowiedzieli kilkudniowy strajk po zakończeniu igrzysk. Kłania się Molier: „Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało". ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

# Ukraińskie nadzieje

Odwiedziła mnie Elina w drodze ze swego Kijowa do Brukseli. Chciałem posłuchać, co tam u nich, ale jakoś nie bardzo wyszło.

Oni tam jednak bardzo nakręceni propagandą. Z dumą opowiadają, że będą walczyć do zwycięstwa, a na pytanie, jak to zwycięstwo ma wyglądać, to zaczynała Elina coś kręcić. Głupio tak uświadamiać walczących, że może jednak przegrywają, skoro sami w to nie wierzą albo wierzyć nie chcą. Ale jak już się dowiedziałem, że „w sensie technologicznym to wygrywają tę wojnę", trochę się załamałem. Ja rozumiem zasady motywującej propagandy wojennej, ale bez przesady. Wspomniałem delikatnie, że my też w drugiej wojnie światowej walczyliśmy do końca, straciliśmy 6 mln ludzi, a wojnę tak wygraliśmy, że do dziś się nie możemy pozbierać, a nawet nas na defiladę do Londynu nie zaprosili. Widocznie głupio im było. I powiedziałem Elinie, że się obawiam takiej powtórki z historii, z tym że chyba po raz pierwszy to nie będzie już trenowane na nas.

Odbiłem się od tych wszystkich kalek: Unia – cudowna, Orbán z Trumpem – ucieleśnienie zła, może nawet gorsze niż Putin. Putin to wiadomo, ale ci to zdrajcy. Najgorsze jest to tamtejsze zapatrzenie w Unię, wypieranie faktów o jej militarnej słabości, mylenie Brukseli z NATO, nadzieja, że bez jankesów też wspólnie damy radę. Żal patrzeć, z drugiej strony człowiek widzi siebie z lat 90. III RP. Te same naiwne, wdrukowane hasła, naiwna nadzieja, która wypiera resztki rozumu, jeden ruch, zapisanie się do tego cuda i wszelkie problemy znikają jak ręką odjął. I widzę już oczyma wyobraźni przed nimi tę drogę, którą my przeszliśmy z tą Unią: od nadziei poprzez fascynację, pierwsze zawody, odraczanie trudnych konstatacji, potem zawód, że kolejny raz człowiek dał się nabrać.

Zeszło na spadek akceptacji Ukraińców przez Polaków. Ja nieśmiało zauważyłem, że może by odpuścić te ekshumacje na Wołyniu. Dostałem odpowiedź, że im teraz nie w głowie wykopaliska, bo wojują z Putinem. Na co ja – czepialski – wspomniałem, że akurat ta wojna nie przeszkodziła im w ekshumacji ponad 100 tys. żołnierzy Wehrmachtu. Tu ją trochę zatkało, ale odpowiedziała, że przecież polskie ekshumacje ruszyły pełną parą. Jak bym oglądał TVP.

Ja wiem, mają tam wojnę, marzną, ale ten brak refleksji przypomina naszą zadziorność do ostatniego żołnierza, wzmacnianie się samooszustwem o wartościach i że świat doceni, zwłaszcza że – jak wiadomo – walczą tam za nas. Co już jest chyba najbardziej tragicznym argumentem kontynuowania tej wojny, nadającym im tam jakiś sens trwania w tym konflikcie. Tragicznym, bo fałszywym. ©℗



eprasa.pl d705243ad8



SPODE ŁBA

# Prawie jak w Polsce?

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Typową dla polskiej debaty publicznej formę przybierać zaczęły spory dotyczące ujawnionej pod koniec stycznia transzy dokumentów, powiązanych ze sprawą Jeffreya Epsteina. W Stanach Zjednoczonych wywołały one burzę. Okazało się bowiem, że konspiracja, której elementem był Epstein, nie tylko trudniła się prowadzonym na ogromną skalę handlem ludźmi, lecz także wywierała bardzo realny wpływ na światową gospodarkę i rynki finansowe, dublując, na karaibskiej wysepce, obrady Światowego Forum Ekonomicznego w Davos i konferencji Bilderberg. Trudno nie dostrzec, że wśród korespondentów i partnerów biznesowych Epsteina pojawia się wielu globalnych przedsiębiorców i „mężów stanu", zasiadających w obu gremiach. Większość polskich dyskusji nad ujawnionymi dokumentami koncentruje się jednak na tak kluczowych kwestiach jak to, czy Wojciech Fibak był tenisistą przeciętnym czy też wybitnym, albo jakiego rodzaju kariery robiły za oceanem polskie modelki. Jeśli nasi eksperci pozwalają sobie na bardziej złożone wywody, to prowadzą one zazwyczaj do mało odkrywczych stwierdzeń, że polityką zajmują się dziś na świecie ludzie źli, a prezydent Władimir Putin jest osobą nadzwyczaj i nieodmiennie podejrzaną.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA




Nieco inaczej podchodzą do sprawy Epsteina amerykańscy wyborcy. Trudno nie odnieść wrażenia, że poczuli się oni brutalnie „robieni w balona". Najwyżsi rangą urzędnicy administracji Donalda Trumpa, z samym prezydentem na czele, przez cały ubiegły rok zapewniali wielokrotnie, że w sprawie Jeffreya Epsteina wyjaśniono już prawie wszystko, a w niejawnych (do stycznia 2026 r.) dokumentach nie ma nic godnego uwagi. Jeszcze we wrześniu 2025 r. urzędujący dyrektor FBI, Kash Patel, oświadczył podczas przesłuchania w Senacie, iż „nie istnieją żadne wiarygodne informacje, że Jeffrey Epstein dostarczał kobiety lub niepełnoletnie dziewczyny komukolwiek innemu niż sobie". W podobnym duchu wypowiadała się, wielokrotnie, amerykańska prokurator generalna, Pam Bondi. W lipcu 2025 r. zapewniała ona Amerykanów publicznie: „Udostępniliśmy już w tej sprawie wszystkie wiarygodne informacje". W świetle kilku milionów dokumentów udostępnionych niedawno deklaracja ta była zdecydowanie na wyrost.

Szczególnie bulwersujący dla amerykańskiej, a pewnie i światowej opinii publicznej może być dokument wydany 7 lipca 2025 r. przez Departament Sprawiedliwości USA oraz FBI, znany jako „July 2025 DOJ/FBI Epstein memo". Ma on status oficjalnego oświadczenia i odpowiedzialność za zawarte w nim tezy ponoszą najwyżsi urzędnicy administracji Donalda Trumpa. Można w nim było przeczytać, że „przeprowadzony systematyczny przegląd dowodów w sprawie nie ujawnił żadnej obciążającej listy klientów", „nie stwierdzono również żadnych wiarygodnych dowodów na to, aby Epstein, w ramach swojej działalności, szantażował jakiekolwiek prominentne osoby", oraz „nie odnaleziono żadnych dowodów, które mogłyby stanowić podstawę do wszczęcia postępowania wobec osób trzecich, którym dotychczas nie postawiono zarzutów". Dokument z lipca 2025 r. kończy się kategoryczną deklaracją: „Departament Sprawiedliwości oraz Federalne Biuro Śledcze ustaliły, że dalsze ujawnianie informacji nie byłoby ani właściwe, ani wskazane".

Przez ostatnie 80 lat Polacy przyzwyczaili się już, że rządzący naszym krajem – z rozmaitego nadania – politycy okłamują opinię publiczną bezczelnie, czerpiąc z tego różnorakie profity. Tak zwane wolne media ochoczo uczestniczą w tym procederze, nie stawiając kłopotliwych pytań. Zakup 10 dawek antycovidowej szczepionki na głowę każdego obywatela uznano zatem w Polsce za sprawę wyjaśnioną, a nieistnienie żadnych nagrań w „aferze podkarpackiej" przedstawiono jako oczywistość. Gdyby była taka potrzeba, zniknęłaby z przestrzeni medialnej nie tylko sama afera, lecz także całe Podkarpacie. Dla opinii publicznej USA podobne igraszki rządzących stanowią wciąż zaskoczenie i powód do powszechnego wzburzenia. ©℗



eprasa.pl d705243ad8



GRZEGORZ KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

# Nie tylko bracia Grimm

Nie będę wymieniał ani nazwiska autora, ani tytułu książki, aby nie być posądzonym o lokowanie na tych łamach kiepskiego produktu. Chodzi o poglądy, które wpisują się w długą tradycję mitotwórczej działalności narodu niemieckiego.

Od czasu, gdy w XVI stuleciu Marcin Luter wmówił sporej części swoich rodaków, że Kościół przez XV wieków nie znał „prawdziwej i czystej Ewangelii", nasi zachodni sąsiedzi odnaleźli w sobie nadzwyczajną wprost predylekcję do ulegania mitom i legendom, które sami wytworzyli. To zaś oznaczało skłonność do tworzenia takich czy innych utopii, które – jak wierzyli kolejni niemieccy „odnowiciele" świata – można urzeczywistnić za sprawą rewolucyjnej przemocy. Jak pisał Krasiński, „każden Niemiec Robespierrus natus est".

Kto nie wierzy, niech przypomni sobie zrodzony w krajach niemieckich marksizm lub fatalne skutki wartkiego nurtu Renu wpływającego od lat 60. XX w. do Tybru (niemieccy „odnowiciele" Kościoła od Karla Rahnera do niemieckiej „drogi synodalnej"). Nawet „pancerny kardynał" z Niemiec, który stał się papieżem, zakończył swój pontyfikat rewolucyjną decyzją o abdykacji.

Całkiem niedawno otrzymaliśmy kolejny dowód na niemiecką skłonność do mitotwórstwa w postaci książki, której autor całkiem poważnie – na tyle poważnie, że władze berlińskiego Wolnego Uniwersytetu potraktowały jego wywody jako podstawę do habilitacji – twierdzi, że w latach drugiej wojny światowej na obszarze Generalnego Gubernatorstwa istniała „niemiecko-polska administracja", a Holokaust był „transnarodowym przedsięwzięciem", w którym brali udział właściwie wszyscy (z podkreśleniem przez autora prominentnego udziału polskich burmistrzów i „miejscowej ludności chrześcijańskiej") z wyjątkiem państwa niemieckiego.

Najwyraźniej zatem dowódca SS i policji Reichsführer Heinrich Himmler, któremu podlegała cała sieć niemieckich obozów koncentracyjnych i zagłady, nie wiedział, w czym uczestniczył i czym kierował. Bo przecież przemawiając 4 października 1943 r. w Poznaniu do kadry dowódczej SS, odnosząc się do prowadzonej przez Niemcy ludobójczej eksterminacji ludności żydowskiej, chełpił się: „Mieliśmy moralne prawo, mieliśmy obowiązek wobec naszych ludzi, zabić tych, którzy chcieli zabić nas […]. Ogólnie mówiąc, możemy stwierdzić, że w imię miłości do naszego ludu dokonaliśmy najtrudniejszego zadania. I przy tym nie pokalaliśmy naszego wnętrza, naszej duszy, naszego charakteru".

Himmler mówił wyraźnie do swoich najbliższych współpracowników: To my, Niemcy, dokonaliśmy tego wszystkiego. To my, Niemcy, zabijając tych, którzy chcieli zabić nas, zachowaliśmy wewnętrzną czystość. To my, Niemcy, możemy być z tego dumni.

Nagrodzone habilitacją na Freie Universität bredzenie o tym, że Holokaust był „transnarodowym przedsięwzięciem", daje doskonały argument tym wszystkim, którzy uprawiają propagandę negacjonistyczną w odniesieniu do pierwszego w dziejach XX w. ludobójstwa: eksterminacji Ormian oraz innych chrześcijan w Turcji, począwszy od 1915 r. Tureccy negacjoniści będą teraz mogli mówić, że jeśli już doszło wtedy do ludobójstwa, to było ono transnarodowe, bo przecież konwoje śmierci wiodące Ormian na pustynię syryjską eskortowali Kurdowie, a ochronę dyplomatyczną dla tej akcji zapewniała cesarska Rzesza Niemiecka, pieczołowicie chroniąca dobre imię swojego tureckiego sojusznika z czasów pierwszej wojny światowej.

Dla porządku przypomnę: w 1915 r. inicjatorem, organizatorem i beneficjentem (także w sensie czysto materialnym) ludobójstwa było państwo tureckie. Działało ono, realizując ideologiczny projekt panturanizmu, stworzenia „wielkiej wspólnoty ludów tureckich" od Bosforu po Góry Ałtaj. I podobnie było po wrześniu 1939 r. na ziemiach polskich, gdzie inicjatorem, organizatorem i beneficjentem (także w sensie czysto materialnym) ludobójstwa było państwo niemieckie, które kierowało się ideologią stworzenia Lebensraumu dla „czystych rasowo Nordyków". Najpierw eksterminowano polskie elity. A w Piaśnicy, gdzie mordowali również tzw. zwykli Niemcy z oddziałów pomorskiego Selbstschutzu, próżno szukać transnarodowych akcentów. No ale o tym w niemieckich bajkach państwo nie przeczytają. ©℗

**Od kiedy Marcin Luter wmówił sporej części rodaków, że Kościół przez XV wieków nie znał „prawdziwej i czystej Ewangelii", nasi zachodni sąsiedzi odnaleźli w sobie nadzwyczajną predylekcję do ulegania mitom**



eprasa.pl d705243ad8

# NASTRÓJ



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

*Wojciech Cejrowski*
*korespondencja z USA*

Dow Jones – indeks giełdowy. Ma ponad sto lat. Wymieniają go wszystkie dodatki ekonomiczne, jest podawany w wiadomościach w trójce najważniejszych indeksów. Jego wartość pokazuje stan spółek giełdowych w Ameryce. Gdy wartość akcji spada, Dow idzie w dół; gdy gospodarka się rozwija, Dow idzie w górę. Indeks jest narzędziem statystycznym, pokazuje pewną średnią.

Rozmiar gospodarki, nawet tak wielkiej jak amerykańska, ma różne obiektywne ograniczenia, więc da się przewidzieć, że Dow nie podskoczy powyżej pewnej granicy. Przełóżmy to na język dla laików: powiedzmy, że jakiś chłop ma łąki i krowy. Wiemy, ile tego ma, wiemy, że nie jest w stanie zwiększyć produkcji mleka powyżej pewnej granicy. Tę granicę da się oszacować, bo żadna krowa świata nie da więcej mleka niż X, oraz na tych jego łąkach nie da się upchnąć więcej krów niż określona ich liczba. Czyli można oszacować nieprzekraczalną granicę wzrostu produkcji.

Dla indeksu Dow Jones taką nieprzekraczalną granicą była liczba 50 000 punktów. Ekonomiści pisali, że kiedyś być może zostanie przekroczona, ale na obecnym etapie rozwoju gospodarki amerykańskiej nieprędko.

***

Dow spada, gdy w gospodarce dzieje się źle. W roku 2024, w trakcie kampanii wyborczej, 16 ekonomistów z Nagrodami Nobla ostrzegało, że wygrana Donalda Trumpa i wprowadzenie jego pomysłów ekonomicznych doprowadzi do wzrostu inflacji. Według ich noblowskich wyliczeń Dow miał spadać. Tymczasem w efekcie działań Donalda Trumpa indeks Dow Jones właśnie przekroczył „nieosiągalną" granicę 50 000 punktów. Szesnastu czołowych ekonomistów powinno teraz honorowo oddać te swoje Noble.

Co przegapili w swoich przewidywaniach? Przegapili nastrój. Sytuacja ekonomiczna to nie tylko pieniądze i statystyki, lecz także gra nastrojów. Gdy nastroje są pozytywne, wówczas ekonomia się poprawia, nawet gdy to nie wynika z sytuacji pieniądza. Ludzie, gdy mają dobry nastrój, kupują więcej, inwestują więcej, budują domy – stawiają na rozwój pod hasłem „jest dobrze".

Cła, za pomocą których walczy Trump, nie spowodowały wzrostu cen. Spowodowały zwiększone wpływy do budżetu, co pozwala zmniejszać podatki. Spowodowały kolosalny napływ inwestycji do USA, bo bardziej opłaca się otworzyć fabrykę w Ameryce, niż dowozić towar produkowany za granicą.

Szesnastu noblistów być może zna się na pieniądzach, ale nie zna się na uczuciach. Trump zna się na jednym i drugim. Jego pola golfowe odnoszą sukcesy, bo są przepiękne i chce się na nich grać. Jego Złoty Wieżowiec w Nowym Jorku wygrywał z innymi wieżowcami, ponieważ bogacze z całego świata lubią złoto i woleli kupować mieszkania w wieżowcu złotym, a nie w innym zaraz obok. Trump rozumie pieniądze oraz doskonale rozumie uczucia, emocje. Wciąż akcentuje pozytywy, sukces, wielkość Ameryki.

Ameryka jest teraz jak restauracja, w której ktoś urządził doskonałe przyjęcie. Obok są inne restauracje i niektóre z nich serwują równie dobre żarcie, ale w Restauracji Ameryka jest dodatkowo najlepszy nastrój.

***

„Accentuate the Positive" – amerykańska piosenka z lat 40. XX w. Kolosalny przebój wtedy i bardzo długo potem. Tekst piosenki to przeróbka pewnego kazania. Kaznodzieja nauczał, że poprawna postawa życiowa polega na dzieleniu się radościami, a nieszczęścia i smutki nie powinny odciągać naszej uwagi od tego, co piękne, dobre, radosne. Nie powinny zamulać życia. Narzekanie jest patrzeniem w dół, a mamy patrzeć w górę, wychodzić z dołu, a nie studiować dno.

„Akcentuj pozytywy" – Bing Crosby & The Andrews Sisters nagrali tę piosenkę w roku 1944. Po nich nagrywało ją wielu kolejnych artystów, bo tekst doskonale oddaje amerykańskiego ducha.

W Ameryce ludzie lubią pozytywy – narzekanie jest w złym tonie. Widać to w prostych reakcjach na nieszczęścia. Gdy inne narody mówią: „Jest źle", Amerykanie w dokładnie takiej samej sytuacji wolą powiedzieć: „Damy sobie z tym radę".

***

Amerykanie często żartują z własnych wad, a nawet nieszczęść i to jest zachowanie w dobrym tonie. Kurduple żartują z własnego niskiego wzrostu, tłuściochy ze swojej nadwagi. Byłem na występie komika, który się koszmarnie jąka, i zrobił z tego jąkania show – zarabia na jąkaniu.

Jednym z prowadzących w telewizji Fox jest weteran, któremu na wojnie urwało obie nogi. Ma stalowe protezy i robi czasami zaskakujące żarty, które zbijają gości z pantałyku. Siedzi, mówi coś, a potem zaczyna kręcić sztuczną nogą w sposób niewykonalny dla nogi zdrowej.

Na studiach w Kalifornii miałem koleżankę, która była obiektywnie bardzo brzydka. Umawiała się na randki tak samo często jak jej koleżanki, które były ładne, a to dlatego, że potrafiła w sposób amerykański zaakcentować to, co pozytywne: „Dobra, umówię się z tobą, ale pod warunkiem, że nie będziesz patrzył na moją twarz, tylko gdzieś niżej, bo figurę mam doskonałą, tylko gęba kiepska. Gdyby w konkursach piękności dało się brać udział bez głowy, to już dawno byłabym Miss America". I taki miała przydomek na uczelni: Miss America. Ostatecznie wzięli ją nawet do zespołu cheerleaderek uczelnianej drużyny futbolowej. I chwalili się, że u konkurencji same ładne, a u nas same ładne, a do tego Miss America. Była bardzo zgrabna, wysportowana, inteligentna i dowcipna, tylko ta twarz… Znalazła męża i dziś oboje żartują z jej urody: „Inne małżeństwa się rozpadają, gdy uroda przemija, a u nas im bardziej przemija, tym lepiej".

***

Gdy w USA ktoś narzeka, inni to odbierają źle. Tu się nie narzeka – tu się chwali.

Gdybyś powiedział, że masz złego szefa, zrobi się cisza, ZDZIWIENIE i padnie pytanie: „To dlaczego nie zmieniasz pracy?". ©℗



eprasa.pl d705243ad8

**Oferta promocyjna**

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

# PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”




+

**W PREZENCIE**

## KSIĄŻKA

**KS. PIOTR PAWLUKIEWICZ: „MIEJ SZCZĘŚLIWE DNI”**

**ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA**

~~591 ZŁ~~

**291,00 ZŁ**

**OSZCZĘDNOŚĆ 300 ZŁ**

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

## JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

**TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST**

**JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:**
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

## CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

**ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

**WIĘCEJ INFORMACJI** E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d705243ad8

# KSIĘGARNIA DO RZECZY




# ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY




KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl d705243ad8